

Jarosław Makowski
Kościół i kardynałowie PiS

USA
Bez wiz, ale bez gwarancji

Prof. Marek Moskała
Żonglerka w mózgu

Klaudia Jachira
Aktorka w Sejmie

WOJNA O PAMIĘĆ



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



DAJ SIĘ
WCIĄGAĆ!

FESTIWAL
FILMÓW
ROSYJSKICH

13
SPUTNIK

Luna
Elektronik
Iluzjon

21 XI – 1 XII
WARSZAWA

WWW.SPUTNIKFESTIWAL.PL

XII 2019 – IV 2020
cała Polska

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury FR:



Współfinansowanie:



Projekt współfinansuje
mst. Warszawa:



Współfinansowanie Rosja:



Centrum Kultury Polsko-
Rosyjskiej w Warszawie



RUSSKY MIR FOUNDATION

Organizatorzy:



CYTATY

PROF. ADAM DANIEL ROTFELD, były minister spraw zagranicznych

W pewnym momencie między politykami a społeczeństwem wytwarza się szklany mur, przez który niby wszystko widać, ale nie słychać.

„Dziennik Gazeta Prawna”

DANIEL PASSENT, komentator

Jak zabraknie katechetów, to się dobrze z niewierzących.

„Polityka”

VINCENT V. SEVERSKI, były oficer wywiadu

Amerykanie nie werbują w Polsce agentów. Polscy politycy, biznesmeni sami przychodzą i donoszą.

„Duży Format”

MAGDALENA BOCZARSKA, aktorka

Moja babcia mówiła, że młodszy partner to błogosławieństwo, bo wystarczy go na dłużej.

„Pani”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Samotny kiler

Ziemia nie zdrząła. Lud nie wyszedł na ulice. Rezygnację Tuska z kandydowania w wyborach prezydenckich opłakują głównie beneficjenci jego rządów. Czerpiący osobiste profity z dojść do ówczesnej władzy. Choć trzeba przyznać, że Tusk ma też ciągle apologetów potrafiących zachwycać się jego formatem intelektualnym i niezwykłymi talentami. Takie opinie pewno techcą próżność przewodniczącego Rady Europejskiej, ale dla biegu wydarzeń w Polsce mają znaczenie epizodyczne. Bo szanse Tuska na prezydenturę od dawna były ledwie teoretyczne. Co przytomniejsi analitycy podkreślali, że ma on za duży elektorat negatywny, by myśleć o sukcesie. Na dodatek ten elektorat negatywny ocenia Tuska tak źle, że prędzej by zagłosował na koca Kaczyńskiego niż na niego. Przyjmując taki stan rzeczy do wiadomości, warto pomyśleć, skąd ta fobia antytuskowa się wzięła. Dlaczego z polityka, z którym większość Polaków wiązała tak duże nadzieje, po kilku latach został czarnym Piotrusiem?

Czy nie stało się tak dlatego, że premierem był marnym, a państwo pod jego rządami dryfowało?

Problemy zamiatano pod dywan, jak choćby sprawy reprivatyzacji, wyłudzeń VAT, rozliczenia pierwszych rządów PiS czy funkcjonowania służb. Żonglowanie ludźmi i problemami to umiejętność, która w polityce bardzo się przydaje. Na krótko. Bo na dłuższą metę musi służyć jakiemuś głębszemu celowi. A w przypadku Tuska celem była osobista władza. I w tej jednej dziedzinie okazał się politykiem naprawdę skutecznym. Po drodze do celu ograł wszystkich partyjnych rywali. Gdy wykościł Olechowskiego i Płażyńskiego, współtwórców Platformy Obywatelskiej, wiadomo było, że jest kadrowym kilerem. Bez skrupułów robił to samo i później w PO. Efekty jego polityki personalnej widzimy. Partia została wypłukana z indywidualności.

Czy Tusk czuje się za to odpowiedzialny? Pytanie jest oczywiście retoryczne. Podobnie jak kolejne: co takiego się stało, że Tusk zaczął myśleć o posadzie, którą dziesięć lat temu wykpiwał. Mówił przecież, że prezydent jest od pilnowania żyrandola.

Jeśli więc Tusk nie miał planu na efektywne zarządzanie państwem w roli premiera, to po co zwracał ludziom głowę planami kandydowania na prezydenta? Dobrze, że zrezygnował. Opozycja może teraz się zająć realnymi kandydatami. I na koniec: niezależnie od tych wszystkich uwag w porównaniu z Andrzejem Dudą były premier bardzo wiele zyskuje. Taki mamy stan w polityce.

BAKOWSKI

Lubisz PRZEGLĄD?
Daj nam koniecznie znać!

LAJKUJ
UDOSTĘPNIJ
KOMENTUJ

facebook.com/TygodnikPrzeglad/



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Kościół „dobrej zmiany” i kardynałowie PiS**
– rozmowa z Jarosławem Makowskim
- 12 Oddawajcie ulice!**
Do sporu włączyło się młodsze pokolenie
- 19 System wyborczy nie powstaje w próżni**
– rozmowa z dr. Adamem Gendźwiltem
- 22 Neofaszysta i antysemita w IPN**
Nowy naczelnik opolskiej delegatury
- 38 Kto powiedział – Jachira NIE!**
– rozmowa z Klaudią Jachirą
- 42 Jak myśli policjant?**
Coraz mniej profesjonalni
- 56 Ja się pracy nie boję, ale tak się nie da**
Matka w czasach 500+

PUBLICYSTYKA I OPINIE

- 16 Anna Brzeska**
O edukacji seksualnej bez ściemy
- 32 Stanisław Obirek**
Katolicyzm wraca do chrześcijaństwa

ZAGRANICA

- 24 Bez wizy, bez gwarancji**
Ameryka otwarta dla Polaków?
- 28 Hiszpania walczy ze światowym terroryzmem**
Najsukuteczniejsi w Europie

HISTORIA

- 36 Mundur z czerwoną kokardą**
Listopad 1918 r. – dlaczego niemieccy żołnierze bez walki opuścili Warszawę

KULTURA

- 44 Polityka na chwilę, sztuka na zawsze**
– rozmowa z Bartoszem Kruhlikiem
- 48 Culturalia**
- 66 Młoda Sztuka**

ZDROWIE

- 50 Żonglerka w mózgu**
– rozmowa z prof. Markiem Moskałą

OBSERWACJE

- 54 Adrian Kuśmierek. Wojny wyobrażone**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Samotny kiler
- 31 Jan Widacki**
Jeśli już nie może być gorzej, to znaczy, że będzie lepiej
- 35 Roman Kurkiewicz**
Defilada żywych trupów
- 41 Tomasz Jastrun**
Gastrowy dramat
- 47 Wojciech Kuczok**
Urok szamana
- 53 Ludwik Stomma**
Gliński z łasiczką

32

OPINIE

STANISŁAW OBIREK

Katolicyzm wraca do chrześcijaństwa



38

WYWIAD

KTO POWIEDZIAŁ
– JACHIRA NIE!

– rozmowa z Klaudią Jachirą

54

OBSERWACJE

ADRIAN
KUŚMIEREK

Wojny wyobrażone



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KAROLINA MISZTAŁ/REPORTER, MAREK MALISZEWSKI/REPORTER,
JAKUB PORZYCKI/AGENCJA GAZETA, FRANCISZEK MAZUR/AGENCJA GAZETA



Uchodźcy i epidemia internetowych kłamstw

Sprawa bydgoska
– molestowanie to dopiero początek

Książka
– najlepszy prezent na mikołajki

f Co trzeba zrobić, by piesi byli bezpieczniejsi?



Fizycznie ograniczać prędkość samochodów. Progi, meandry, skrzyżowania równorzędne, brak prostych odcinków, zwężenia, jeden pas przed zebra itp. Do tego egzekwowanie obowiązującego prawa i wysokie mandaty dla kierowców udających rajdowców, uzależnione od stanu majątkowego. Nic nie dają ograniczenia znakami, odbłaskowe gadżety, diody w asfalcie i kampanie w mediach.

Wojciech Matłacki

Pieszemu powinno się zakazać korzystania z telefonów komórkowych w czasie poruszania się po ulicy. Jeśli ktoś chce porozmawiać lub wysłać SMS-a, powinien się zatrzymać, nie blokując chodnika. Poza tym obowiązkowe powinno być

noszenie odbłasków od zmierzchu do świtu. A w szkole trzeba uczyć dzieci przepisów ruchu drogowego. I jeszcze jedno – OC dla kierowcy, nie dla samochodu. Za każde wykroczenie podwyższać OC i albo taki kierowca nauczy się przestrzegania przepisów, albo nie będzie go stać na jeżdżenie. Ale żadne przepisy nie zastąpią myślenia.

Maja S-ka

Zlikwidować przepis o wtargnięciu pieszego na przejście, podnieść kary za wymuszanie pierwszeństwa oraz wyprzedzanie na pasach.

Jan Zielony

Nauczyć ludzi jeździć, bo dotychczasowe tzw. kursy nauki jazdy uczą, jak zdać egzamin. Należy ograniczyć teorię i naukę parkowania, a trzykrotnie zwiększyć liczbę godzin jazdy, w tym na autostradzie i w korku.

Jerzy Limanowski

f Gdyby liczyć głosy metodą Sainte-Laguë...

Jakoś dotąd nikomu system D'Hondta nie przeszkadzał, szczególnie zwycięzcom. Takie argumenty są z gruntu nieuczciwe – przecież od przeszło 10 lat wszyscy grali według tych zasad.

Maciej Orbitowski

Może wrócimy do idei okręgów jednomandatowych i możliwości odwoływania posłów przez wyborców?

Zbigniew Pluciński

W artykule ciekawe są spostrzeżenia o niewielkich okręgach, leżących zwłaszcza na terytoriach propisowskich. Tam PiS otrzymuje np. sześć-siedem mandatów na osiem możliwych.

Wojciech Nockiewicz

PO też wygrywała na podstawie tej ordynacji. Skoro jest taka zła, niech opozycja wygra kolejne wybory i zmieni ordynację. Proste? Proste! A jak wygra, to i tak nie zmieni, chociażby i mogła.

Mariusz Zin-Pietrzykowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Porozumienie ponad podziałami. Kandydatem opozycji na marszałka Senatu został Tomasz Grodzki. Urodzony w Szczecinie chirurg startował do Senatu z list KO. Jest nadzieja.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy wskazując na Macierewicza, prezes celowo kompromituje Dudę?

DR KRYSZYNA ŁYBACKA,
SLD

Przede wszystkim powinniśmy być wdzięczni panu prezesowi Kaczyńskiemu, że wzorem Kaliguli marszałkiem senioremu Senatu nie uczynił kota (bo konia nie ma). A mówiąc poważnie, Macierewicz jest niezwykle kontrowersyjną postacią. Marszałek senior ma do odegrania rolę epizodyczną, ale symbolicznie istotną, ponieważ to on prowadzi pierwsze posiedzenie i to on ma uosabiać majestat Sejmu. Ktoś, kto ma na koncie kłamstwo smoleńskie, będzie powagą tej izby uosabiał w sposób daleki od ideału. Ten wybór ma pokazać, że prezes Kaczyński nie musi się liczyć z nikim. Jest bardzo przykry dla większości Polaków, a także – jak sądzę – dla nowo wybranych posłów.

ALEKSANDER SMOLAR,
*publicysta, działacz polityczny,
Fundacja im. Stefana Batorego*

Nie sądzę, by taki był cel Jarosława Kaczyńskiego, choć nie wykluczam, że miał z tego pewną przewrotną przyjemność. Jedną hipotezę nasuwa mi nominacja kontrowersyjnej trójki do

Trybunału Konstytucyjnego. Za jej pomocą prezes okazał przeciwnikom lekceważenie i pogardę, a także siłę, która pozwala mu narzucać instytucji wymagającej integralności moralnej i bezstronności osoby stanowiącej zaprzeczenie tych cech. Druga hipoteza ma zupełnie inny charakter. Nie wykluczam, że Kaczyński próbuje w ten sposób zmniejszyć niebezpieczeństwo przejścia nacjonalistycznych radykałów do nowego ugrupowania skrajnej prawicy. Decyzja prezesa byłaby wówczas moralnym zadośćuczynieniem człowiekowi, który został zdegradowany do politycznego nieistnienia w ramach PiS, a jego główne dzieło ostatnich lat – komisja smoleńska – zdezwuowane.

PROF. TADEUSZ IWIŃSKI,
politolog

Nie sądzę, by to było specjalne działanie Jarosława Kaczyńskiego – w końcu w jego żywotnym interesie jest ponowny wybór Dudy. Jeszcze nie wiemy, co się stanie z Senatem, ale jeżeli utrzyma się krucha większość opozycji, a dodatkowo jej przedstawiciel zostanie prezydentem, mielibyśmy absolutnie typowy przykład

kohabitacji, znany z wielu państw, np. z Francji. Prezes może natomiast realizować jakieś inne cele. Jednym z nich może być próba zmobilizowania twardej części elektoratu PiS, aby jej nie utracić. Powodem może być także chęć przetestowania urzędującego prezydenta, przy czym moim zdaniem nie zmienia on decyzji o marszałku seniorze.

Czytelnicy PRZEGŁĄDU
ZBIGNIEW DEREJSKI



Wskazując na Macierewicza, a także na kandydatów na sędziów Trybunału Konstytucyjnego, prezes kompromituje nie tylko Dudę, ale nas wszystkich. Nie tylko szeroko rozumianą opozycję, ale także wyborców PiS. Myślą przewodnią było: tych, których niedawno mieliście za nic, na piedestał postawię, abyście bez przerwy przechodzili lekcje pokory. Tak oto postępuje psucie demokracji.

ARTUR EICHHORST

Kaczyński kompromituje Dudę, aby za jakiś czas jako naturalnego kandydata na prezydenta ogłosić Morawieckiego. A siebie samego premierem.

Not. Michał Sobczyk

Kościół „dobrej zmiany” i kardynałowie PiS

Wiernym przeszkadza zaangażowanie polityczne ich Kościoła.
Ale hierarchia tego nie widzi lub nie chce zobaczyć

Rozmawia Jakub Dymek

Co się stało z relacjami Kościoła i państwa polskiego w 2019 r.?

– Kościół w Polsce uznał, że dużo atrakcyjniejsza dla niego jest „dobra zmiana” niż Dobra Nowina. Zarzucił więc żmudne i trudne głoszenie Ewangelii na rzecz szybkich i łatwych korzyści płynących z popierania „dobrej zmiany”. Stało się tak z kilku powodów. Po pierwsze, Kościołowi ten ruch zwyczajnie się opłacał. Strumień publicznych pieniędzy płynął wartko, od finansowania o. Rydzyka po projekty na poziomie pojedynczych parafii. Po drugie, Kościół w 2019 r. również musiał się skonfrontować z tym, że ma swoje trupy w szafie. Od początku XXI w., gdy ujawniono tuszowanie kościelnej pedofilii w Bostonie, Kościół w Polsce mówił, że jest czysty. Dziś wiemy, szczególnie po filmie „Tylko nie mów nikomu”, że czysty nie jest. Więcej, skala brudu związanego z maskowaniem, ukrywaniem skandali pedofilskich wciąż jest okryta tajemnicą.

Mówisz, że to był rok syty finansowo. Bardziej syty niż za szczytowej Platformy albo SLD?

– Fundusz Kościelny to jedno. Drugie – muzea, czyli tak naprawdę świątynie, np. Świątynia Opatrzności Bożej, które udają Instytuty Myśli Wszelakiej, żeby brać pieniądze. A ostatni przykład to Panteon Górnosławski, na który państwo i samorząd śląski zrzucą się w kwocie

Kościół w Polsce uznał, że dużo atrakcyjniejsza dla niego jest „dobra zmiana” niż Dobra Nowina.

ok. 50 mln zł... na otwarcie. To są twarde wyliczenia, które pokazują skalę przepływów finansowych.

Ważne, poza wielkością kwot, jest to, że nikt ze strony kościelnej tak naprawdę nie musi o nie się starać.



JAROSŁAW MAKOWSKI

– filozof i teolog, autor książki „Pobudka, Kościele!” (Arbitror, 2018) o myśli papieża

Franciszka i trudnościach z jej zaakceptowaniem w Polsce. Był szefem Instytutu Obywatelskiego, redaktorem „Tygodnika Powszechnego”. Jest radnym miasta Katowice.

Chyba nikt nie policzył zbiorczo, ile organizacji katolickich dostaje pieniądze w ramach programów wsparcia trzeciego sektora, działalności społecznej, programów celowych ministerstwa, Narodowego Instytutu

Ale ta praktyka, trzymając się konkretnie Świątyni Opatrzności Bożej, zaczęła się za Platformy.

– Jeszcze wcześniej! Nie jest tajemnicą, że każdy rząd finansowo szedł na rękę Kościołowi.

A teraz, twoim zdaniem, rząd te pieniądze po prostu wypycha?

– Nie wypycha, tylko płaci nimi za poparcie. Nie ma w Polsce żadnej innej instytucji, która logistycznie, instytucjonalnie i organizacyjnie byłaby równie mocna i tak osadzona w państwie oraz społeczeństwie jak Kościół rzymskokatolicki. Naprawdę, potencjał TVP i Jacka Kurskiego jest niczym w porównaniu z potencjałem parafii i obecnością Kościoła w systemie edukacji. To pierwszy wymiar współpracy państwa PiS i Kościoła katolickiego.

Rzecz druga: już wiemy, że nie powstanie żadna – powtarzam, żadna! – komisja badająca przypadki pedofilii



w Kościele, która miałaby taką powagę i autonomię jak komisja Ryana z 2009 r. w Irlandii. Nie poznamy skali zaniedbań i przemilczeń, jeśli chodzi o współpracę Kościoła z prokuraturą, ani liczby ukrywanych księży pedofilów. A więc i tutaj Kościół może spać spokojnie.

Trzecia sprawa dotyczy przeszłości. Zauważmy, że wśród największych zwolenników sojuszu tronu i ołtarza jest np. biskup wrocławski Wiesław Mering, który dziękuje Bogu za Jarosława Kaczyńskiego i tę ekipę, tak sprawnie zarządzającą Polską. Ci biskupi mają innego trupa w szafie, a mianowicie esbeckie kwity – dziś rękę na tych papierach trzyma Kaczyński. Nie znasz dnia ani godziny, gdy prezes zdecydował się szafę otworzyć. I hierarchowie doskonale zdają sobie z tego

Nie jest tajemnicą, że każdy rząd szedł finansowo na rękę Kościołowi

sprawę. Wystarczy, że wspomnimy, jak załatwiono bp. Stanisława Wielgusa. Jego nominację na metropolitę warszawskiego utracono za pierwszych rządów PiS, wyciągając esbeckie akta.

Rzecz czwarta: Kościół wie, że to ostatni moment, kiedy może przeprowadzić swoją rewolucję moralną. **Dlaczego? Kadencja Sejmu nawet się nie rozpoczęła.**

– Zgoda, że urny jeszcze nie ostygły po wrzuceniu naszych kart wyborczych, ale Fundacja Pro – Prawo do Życia ruszyła z projektem „Stop pedofilii”, popieranym przez rząd. To pokazuje, że Kościół będzie dokręcał śrubę. Wszystkie te projekty

Potencjał TVP i Jacka Kurskiego jest niczym w porównaniu z potencjałem parafii i obecnością Kościoła w systemie edukacji.

„cielesne”: antykoncepcja, in vitro, edukacja seksualna, zaostrenie ustawy antyaborcyjnej... Kościół doskonale wie, czego uczy również historia, że to, co bierze i co raz sobie wywalczy, trudno mu odebrać. Bo potem każda próba uregulowania relacji państwo-społeczeństwo-Kościół jest od razu odpierana jako „atak na wiarę, na katolicyzm, na wierzących”. Tak samo jest z religią w szkołach i w przypadku wszystkich przywilejów, które od początku lat 90. Kościół sobie wywalczył.

Duża część opozycji stwierdziła po wyborach do Parlamentu Europejskiego, że właśnie przez to przegrała: marsze równości, film Sekielskich, dyskusja o pedofilii w Kościele...

– Bzdura. Takie podejście jest błędne z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego że na szali stawia się poparcie polityczne i np. ochronę dzieci czy prawa człowieka. To jest

falszywa alternatywa: albo jesteś po stronie uciśnionych, albo nie jesteś chrześcijaninem! Po drugie, politycy liberalni żywią przekonanie, że nie mogą urazić Kościoła, bo urażą wyborców – ale to w ich wypadku wcale nie musi się pokrywać, bo Kościół

w Polsce oddziałuje przede wszystkim na odbiorców konserwatywnych i tradycjonalistycznych.

Co więcej, liberałowie nie wiedzą, jaką tak naprawdę mają wizję relacji państwo-Kościół. Czy chcieliby się dogadywać z tzw. stroną otwartą – której moim zdaniem już nie ma – czy jak wtedy, gdy wyemitowany został film Sekielskich, mają się domagać niemal antykatolickiej krucjaty, bo burzy się w nich krew? Według mnie nikt, od SLD po PO, nie jest wiarygodny w odpowiedzi na pytanie, jak mamy sobie ułożyć te relacje.

Czy widzisz zależność między tym, że przez mniej więcej pierwszą połowę roku tematem numer jeden były przestępstwa seksualne w Kościele, a przez drugą tzw. ideologia LGBT?

– Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś kiedyś ujawnił, że biskupi zwyczajnie wynajęli agencję PR-ową, która przygotowała cały ten plan przykrycia nadużyć seksualnych naszych duchownych. Zadziałała stara zasada ▶

► obrony przez atak. Co więcej, Kościół jest zaprawiony w tych bojach. Przypomnijmy sobie straszenie genderem sprzed kilku lat. Absolutnie żadna z osób, które przekonywały, że gender jest największą zarazą współczesnego świata, nie ma pojęcia, czym jest gender. Ale w ten konstrukt „ideologia gender” wsadzono wszystkie ludzkie lęki: seksualizację dzieci, atak na rodzinę, podważanie

Kościół doskonale wie, że to, co bierze i co sobie raz wywalczy, trudno mu odebrać.

tradycyjnych wartości itd. W tym chaosie i bełkotliwym wzmożeniu nikt się nie zastanawia, co to jest to LGBT – choroba zakaźna, jakaś złowroga technologia? Sekta? Co to takiego?

Uruchomiono machinę nienawiści, która jest tym skuteczniejsza, im większy jest strach. Strach przed nieznanym. Obcym. Innym. Strona liberalna nie była w stanie skutecznie odpowiedzieć.

Bo obóz antypisowski nie ma żadnych sprecyzowanych poglądów na temat tego, czy i jak bronić w Polsce narażonych na dyskryminację.

– Paradoksalnie najsukuteczniej broniły się same osoby LGBT – gdy zaczęły pokazywać twarz. Nagle się okazało, że to nasi sąsiedzi, że to listonosz, bankowiec, korepetytorka naszych dzieci... Tam, gdzie politycy obozu liberalnego nie bronili osób LGBT przed Jędraszewskim, one broniły się same. Pokazując twarz. I to było skuteczne, bo już nie anonimowa ideologia nam zagraża, ale ponoć ten chłopak z sąsiedztwa, który zawsze pomaga mojej babci w zakupach. **Twierdzisz, że szczególne „zasługi” dla upolitycznienia Kościoła ma**

abp Jędraszewski. Dlaczego akurat on?

– Czasami mam wrażenie, że abp Jędraszewski, gdyby nie nosił sutanny i akurat nie był arcybiskupem Krakowa, byłby najlepszym rzecznikiem Prawa i Sprawiedliwości. Nie wątpię, że jest to ten hierarcha, który ma szafę wypełnioną trupami w postaci wciąż niejasnego udziału w ukrywaniu poczyną i obronie abp. Juliusza

Paetza, który wykorzystywał kleryków. To człowiek, który jest zwyczajnie zły. Kompletnie nie

rozumie, jak można czytać Ewangelię – gdzie mowa jest o tym, że jak ktoś prosi cię o chleb, to nie dajesz mu kamienia. Że jak ktoś prosi cię, żebyś szedł z nim siedem kroków, idziesz z nim 77 itd. Jędraszewski chyba już ostatecznie pożegnał się z wizją bycia wyróżnionym przez Franciszka kapłanem kardynalskim, więc jedyne, co mu pozostaje...

...to bycie kardynałem Prawa i Sprawiedliwości?

– Dokładnie. Ten sam człowiek, który pisał o Levinasie i „filozofii innego”, stał się narzędziem szerzenia nienawiści do innego, także do innych wyznań chrześcijańskich. Bo przypomnijmy, że gdy pojawił się w Łodzi, pierwsze, co zrobił, to zlikwidował ekumeniczną drogę krzyżową – tradycję wspólnej drogi krzyżowej

aż do bólu. Arcybiskup w ramach praktykowania katolickiej nauki społecznej – żartuję oczywiście – pozbawił je pracy, *de facto* środków do życia i na utrzymanie dzieci. To pokazuje, z jak wielkim zagubieniem mamy do czynienia w Kościele katolickim w Polsce – skoro wiceprzewodniczący Konferencji Episkopatu Polski bardziej pasuje do rządzącej partii niż do Kościoła, którego przywódcą jest Robotnik z Nazaretu.

Ale to ma być dowód na siłę czy na słabość instytucji Kościoła w Polsce? Z jednej strony, mówisz, że wszystkie partie boją się Kościoła, a z drugiej, że Kościół jest w głębokim kryzysie tożsamości i chwytą się partii politycznych.

– Mój mistrz, ks. Józef Tischner, powiedział, że Kościół nie potrzebuje żadnej innej władzy nad człowiekiem niż władza nad jego duchem. Moment, w którym Kościół sięga po państwowy aparat przymusu, jest chwilą jego słabości, a nie siły. I dziś obserwujemy ten moment słabości – Kościół zarządza już wyłącznie poprzez instytucje. A jak trzeba, to poprzez policję. Tu świadectwem jest wezwanie przez proboszcza policji, by zajęła się 13-letnim chłopcem, który ponoć dopuścił się profanacji hostii. Największy przeciwnik Kościoła nie wpadłby na to, by podpowiadać księżom wzywanie policji do dzieciaka. A duchowni na taki pomysł wpadli.

Abp Jędraszewski byłby najlepszym rzecznikiem Prawa i Sprawiedliwości, gdyby nie nosił sutanny.

katolików, luteranów i przedstawicieli innych Kościołów chrześcijańskich. Uznał to za, jak by to powiedzieć, zbyt daleko posuniętą próbę pokazania, że chrześcijanie wierzą w tego samego Boga i czytają tę samą Biblię. Dodajmy do tego jego zaangażowanie w sprawę „zamachu smoleńskiego” – tych absurdalnych zarzutów, które nie tylko ośmieszały państwo polskie, ale także grały emocjami rodzin, które w Smoleńsku straciły bliskich. Symbolem kłamstwa smoleńskiego jest Antoni Macierewicz, który dla prezydenta Dudy jest odpowiednim kandydatem na marszałka seniora Sejmu.

Ostatnim epizodem pokazującym drogę abp. Jędraszewskiego jest zwolnienie kobiet, które tworzyły zespół medialny: wiernych i oddanych

Wszystkie badania na temat udziału młodych ludzi w katechezie, zaangażowania w praktyki religijne itd. pokazują, że te wskaźniki spadają, są dla Kościoła fatalne. Dlatego Kościół przez najbliższe cztery lata będzie próbował mocno usadowić się instytucjonalnie. Bo ludzie, co widać, zwracają Kościołowi bilet. Nie chcą się utożsamiać z księżmi, którzy ambonę zamienili w mównicę sejmową. A jest coś jeszcze, co wcześniej w Polsce było nie do pomyślenia: protesty pod kuriami, wieszanie dziecięcych bucików, demonstracje pod katedrami i pikety pod pałacami biskupimi. Przed wyborami zawiązał się ruch „Odzyskajmy nasz Kościół”, w ramach którego młodzi katolicy, tacy jak Jola Szymańska, wychowanka dominika-



nów, walczą przeciwko upolitycznieniu Kościoła i przekazowi zionącemu nienawiścią. Zresztą widzi to też wielu księży, zapytaj ich.

Nie znam specjalnie wielu.

– Dobrze, ja znam. I oni mówią zgodnie, że kościoły pustoszeją. Oni w swoich parafiach to widzą. Nie widzą tego syci i hołubieni przez władzę hierarchowie. Problem polega na tym, że to nie oni – hierarchia Kościoła – są na pierwszej linii frontu. Kontakt z wiernymi mają ci niczemu niewinni wikarzy, którzy muszą się tłumaczyć za swoich przełożonych.

Kryzys, o którym mówię, dobrze obrazuje też brak powołań kapłańskich. W ciągu ostatnich 10 lat liczba kandydatów na księży spadła w Polsce z 5,5 tys. do niespełna 3 tys. Jak podaje Katolicka Agencja Informacyjna, w tym roku do polskich seminariów wstąpiło tylko 498 kandydatów – o 122 osoby mniej niż w 2018 r. W Olsztynie do seminarium w pierwszym naborze nie zgłosił się żaden kandydat. Dopiero w drugim naborze znalazł się jeden. Mamy Kościół

z pełną kasą i pustymi świątyniami. Efekt Jana Pawła II? Wyczerpał się. Cokolwiek o Wojtyłę by myśleć, o coś w jego kazaniach chodziło. Dziś w polskich kościołach coraz częściej nie chodzi o nic. No, przepraszam, chodzi o władzę.

Zwykli księża widzą w swoich parafiach, że kościoły pustoszeją. Nie widzą tego syci i hołubieni przez władzę hierarchowie.

Czy ta radykalizacja wojen kulturowych, o której ostatnio coraz częściej piszesz i mówisz, naprawdę działa tylko w jedną stronę? Kościół wyłącznie szczuje i zionie nienawiścią? Nie zgadzasz się z tym, co jakiś czas temu pisał choćby Rafał Kalukin w „Polityce”, że wszyscy zaangażowani w wojnę kulturową w Polsce usztywniają się na swoich pozycjach, nie są skłonni do negocjowania, myślą przez pryzmat jednego postulatów?

– Nie, dokręcanie śruby działa w obie strony. Przykładem były akcja z dziećmi bućkami czy protesty

pod oknem papieskim w Krakowie. Coś nie do pomyślenia jeszcze cztery lata temu! Nie do pomyślenia!

Dwustronna radykalizacja to coś, co już się dzieje. Ale jeśli Kościół myśli, że w ostatecznym rachunku na niej wygra, to jest w głębokim

błędzie. Wygra może religijna prawica. Kompletnie nie rozumiem, jak można brnąć w ten typ sporu, który Kościołowi zaproponowała właśnie ta pozbawiona chrześcijańskiej wiary formacja. Każdy, kto ma oczy i uszy, widzi przecież, że Kościół na zaangażowaniu politycznym traci.

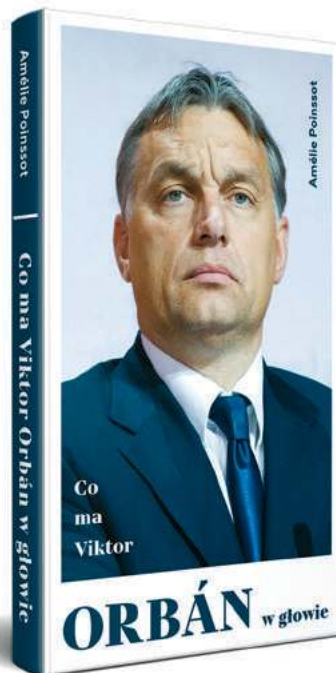
Czasami ludzie zadają mi pytanie, dlaczego wciąż jestem w Kościele. Zgadzam się tu ze Slavojem Žižkiem, który powiada, że chrześcijaństwo jest zbyt cenne, żeby je pozostawić w rękach radykalnej prawicy.

Jakub Dymek

Kim naprawdę jest Viktor Orbán? Populistą czy mężem opatrznociowym?

Autorką książki jest Amélie Poinssot, francuska dziennikarka specjalizująca się w problematyce Europy Środkowej i Wschodniej.

Poinssot odtwarza drogę, jaką przebył student urzeczony w latach 80. polską Solidarnością, później szef partii politycznej i premier Węgier, jedna z najbardziej wyrazistych i kontrowersyjnych postaci europejskiej sceny politycznej. Autorka próbuje zrozumieć wybory ideowe i strategię Viktora Orbána, przyczyny porażek i sukcesów wyborczych. Pokazuje je wnikliwie i bezstronnie.



Książka też w formie E-BOOKA.
Tylko 14,90 zł,
nie przegap okazji!

PRZEGLĄD poleca!

Wpłać 35 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Oddawajcie ulice!

Dziś z polityką historyczną prawicy nie walczą wyłącznie ludzie pamiętający Polskę Ludową i związani z lewicą. Do sporu włączyło się młodsze pokolenie

Jakub Dymek

Gdy radni Żyrardowa zdecydowali, że przywrócona zostanie dawna ulica Jedności Robotniczej – zamiast nadanej ostatnio nazwy Augusta Fiełdorfa „Nila” – ogólnokrajowy spór (czy raczej pyskówka) o tzw. dekomunizację ulic, pomników i placów po okresie pewnego wyciszenia wybuchł na nowo. Prawicowi publicyści rzucili się do udowadniania, że „jedność robotnicza” jest symbolem totalitarnym i komunistycznym – a jeden z tygodników posunął się nawet do stwierdzenia, że równa jest symbolom... hitlerowskim.

Jednak ten konflikt, choć stary, nie idzie już tymi samymi koleinami. W ciągu ostatniego roku coraz bardziej stanowczy i lepiej słyszalny jest głos osób i środowisk sprzeciwiających się polityce historycznej prawicy – często młodych, biograficznie zupełnie niezwiązanych z Polską Ludową, działających w społecznościach internetowych i na uczelniach.

Spór o politykę historyczną u progu kolejnej kadencji PiS nie jest już tak jednostronny. Co się stało?

Jednogłośnie?

Pomysłodawcy ustawy i zwolennicy „dekomunizacji” w wykonaniu Instytutu Pamięci Narodowej wychodzili pewnie z założenia, że za przeciwników będą mieć komunistów lub – co bardziej prawdopodobne – potomków i rodziny dawnych towarzyszy. W tę stronę szła zresztą argumentacja historyków związanych z IPN, gdy konfrontowali się z krytykami ustawy. „Oni bronią swoich życiorysów, swoich wyborów, swojego wiązania się z systemem komunistycznym”, mówił Bogusław Tracz z katowickiej delegatury IPN o swoich polemistach. „Młoda nasza wolność i odkrywanie kart historii

raz po raz doznaje ataków ze strony żyjących jeszcze wyznawców komunizmu, funkcjonariuszy partii komunistycznej PZPR, a także służby bezpieczeństwa. I, co gorsza, nie brakuje młodych ludzi, którzy komunizmu nie doświadczyli, ale którzy ulegli propagandzie jego propagatorów i kontynuatorów”, kwieciście oburzała się ledwie kilka dni temu małopolska kurator oświaty w liście do nauczycieli.

To przekonanie o braku szerokiego sprzeciwu było tym mocniejsze, że gdy Sejm uchwalał ustawę dekomunizacyjną, nie zaproponował dosłownie nikt – 439 głosów za, 1 wstrzymujący się, nikt nie głosował przeciw. Platforma Obywatelska nie miała wówczas odwagi lub chęci przeciwstawić się ustawie – co skądinąd nie uchroniło jej przed atakami rządu i sprzyjających mu mediów. PiS przecież kocha ustawiać sobie za przeciwnika

komunistów ani ich wnuków ostrzegających się z ostatniej reduty.

Walec centralizacji jedzie na Śląsk

– Nachalne bicie w bęben propagandy budzi sprzeciw, a nie wszyscy się utożsamiają z nacjonalistycznym etosem proponowanym przez władzę w zamian za tych, których pozbawia ona ulic, pomników i placów – mówi Dariusz Zalega, historyk i autor książki „Śląsk zbuntowany” o śląskich ochotnikach walczących przeciwko gen. Franco w hiszpańskiej wojnie domowej.

Zalega wskazuje jako przykład próbę dekomunizacji pomnika gen. Jerzego Ziętka, legendarnego wojewody śląskiego, którego na Śląsku pozbawiać honorów „nie chciał chyba nikt”. Słowa historyka ilustruje

Internet i media społecznościowe stały się polem najżywszej walki o pamięć zbiorową.

chochoła „komunizmu” i fakt, że cała PO poparła jednogłośnie sejmową większość w sprawie dekomunizacji, wcale nie zapobiegł późniejszemu oskarżaniu jej o „honorowanie zbrodniarzy”.

Wreszcie nijaka i robiona zupełnie od niechcenia polityka historyczna obozu liberalnego w Polsce – co doskonale pokazał w książce „Turbopatriotyzm” dr hab. Marcin Napiórkowski – nie była w stanie ani przygotować nikogo do frontального zderzenia z państwową propagandą, ani tym bardziej wyedukować szerszej grupy obywateli. Inaczej mówiąc, specjaliści od lepienia orłów z czekolady nie nadają się na wojnę.

Jednak sprzeciw wobec „dekomunizacji” w wykonaniu IPN jest. I wbrew wygodnemu ustawianiu sobie przeciwnika przez Telewizję Polską czy polityków Prawa i Sprawiedliwości nie chodzi o starych

demonstracja pod pomnikiem Ziętka – nie przeciw pamięci o „Jorgu”, ale za nią. Na wspólnej konferencji wystąpili w tej sprawie ślascy politycy i działacze różnych organizacji, także (lub przede wszystkim) niezwiązani z lewicą.

„Stoimy tu w obronie naszego Jorga – Ślązaka, który Ślązakom w trudnych czasach PRL przywrócił godność, a śląskości normalne miejsce w życiu publicznym”, mówił wtedy europoseł Marek Plura, członek grupy Chrześcijańskich Demokratów w Parlamencie Europejskim, a w Polsce członek PO. W obronie pomnika Ziętka wystąpili reprezentanci organizacji śląskich, samorządowcy i wnuk generała oraz były poseł (ostatnio PSL) Jerzy Marek Ziętek.

Protestowali nie tylko politycy i radni. Liczne teksty publikował „Dziennik Zachodni”. Sprzeciw wobec dekomunizacji był widoczny



Z mapy Szczecina zniknęła ulica Obrońców Stalingradu. Nowym patronem został Edmund Bałuka, przywódca strajku w Stoczni Szczecińskiej w styczniu 1971 r.

przede wszystkim w internecie – w mediach społecznościowych zabierali głos publicyści i ślęscy aktywiści, na Facebooku powstała strona „Generał Jerzy Ziętek – dobry gospodarz”. Jeden z pierwszych wpisów, na jakie trafiam: „By JORG Nie Stworzył Tego Cudnego Obiektu to Kaj Byście się Lyczli i Rehabilitowali – BARANY – WON OD NASZEGO »WIELKIEGO JORGA«”. Jerzy Ziętek, wojewoda, generał i patron Śląska, się ostał.

– Uważam, że pokolenie dzisiejszych studentów wciąż jest dalej na prawo niż pracujący, klasa – jak to dziś się mówi – prekariatu, ale opór wobec tzw. dekomunizacji w przypadku Ziętka napawał optymizmem na przyszłość – podkreśla Dariusz Zalega, który na Facebooku prowadzi stronę poświęconą robotniczym tradycjom regionu. – Bo w tym sprzeciwie chodziło nie o żaden komunizm, tylko o wspólną pamięć. Choć ja jestem z robotniczej rodziny i kwestia ruszania robotniczych symboli jest dla mnie bardzo ważna.

Ocenę Zalegi potwierdza kolejny z moich katowickich rozmówców Sebastian Pyłacz: – Protestowaliśmy przeciwko pomysłowi, by nazwy ulic zmieniać bez konsultacji i rozmów,

a wbrew mieszkańcom i władzom miasta. O nazewnictwie powinni decydować mieszkańcy, a nie władza centralna.

Pyłacz jako wiceprzewodniczący stowarzyszenia BoMiasto także protestował. Stowarzyszenie występowało przed wojewódzkim sądem administracyjnym przeciw zmianie nazwy placu Wilhelma Szewczyka na

Dariusz Zalega, historyk i autor książki „Śląsk zbuntowany”: Nachalne bicie w bęben propagandy budzi sprzeciw.

plac Lecha i Marii Kaczyńskich.

– Szewczyk został upamiętniony nie jako komunista, lecz jako pisarz i Ślązak, organizator życia kulturalnego, osoba, którą każdy znał i szanował. Moja mama mówiła mi, że pamięta Szewczyka z kawiarni. I pewnie połowa Ślązaków może się tym pochwalić – opowiada Pyłacz. – Ze względu na zasługi i pamięć imieniem Szewczyka nazywano szkoły, ulice czy konkursy literackie. A do niedawna centralnie położony w Katowicach plac.

Jak zauważa, nawet sam katowicki oddział Instytutu Pamięci Narodowej został instrumentalnie wykorzystany w tej sprawie, bo był tylko

narzędziem do uzasadniania decyzji podjętych na szczeblu centralnym.

I Zalega, i Pyłacz należą do pokolenia, które nie miało szansy spotkać się osobiście z tymi patronami ulic, za schyłkowej PRL byli dziećmi.

Czerwona fala w internecie

Internet i media społecznościowe stały się – przede wszystkim po 2015 r. – polem najżywszej walki o zbiorową pamięć. Tym bardziej że lewicowa opowieść i wrażliwość zupełnie zniknęły ze wszystkich publicznych mediów i niemalże wszystkich publicznych instytucji. Dość powiedzieć, że gdańskie Muzeum II Wojny Światowej, w radzie którego zasiadali Norman Davies i Timothy Snyder, zostało przez Ministerstwo Kultury uznane za zbyt postępowe.

Tam, gdzie wcześniej hegemonia konserwatywnej (i coraz częściej wprost nacjonalistycznej) pamięci historycznej wydawała się pewna, zaczęły się wkradać odmienne opowieści. A im bardziej na siłę próbowano „dekomunizować”, tym szybciej zyskiwały popularność inicjatywy przeciwne IPN-owskiej wizji Polski.

Dziś na Facebooku coraz łatwiej znaleźć takie strony jak „Łapy precz od ulicy Dąbrowszczaków” czy „Przywróćmy pamięć o patronach wyklętych”. Pierwsza, co jasne, walczy (dotychczas skutecznie) o pozostawienie warszawskiej ulicy Dą-

browszczaków, druga przypomina biografie i ważne daty z historii ruchu robotniczego, lewicowego i ludowego – których nie uznają dziś za istotne polskie władze. „Przywróćmy pamięć...” uparcie i w najdrobniejszych szczegółach prostuje pomyłki Instytutu Pamięci Narodowej, który w swojej internetowej komunikacji (szczególnie w językach obcych) myli daty, nazwiska, wydarzenia i popełnia komiczne nierzadkie błędy językowe.

Obecnie takie strony trafiają do kilkudziesięciu tysięcy osób tygodniowo, może setek tysięcy miesięcznie. To nadal niewiele w porównaniu z tym, jak wielką popularnością od lat cieszą się profile

► poświęcone „wyklętym” czy NSZ-owcom. Ale trend jest widoczny.

– Polityka IPN to oczyszczanie pamięci historycznej z elementów robotniczych i lewicowych pod płaszczykiem usuwania relikwów totalitaryzmu. Tylko że tym samym urzędnikom nie przeszkadzają bohaterowie mający na koncie zbrodnie na cywilach: „Ogień”, „Bury” czy „Łupaszka”. Z jednej strony, jest to działalność ideologiczna, z drugiej – zwykła głupota, o czym świadczy dopatrzenie się elementów totalitarnych u Ludwika Góreckiego, zmarłego w 1885 r. pioniera dermatologii – mówi Jakub



Radni Żyrardowa zdecydowali, że przywrócona zostanie dawna ulica Jedności Robotniczej – zamiast nadanej ostatnio nazwy Augusta Fieldorfa „Nila”.

Dziś na Facebooku coraz łatwiej znaleźć takie strony jak „Łapy precz od ulicy Dąbrowszczaków” czy „Przywróćmy pamięć o patronach wyklętych”.

Woroncow, historyk, krytyk działalności IPN i weteran sieciowych sporów ze zwolennikami prawicowej polityki historycznej. On i liczni publicyści oraz aktywiści lewicowi reprezentujący najmłodszą generację w debacie historycznej są zdania, że prawica dochodzi już do ściany radykalizmu i szczytów absurdu.

Mniej optymistyczna jest dr Agnieszka Mrozik z Ośrodka Studiów Kulturowych i Literackich nad Komunizmem IBL PAN. – Choć nie widzę wielkiego oporu młodych ludzi w Polsce przeciwko antykomunistycznej polityce historycznej, może z wyjątkiem niektórych środowisk w większych miastach (np. akcja na rzecz odzyskania ulicy Dąbrowszczaków w Warszawie), wydaje mi się, że takie dokręcanie śruby przez rządzących na dłuższą metę może się okazać przeciwnie skuteczne. Wcześniej czy później ludzie, mam nadzieję, że nie tylko młodzi, zaczną się zastanawiać nad tą czarno-białą historią Polski, którą słyszą w szkole, w mediach, w kościele, zaczną zadawać pytania, drążyć – ocenia. – Mogą też zacząć zderzać to, co słyszą w przekazie oficjalnym, z tym, o czym dowiadują się w domu: o dziadkach i babciach z Armii Ludowej, Batalionów Chłopskich, Związku Walki Młodych. Trudno będzie im pogodzić czarno-białą opowieść o bohaterach i zdrajcach z np. fotografiami w rodzinnych albumach. Myślę jednak, że upłynie sporo czasu, zanim taka krytyczna refleksja stanie się udziałem większych społeczności.



Jerzy Ziętek (nz. z prawej, z Janem Mitręgą – ministrem górnictwa i energetyki), którego na Śląsku nie nazywano inaczej niż wojewodą, cieszył się w regionie zasłużonym szacunkiem.

Doraźna „komuna”

Piotra Osękę, doktora habilitowanego i profesora historii w Instytucie Studiów Politycznych PAN, trudno zakwalifikować jako miłośnika PRL-owskiego komunizmu. Ma w dorobku liczne prace o partyjnej propagandzie, nowomowie i antysemityzmie – w 1999 r. debiutował książką „Syjoniści, inspiratorzy, wicherzyciele. Obraz wroga w propagandzie Marca 1968”.

– To, jak PiS definiuje w swojej polityce „komunę” i „postkomunę”, pokrywa się tak naprawdę z doraźnymi

podziałami. Czyli to, kto stanowi dziś „komunę”, jest definiowane na bieżąco na potrzeby aktualnego konfliktu rządu i jego przeciwników – tłumaczy. Słowem, w „dekomunizacji” nie chodzi przede wszystkim o odebranie ulic i placów faktycznym historycznym zbrodniarzom i usunięcie symboli totalitarnej władzy. Choć o tym właśnie mówi ustawa.

Czego więc tak naprawdę chcą autorzy i wykonawcy „dekomunizacji”? – PiS walczy o wymianę elit. Aby dorobić uzasadnienie do kompletnej wymiany kadr – urzędniczych, kulturalnych, akademickich i sędziowskich – władza ubiera aktualny interes w szaty historyczne. Próbuje pokazać, że dokonuje wymiany elity złej, ze złego nadania, tej, która przyjechała na sowieckich tankach, na elitę właściwą – wyjaśnia Osęka. Wskazuje, że problem jest szerszy niż sam proces „dekomunizacji” – problemem jest rewolucyjna konieczność przepisanie historii w ogóle i urzędowego zaprowadzenia jej ujednoliconej wersji. Ambicje sterowania pamięcią, ustanawiania kultu i wprowadzania do panteonu coraz to nowych bohaterów, w tym rodziny prezesa Jarosława Kaczyńskiego, ważnych postaci w PiS czy odrzucanych przez lokalne społeczności bohaterów władzy, skutkują sprzeciwem wobec polityki historycznej PiS wśród ludzi, którzy dotychczas pozostawali wobec samego IPN obojętni czy nie darzyli ciepłymi uczuciami żadnych PRL-owskich patronów.

– Są nazwy ulic nie do obrony – twierdzi Osęka. – Pozostaje jednak pytanie o formę dekomunizacji. A tu środek był celem samym w sobie. Władza potrzebowała masy faktycznych i wymyślonych zbrodniarzy, żeby pokazać, jak wiele musi po swoich konkurentach politycznych posprzątać, bo oni, „komuniści z urodzenia albo postkomuna duchem”, nigdy by tego nie zrobili. Zamiast korekty rzeczywistości w słusznym kierunku zafundowano nam próbę zbudowania całkowicie nowej, czarno-białej tożsamości historycznej.

Na podstawie m.in. ekspertyzy Piotra Osęki Naczelny Sąd Administracyjny uchylił w grudniu 2018 r. decyzję wojewody mazowieckiego o zmianie nazw 44 ulic w Warszawie. Wśród uratowanych wyrokiem sądu patronów ulic są Armia Ludowa, dąbrowszczacy, Stanisław Tołwiński i Józef Lewartowski.

Rosządy warszawskie

PiS niejako włącza więc niezwiązanych do sporu z aktualnymi przeciwnikami, by w oczach opinii publicznej zohydzić tych drugich za pomocą pierwszych. No bo jak to? Trzaskowski, niby taki Europejczyk, wyedukowany i postępowy, a w Warszawie walczy o Duracza i Armię Ludową – podpowiada partyjny przekaz dnia.

Problem rzecz jasna w tym, że – trzymając się Warszawy – wojewoda w ramach dekomunizacji wyznaczył do zmiany nazw kilkadziesiąt ulic. W sfinansowanej m.in. przez Polską Fundację Narodową książeczce

wrzucanej na początku 2018 r. warszawiakom do skrzynek pocztowych możemy się zapoznać z wyborem uzasadnień decyzji wojewody. Po wojenny prezydent Warszawy Stanisław Tołwiński jest w broszurze określany jako „uczestnik rewolucji październikowej w Rosji”. Józefa Lewartowskiego, jednego z organizatorów żydowskiego ruchu oporu w getcie, zamordowanego przez

– dziwi się dr Adam Ostolski, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego. – Przecież na tej zasadzie należałoby zakazać międzynarodowych obchodów odbywających się co roku 27 stycznia w Auschwitz, bo obóz wyzwolili tacy sami komuniści jak ci, którzy wyzwolili Warszawę.

Podobny absurd wskazuje także Piotr Osęka, mówiąc, że konsekwencją myślenia współczesnej prawicy

Liczni publicyści i aktywiści lewicowi są zdania, że prawica dochodzi już do ściany radykalizmu i szczytów absurdu.

gestapo, podpisano: „Komunista, członek Polewkomu”. Oskar Lange, wybitny na skalę światową polski ekonomista, to „działacz komunistyczny”. Gdy w książeczce trafiamy na strony poświęcone Komitetowi Obrony Robotników, okazuje się, że najważniejszym jego działaczem był Antoni Macierewicz, a Adamowi Michnikowi zasłonięto twarz, aby nie było go widać na wspólnej fotografii członków KOR.

– Warszawa doświadczyła kilku podejść do dekomunizacji, ale do niedawna wydawało się nie do pomyślenia, że ktoś mógłby „dekomunizować” ulicę 17 Stycznia, upamiętniającą datę wyzwolenia Warszawy od faszystów. Jednak w ramach wprowadzania w życie ustawy dekomunizacyjnej z 1 kwietnia 2016 r. na taki pomysł wpadł wojewoda, a po unieważnieniu decyzji wojewody przez sąd na to samo zdecydowały się władze Warszawy

o dekomunizacji byłoby pozbawienie Warszawy placów Starynkiewicza i Piłsudskiego. Pierwszy był carskim generałem, drugi wsadzał przeciwników do więzień i sprawował władzę dyktatorską.

Co z tym zrobić? Adam Ostolski: – Lewicowa polityka historyczna powinna polegać na szukaniu wspólnego gruntu i dopuszczaniu większej liczby głosów i perspektyw niż dotychczas. Ale ten proces nie może polegać ani na zgodzie na usuwanie w trybie dekomunizacji „kontrowersyjnych” nazw, ani na uświęcaniu zbrodniarzy wojennych, których prawica próbuje przemycić pod etykietką „żołnierzy wyklętych”.

Jakub Dymek

Autor dziękuje za pomocne uwagi Janowi Bińczykowskiemu i słuchaczom Halo.Radio oraz czytelnikom PRZEGŁĄDU, którzy dzielili się swoimi spostrzeżeniami na temat procesu „dekomunizacji” w ich miastach.

Przedłuż prenumeratę PRZEGŁĄDU na pocztę

Zamówienia można składać do 25 listopada 2019 r.

Prenumeraty pocztowe będą realizowane od stycznia 2020 r. po dokonaniu przedpłaty:

74 zł – I kwartał 148 zł – I półrocze 296 zł – cały rok

- we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy;
- drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl.

Od stycznia 2020 r. nie kontynuujemy prenumeraty redakcyjnej. Nie zapomnij jej przedłużyć na pocztę!

Prosimy o niedokonywanie wpłat na konto Fundacji Oratio Recta. Liczymy, że pozostaniecie Czytelnikami PRZEGŁĄDU.



0 edukacji seksualnej bez ściemy

Kto się boi wagin i penisów?

Anna Brzeska

Projekt „Stop pedofilii”, penaliżujący edukację seksualną, pozytywnie przeszedł pierwsze czytanie na ostatnim posiedzeniu Sejmu VIII kadencji. Prawicowe media straszą seksualizacją dzieci, „genderem” i LGBT, a zgnili Zachód znów jest wrogiem numer jeden. Wychodząc ze sfery bajek i mitów, zwróćmy się ku faktom i liczbom, by zobaczyć, kto tak naprawdę ma problem z tym, że młodzież prędzej czy później zaczyna uprawiać seks.

SZACUNKOWY ODSETEK CIĄŻ U NASTOLATEK W WIEKU 15-19 LAT (NA 1000 KOBIET) W LATACH 2015-2020, DANE ONZ

Polska	10,5
Czechy	12,0
Rosja	20,7
Moldawia	22,4
Węgry	24,0
Słowacja	25,7
Bułgaria	9,9
Szwajcaria	2,8
Holandia	3,8
Dania	4,1
Belgia	4,7
Francja	4,7
Norwegia	5,1
Szwecja	5,1
Finlandia	5,8
Islandia	6,3
Austria	7,3
Irlandia	7,5
Niemcy	8,1
Wielka Brytania	13,4

Ktoś powie, że te wskaźniki tak wyglądają, ponieważ zachodnie nastolatki częściej decydują się na aborcję, więc urodzeń wśród nich jest mniej. A jednak nie. Jeśli popatrzymy na liczbę dokonywanych

aborcji, znika podział na Wschód i Zachód.

LICZBA ABORCJI NA 1000 ŻYWYCH URODZEŃ, DANE WHO, 2015 r. (HOLANDIA – 2014 r.)

Szwajcaria	118
Słowacja	126
Niemcy	135
Holandia	152
Finlandia	171
Czechy	184
Islandia	223
Wielka Brytania	255
Francja	268
Szwecja	331
Węgry	340
Rumunia	378
Bułgaria	421

Skąd więc różnice między Wschodem a Zachodem w kwestii ciąży u nastolatków? Odpowiedzią jest przede wszystkim poziom edukacji seksualnej.

Holandia, czyli lewacki raj

Holenderska edukacja seksualna to znakomity przykład edukacji kompleksowej, która ma na celu przekazanie uczniom wiedzy, umiejętności i wartości niezbędnych do dokonywania zdrowych wyborów w życiu seksualnym. Jest ona obowiązkowa i postrzegana w kategorii prawa dzieci do edukacji, nie zaś sprawy warunkowanej przez światopogląd rodziców. Skuteczność modelu widać w świetnych statystykach.

„Już czterolatki w przedszkolu dowiadują się, co to znaczy zakochać się, i o miłości rozmawiają z wychowawcą. Uczą się też odróżniać normalne przytulenie dziadka, wujka czy przyjaciela taty od takiego, które w Polsce nazywamy »złym dotykiem«. Maluchy dowiadują się, jak mają reagować w sytuacji



zagrożenia molestowaniem i zastraszaniem przez dorosłego – pisze na portalu Polonia.nl Ewa Grochowska, polska dziennikarka mieszkająca w Holandii. – Siedmiolatek ma umieć nazwać wszystkie części ciała, w tym narządy płciowe, poznać także, obok tradycyjnych, różne typy rodzin, np. złożone z pary lesbijek lub gejów. W wieku 11 lat uczeń holenderskiej szkoły omawia rodzaje orientacji seksualnej, uczy się szacunku i akceptacji różnorodności w tym zakresie”. Już 11-latek ma szansę zdobyć w szkole wiedzę w zakresie antykoncepcji.

Warto jednak zwrócić jeszcze uwagę na czynnik, który często pomija się w dyskusjach o aborcji czy edukacji seksualnej. Mianowicie w krajach Europy Zachodniej liczną grupę stanowią imigranci i potomkowie imigrantów z krajów muzułmańskich. Tak jest również w Holandii. Wydawać by się mogło, że obowiązujące muzułmanów restrykcyjne prawo obyczajowe powinno wpływać na ogólnokrajowe wyniki w sposób pozytywny. Liczby tymczasem mówią co innego. Z danych opublikowanych przez holenderski odpowiednik GUS (dla 2008 r.) wiemy, że „wskaźnik aborcji jest znacznie wyższy wśród niektórych niezachodnich grup etnicznych niż wśród kobiet pochodzenia holenderskiego”. Jeśli chodzi o Holenderki, wskaźnik ów wyniósł



5,5 na 1000 kobiet, u Turczynek ok. 12, a u Marokanek ok. 19.

Nie udało mi się ustalić, czy podobnie dzieje się w innych krajach europejskich z dużą liczbą imigrantów. Warto jednak o tym pamiętać, zanim Szwecję czy Wielką Brytanię, gdzie wskaźniki aborcyjne są relatywnie wysokie, uznamy za „porażkę permi-sywnej edukacji seksualnej”.

Szwajcaria – edukacja seksualna jako interes publiczny

Na szczególną uwagę zasługuje Szwajcaria z najniższym odsetkiem ciąży u nastolatków. – To państwo federalne, więc większość odpowiedzialności za edukację seksualną spada na władze kantonów – mówi Anka Grzywacz, polska seksuolożka i coach mieszkająca w Szwajcarii. – W każdym z nich może obowiązywać inny program nauczania. W programach edukacji seksualnej w szkołach zawarte są jedynie sugestie, co dzieci czy młodzież powinny umieć na danym etapie nauczania. W dodatku każda szkoła również ma pewną autonomię i we własnym zakresie ustala, jak omawiać dane zagadnienie.

Ekspertka wyjaśnia, że na wczesnych etapach edukacji (przedszkole i pierwsze lata podstawówki) edukacja seksualna jest realizowana w szerszych blokach

tematycznych. – Bardziej chodzi tu o to, by nauczyciele poruszali kwestie z tej dziedziny w odpowiedzi na konkretne potrzeby dzieci. Rozmawiali z nimi, wspólnie oglądali filmy.

Sprawy związane ściślej z seksem czy antykoncepcją pojawiają się dopiero w edukacji nastolatków, między 11. a 14.-15. rokiem życia (do tego wieku jest w Szwajcarii obowiązek szkolny). – Tu też występują spore różnice w zależności od kantonu czy nawet szkoły. Jeśli chodzi o zakres poruszanych zagadnień, to, co wspólne dla danego kantonu, jest określone w programie bardzo ogólnie, np. jako prawa człowieka, seksualność, rozumienie różnych sytuacji życiowych, dotyczących przyjaźni czy relacji, bądź różnic między płciami, a także zagadnienia związane z ciałem i zdrowiem człowieka. Dużo zależy więc od kompetencji nauczyciela – tłumaczy dalej ekspertka.

Co zatem różni Polskę i Szwajcarię? Anka Grzywacz wymienia przede wszystkim brak możliwości wypisania dziecka z zajęć z edukacji seksualnej. – Zasada ta została usankcjonowana wyrokiem sądu w głośnej sprawie zainicjowanej przez grupę rodziców z Bazylei, którzy nie chcieli, by ich dzieci uczestniczyły w tego rodzaju zajęciach. Sąd jednoznacznie określił, że przekazywanie wiedzy o zdrowiu seksualnym lub przeciwdziałaniu przemocy odbywa się w ramach dbania o interes publiczny. W praktyce w tutejszych szkołach często nawet nie informuje się rodziców o tym, że planowana jest jakaś pogadanka, a jeśli już pojawia się taka informacja, ma raczej charakter oznajmujący niż pytający, czy można. Wiem również, że rzadkością są zgłoszenia rodziców, którzy nie chcą, by ich dzieci brały udział w tego rodzaju zajęciach.

Ekspertka podkreśla, że antykoncepcja, w tym postkoitalna, jest dostępna bez recepty, a szwajcarskie nastolatki mogą iść do ginekologa bez wiedzy rodziców.

Nie bez znaczenia jest także istnienie i sprawne działanie edukacji uzupełniającej, pozaszkolnej. – W Szwajcarii funkcjonują zewnętrzne wobec szkoły centra zdrowia czy poradnictwa seksualnego – mówi Anka Grzywacz. – Młodzi ludzie mogą tam przyjść, uzyskać poradę, zrobić testy na HIV albo inne choroby, dostać prezerwatywy.

Polska i Węgry – czyli jak się chroni rodzinę

W Polsce edukacja seksualna realizowana jest w ramach przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie. Zarówno u nas, jak i na Węgrzech* – od czasu przejścia tam władzy przez narodowo-konserwatywny Fidesz – jest to edukacja abstynencyjna, skupiona głównie na podkreślaniu wartości małżeństwa (rozumianego jako związek heteroseksualny) i rodziny. Na Węgrzech założenie, że szkoła powinna przede wszystkim przygotować dzieci do życia w rodzinie, zostało wpisane do specjalnego Aktu Ochrony Rodziny, wydanego w 2012 r.

Wysiłki pedagogów powinny zmierzać do przekonania młodzieży, że z seksem należy czekać do ślubu. W zakresie umiejętności, które musi przyswoić uczeń, jest nawet wymienienie „argumentów biomedycznych, psychologicznych, społecznych i moralnych za inicjacją seksualną w małżeństwie”. Młodzież w polskiej i węgierskiej szkole jest poza tym przekonywana, że antykoncepcja mechaniczna i farmakologiczna i tak się nie sprawdza.

W Polsce widać nacisk na „rodzinne wychowanie do miłości, prawdy, uczciwości, wychowanie patriotyczne, religijne, moralne (...), uświadomienie i uzasadnienie potrzeby przygotowania do zawarcia małżeństwa i założenia rodziny”, a dorastanie i seksualność postrzegane są w kategoriach trudności do pokonania.

Jak raportuje grupa Ponton, wychowanie do życia w rodzinie bardzo często jest prowadzone przez katechetów, w sposób nudny i naszpikowany ideologią, w której naturalne zainteresowanie seksem ma być raczej tłumione. W podręcznikach trafiają się cytaty z Jana Pawła II. Natomiast w podstawie programowej i komentarzu do niej – jak przeanalizowali aktywiści z Pontonu – „słowo seks pojawia się dwa razy, jako cyberseks oraz uzależnienie od seksu. Antykoncepcja pojawia się pięć razy, za każdym razem przeciwstawiona naturalnym metodom planowania rodziny, przyrównywana właściwie do aborcji”.

I na Węgrzech, i w Polsce antykoncepcja postkoitalna (pigułka „dzień po”) dostępna jest jedynie na receptę. Jeśli chodzi o aborcję, to mimo że ▶

► w węgierskiej konstytucji od 2012 r. znajduje się zapis o ochronie życia ludzkiego już od poczęcia, prawo wciąż zezwala na usunięcie ciąży do 12. tygodnia, jeśli kobieta jest w trudnej sytuacji życiowej. Przed zabiegiem kobieta ma obowiązek dwukrotnie spotkać się z psychologiem – między

brytyjskich i szwedzkich naukowców. Oto jej fragment: „Edukacja seksualna nie jest w Bułgarii obowiązkowa i nie ma minimalnych standardów jej świadczenia. Uważa się, że jej zasięg jest niewystarczający i na wsi praktycznie nie istnieje. Edukacja seksualna rozpoczyna się, gdy

nastolatki wciąż masowo zachodzą w ciążę. O co chodzi? – Na Wyspach Brytyjskich obowiązywał wcześniej słabo przemyślany system wsparcia socjalnego – wyjaśnia Antonina Lewandowska, edukatorka z grupy Ponton. – Młodzi rodzice mogli liczyć np. na darmowe lub dofinansowane mieszkanie. Naturalnym następstwem takiej polityki był wzrost odsetka ciąż u nastolatek. Bo jeżeli awans społeczny jest trudny do osiągnięcia (gdy mowa o nastolatkach z uboższych rodzin), kusi zdobycie pewnego komfortu życiowego inną drogą niż ta, do której dostęp mamy utrudniony. Sytuacja wymknęła się więc Brytyjczykom spod kontroli, ale w końcu zorientowali się, że nie idą dobrą drogą. W 1999 r. rząd przedstawił plan strategii walki ze zjawiskiem nastoletnich ciąż. Znowelizowano program edukacji, a od tego roku edukacja seksualna będzie przedmiotem obowiązkowym w brytyjskich szkołach. Zapewniono także dostęp do antykoncepcji dla młodzieży, prowadzone są kampanie społeczne w mediach, stworzono rozsądny system wsparcia dla osób, które już zostały młodymi rodzicami. Przy realizacji programu współpracują ministerstwo zdrowia i edukacji, powstało nawet specjalne biuro do

Szwajcaria ma najmniejszy wskaźnik ciąż wśród nastolatek i aborcji. Edukacja seksualna jest tam obowiązkowa.

spotkaniami ma zaś trzy dni na ponowne przemyślenie swojej decyzji. Co więcej, prawo węgierskie zakazuje powszechnie już praktykowanej w Europie aborcji farmakologicznej. Organizacje zajmujące się prawami kobiet raportują też o utrudnionym dostępie do opieki ginekologicznej, wynikającym z cięć nakładów na służbę zdrowia w tym zakresie.

Węgrzy chwalą się jednak, że w ciągu pięciu lat od objęcia rządów przez Fidesz liczba aborcji spadła o 23%. Czyżby działała wychowawcza rola prawa, której skutecznością węgierski rząd broni się przed zarzutami środowisk konserwatywnych chcących zaostrzenia prawa aborcyjnego? Raczej nie. Efektem pewnego utrudnienia dostępu do legalnej aborcji i opieki ginekologicznej jest wzrost liczby zabiegów dokonywanych przez Węgierki za granicą. Rezultaty: dyskryminacja kobiet najuboższych oraz brak możliwości rzetelnego ujęcia zjawiska w statystykach, co od lat jest również polską bolączką.

Ma to zresztą dalsze skutki. Brak rzetelnych statystyk ułatwia tworzenie treści propagandowych, w których zestawia się małą liczbę legalnych aborcji w Polsce z ich znacznie większą liczbą w krajach zachodnich. Pokazują one, że „aborcji wcale nie jest u nas tak dużo, więc edukacja seksualna czy liberalizacja prawa nie jest nam potrzebna”. To manipulacja.

Bułgaria – aborcyjni rekordziści

Bułgarskie statystyki wyglądają słabo, zarówno jeśli chodzi o ciążę nastolatek, jak i w kwestii współczynnika aborcji. Przyczyny tego stanu rzeczy zostały scharakteryzowane w publikacji „Sexuality education in Europe: an overview of current policies” z 2009 r., autorstwa

uczniowie mają ok. 11-12 lat, i koncentruje na męskim i żeńskim układzie rozrodczym, zakażeniach przenoszonych drogą płciową, w tym zagadnieniach związanych z profilaktyką przeciwko HIV/AIDS, antykoncepcją i przemocą, mniej zaś na aspektach emocjonalnych. Zajęcia nie odbywają się regularnie, a nauczyciele nie są odpowiednio przeszkoleni do prowadzenia edukacji seksualnej”.

Francja – laicka czy religijna?

We Francji edukacja seksualna jest obowiązkowa, rodzice nie mogą po prostu wypisać dzieci z zajęć. Odbywa się w szkole podstawowej i ponadpodstawowej, począwszy od,

W podstawie programowej wychowania do życia w rodzinie słowo seks pojawia się dwa razy, jako cyberseks oraz uzależnienie od seksu.

mniej więcej, szóstego roku życia. Musi uwzględniać wiedzę biologiczną oraz psychologiczną, emocjonalną, społeczną, kulturową i etyczne wymiary seksualności. Lekcje prowadzone są przez odpowiednio przeszkolonych nauczycieli, a nawet pracowników służby zdrowia.

Edukacja seksualna akceptowana jest przez większość społeczeństwa, co wynika też z powszechnego traktowania młodzieży jako „istot seksualnych”, jak ujmują to autorzy wyżej wspomnianej brytyjsko-szwedzkiej publikacji o edukacji seksualnej w Europie.

Wielka Brytania – co poszło nie tak?

Wielka Brytania od lat podawana jest jako przykład kraju, gdzie mimo wieloletniej edukacji seksualnej

spraw nastoletniego rodzicielstwa. Cały ten plan przewidywał, że w ciągu 10 lat liczba nastoletnich matek zmniejszy się o połowę. Pierwsze efekty było widać już po kilku latach i są one coraz bardziej spektakularne. W tej chwili Wielka Brytania ma już podobny odsetek nastoletnich ciąż jak Polska.

Ekspertka podkreśla, że spada też wskaźnik liczby aborcji wśród nastolatek. Od 2008 r. zmniejszył się on o ponad połowę – z 18,9 do 8,1 na 1000 kobiet. Tym samym Wielka Brytania powoli przestaje być asem w rękawie przeciwników edukacji seksualnej.

Anna Brzeska

* Informacje o sytuacji na Węgrzech pochodzą z tekstu Bianki Vidy „New waves of anti-sexual and reproductive health and rights strategies in the European Union: the anti-gender discourse in Hungary”, zamieszczonego na www.tandfonline.com.

Rozmawia Robert Walenciak

Przeliczyłem wyniki październikowych wyborów metodą Saint-Laguë, niemodyfikowaną, i wyszło, że PiS dostałoby 200 mandatów. Czyli straciłoby aż 35. Ale większość z nich przeszłaby do Konfederacji.

– Konfederacja była w wielu okręgach tuż nad progiem 5%, ale nie zdobyła mandatu ze względu na wielkość okręgu. Bo nie przekroczyła tzw. naturalnego progu wyborczego, który w małych okręgach, ośmiocy lub dziesięciomandatowych, przy metodzie D'Hondta był dużo wyższy niż 5%.

W efekcie np. w okręgu tarnowskim 60% poparcia dla PiS dało mu siedem mandatów na dziewięć możliwych. A Konfederacja z ponad 7% poparcia mandatu w tym okręgu nie dostała.

– Mocno spieramy się o sposób przeliczania głosów, a wydaje mi się, że jeszcze większe znaczenie ma wielkość okręgów wyborczych. W polskich wyborach kluczowym, choć niedocenionym parametrem jest wielkość okręgu – czyli liczba mandatów do podziału. Wielkość okręgu łatwo modyfikować. A to ma kolosalne znaczenie, zwłaszcza dla partii, które znajdują się tuż nad progiem ustawowym. Do tego dorzuciłbym wnioski z analiz Jarosława Flisa, który wskazał, że w październikowych wyborach nie przeprowadzono korekty populacyjnej.

Czyli okręgi, w których ubyto mieszkańców, wciąż mogły wybierać tylu posłów, ilu wybierały cztery lata wcześniej. Dało to PiS dwa mandaty.

– Jest jeszcze kwestia wagi głosów. W okręgu warszawskim głos wyborcy wart był prawie połowę mniej niż w innych okręgach. Głównie dlatego, że wszystkie głosy z zagranicy były dołączane do głosów w Warszawie, bez odpowiedniego zwiększenia liczby mandatów w okręgu. Konstytucja mówi o wyborach pięcioprzymiotnikowych. Jeżeli więc przyjmujemy, że wybory mają być równe, to znaczy, że każdy głos powinien być mniej więcej równy, mieć podobną wagę. Możemy dopuścić pewne odchylenia, choćby ze względu na zróżnicowany poziom frekwencji wyborczej, ale nie takie,

System wyborczy nie powstaje w próżni

Powinniśmy dyskutować nad obniżeniem ustawowego progu wyborczego

DR ADAM GENDŹWIŁ

– socjolog, adiunkt w Katedrze Rozwoju i Polityki Lokalnej na Wydziale Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizuje się w badaniach systemów wyborczych i polityki samorządowej, ekspert Fundacji Batorego.



w których wystarczy przejechać granicę administracyjną Warszawy i waży głos wzrośnie niemal dwukrotnie! To jest nie do przyjęcia.

W okręgu elbląskim 250 tys. wyborców wybrało ośmiu posłów, a w Warszawie oddano prawie 1,4 mln głosów, żeby wybrać 20 posłów.

– Oznacza to, że na jeden mandat poselski w okręgu elbląskim przypada nieco ponad 31 tys. głosów, a w Warszawie – ponad 69 tys. Tych 20 posłów w stolicy wybierali mieszkańcy miasta plus głosujący za granicą, plus głosujący na podstawie zaświadczenia, bo w Warszawie więcej osób mieszka, niż jest zameldowanych na stałe. No i mieliśmy tu ponadprzeciętną frekwencję.

Silna ręka czy mądra głowa?

Czy warto budować system bardziej proporcjonalny niż ten, który obowiązuje? Czy to się opłaca?

– To jest pytanie o wartości. Żaden rozsądny badacz systemów wyborczych nie powie, że istnieje jakiś

jeden idealny system. Zanim więc zaczniemy projektować system wyborczy, musimy wpierw odpowiedzieć sobie na pytanie, co dla nas jako wspólnoty jest ważne. Jakim wartościom ten system ma służyć? Ja jestem przekonany, że proporcjonalność jest ogromną wartością. Dużo badań politologicznych pokazuje, że systemy proporcjonalne zwiększają poczucie sprawczości obywateli. Zwiększają też możliwość reprezentacji różnych poglądów politycznych. Oczywiście musimy zgodzić się z tym, że czasami będą to poglądy, których nie zaakceptujemy. Ale nadają one znaczenie debacie parlamentarnej i parlamentarystom jako takiemu.

Są tacy, którzy debatę uznają za niepotrzebne gadulstwo.

– To jest pytanie: czy chcemy na pierwszym miejscu postawić sprawność rządów, rządy silnej ręki, które mogą szybko i sprawnie zrobić to, co chcą, bez oglądania się na tymczasowe mniejszości, czy stawiamy na koncyliacyjną naturę systemu politycznego, czyli na to, żeby projekty

► polityczne wymagały porozumienia różnych środowisk. Myślę, że doświadczenie minionej kadencji uczy, że nasz system polityczny jest niezbyt odporny na takie szybkie posunięcia, na rządy za pomocą ekspresowych ustaw, przyklepywanych gdzieś w nocy, przechodzących ekspresową ścieżkę legislacyjną, natychmiast podpisywanych. A potem nowelizowanych, bo nieraz w tym pośpiechu są jak pisane na kolanach. **Czyli lepiej, żeby to wszystko było dogadane w szerokim porozumieniu, niż narzucone przez silną władzę?**

– Pytanie, jak silna jest w społeczeństwie akceptacja dla pluralizmu, i to niekoniecznie w najprostszym, dwublokowym wariacie myślenia. No i fundamentalne pytanie o parlamentaryzm: czy to, że ludzie o bardzo różnych poglądach zbierają się w jednej sali i dyskutują, próbują wzajemnie się przekonywać, szukają kompromisowych rozwiązań, jest dla nas wartością.

A jest?

– Polacy są w tej sprawie podzieleni. Duża część naszego społeczeństwa oczekiwałaby prostych rozwiązań, rządów silnych, niedyskutowanych znanadto, niesłuchających głosów opozycji. Ale trzeba wiedzieć konsekwencje takiej sytuacji.

Europa czy Ameryka?

Bo to pogłębia podziały.

– I zamiast dyskusji mamy rytualny konflikt. To również deprawuje opozycję. Sprzeciwiający się zaczyna protestować nieodpowiedzialnie, kiedy jest przekonany, że jego głos nie zostanie wzięty pod uwagę. W związku z tym polaryzacja rośnie. W ogóle systemy polityczne, w których mamy silną regułę większościową i wielkie partie, bardzo często wchodzi w fazę mocnej polaryzacji. Stany Zjednoczone – to teraz przykład systemu niezwykle spolaryzowanego. Można powiedzieć, że nie ma tam opcji pośrednich. Natomiast pamiętajmy, że europejska kultura parlamentaryzmu w większości wypadków jest związana z wielopartyjnością, z różnorodnością i bardzo często z rządami koalicyjnymi.

Czyli z budowaniem szerszego poparcia społecznego dla różnych propozycji.

– W niektórych krajach niezależnie od tego, jakie partie są w koalicji, pewne propozycje legislacyjne, wpływające na bieg spraw w horyzoncie przekraczającym jedną kadencję, są konsultowane w szerszym gronie i również opozycja ma tu konstruktywną rolę. Bo ponosi odpowiedzialność za udział w porozumieniu politycznym. A przecież mnóstwo spraw wychodzi poza perspektywę kadencji, dlatego im więcej rąk na pokładzie, tym lepiej. Ja widzę w tym wartość. Ale też wiem, że jest silna, rezonująca społecznie kontrpropozycja – wahadła większościowego.

Na jeden mandat poselski w okręgu elbląskim przypada nieco ponad 31 tys. głosów, a w Warszawie – ponad 69 tys.

Cała władza w ręce jednych, niech się sprawdzą, a potem, ewentualnie, cała władza w ręce drugich. To może jeszcze jakoś się sprawdzać w krajach o wysokiej kulturze prawnej, z silną, niezależną administracją. Ale patrząc na polską sytuację, nie wierzę, żeby to przynosiło długofalowe dobre rozwiązanie.

Ja także wolę mozaikę ugrupowań, a nie dwie wrogie armie.

– Są dowody empiryczne na to, że wyborcy, którzy nie uzyskują reprezentacji, wycofują się. Spada frekwencja wyborcza, mobilizacja, poczucie, że ma się wpływ na politykę i że ona ma sens.

To wypycha część wyborców na tzw. emigrację wewnętrzną.

– Weźmy wyborców obecnej opozycji np. w województwie podkarpackim – jaką ofertę ma dla nich system wyborczy? System proporcjonalny mówi im: będziecie mieli reprezentację – małą, bo małą, ale będziecie mieli przedstawicieli swoich interesów i wartości w parlamencie. Kiedy mamy radykalny system większościowy, który mówi: albo-albo, taki jak JOW-y, cała reprezentacja okręgu jest w rękach przedstawiciela większości. Jeżeli więc jesteśmy zwolennikami szerokiej podmiotowości, szukania porozumienia, to wybory proporcjonalne dają do tego solidną bazę.

Wadą systemów większościowych jest też to, że są związane z terytorialnością głosowania. Wiemy, że w okręgach jednomandatowych o małym obszarze zaczynają odgry-

wać rolę terytorialne partykularyzmy. Wybierani przedstawiciele stają się nieuchronnie patronami lokalnych interesów i konflikty idące po linii podziałów partyjnych są dodatkowo komplikowane przez konflikty terytorialne.

A wady systemów proporcjonalnych?

– Proszę sobie przypomnieć Sejm 1991-1993. Nadmierne rozdrobnienie to także problem, bo niczego nie można ustalić, trudno zgromadzić większość. Choć gdy mówimy o nadmiernym rozdrobnieniu, warto dokładnie obserwować Sejm obecnej

kadencji. Niby mamy w nim pięć ugrupowań, ale jak się przyjrzymy porozumieniom wyborczym, to przecież te ugrupowania nie są jednolite. Lewica nie jest jednolita, w Koalicji Obywatelskiej mamy Zielonych i frakcję lewicową, w PSL Kukiza... PiS też nie jest monolitem, bo Gowin i Ziobro mają swoje partie satelickie, a Konfederacja to też zupełnie różne środowiska. Spodziewam się, że to wszystko w trakcie kadencji będzie się dzielić. Pouczający, choć pewnie skrajny, jest przykład Sejmu 2001-2005. Widać było, jak z posiedzenia na posiedzenie stawał się coraz bardziej rozdrobniony i kończył swój żywot z ponad 70 posłami niezrzeszonymi. Nic nie jest dane raz na zawsze, kiedy partie są słabe.

To nie czarodziejska różdżka

Mówiliśmy na początku, że system proporcjonalny przebudowuje strukturę polityczną, zmusza do negocjacji, do rozmów, do szanowania tego drugiego.

– To obustronna zależność, bo pamiętajmy, że system wyborczy też jest produktem pewnej kultury politycznej, nie powstaje w próżni. Podam pewien przykład – przez lata w podręcznikach politologii prezentowane było tzw. prawo Duvergera, które mówi, że większościowy system wyborczy niemal nieuchronnie generuje system dwupartyjny. A popatrzmy, co się dzieje teraz w Wielkiej Brytanii, gdzie silny system większościowy i JOW-y są właściwie od

zawsze. Najpierw pojawiło się tam zróżnicowanie polityczne między regionami Zjednoczonego Królestwa, więc pojawiły się partie narodowe.

Szkocka Partia Narodowa i rojalisci w Ulsterze.

– Potem pojawiła się na agendzie politycznej sprawa stosunków z Unią Europejską, nieobsługiwana przez dwie główne partie. I co się zdarzyło? Weszła do gry UKIP. A gdy rozpoczął się brexit, tradycyjne partie zaczęły się rozpadać wewnętrznie. I proszę, mamy system większościowy, a parlament wygląda, jakby był produktem wyborów proporcjonalnych.

Powinniśmy więc dyskutować nad poprawieniem obecnej ordynacji czy może lepiej dać sobie spokój?

– Byłbym bardzo ostrożny, jeśli chodzi o wprowadzanie modyfikacji pod wpływem wyborczego impulsu czy jakiejś partykularnej, krótkoterminowej kalkulacji. Najpierw potrzebujemy namysłu nad tym, jakim

Ile więc mandatów powinien mieć okręg wyborczy? Osiem-dziesięć to za mało.

– W wariacie, w którym nie ma puli kompensacyjnej mandatów, czyli nie odkładamy sobie części mandatów, żeby potem zrównoważyć ewentualne dysproporcje, okręgi powinny liczyć po kilkanaście mandatów. Po to, żeby ten naturalny próg wyborczy w okręgu, czyli procent potrzebny do zdobycia ostatniego mandatu, nie był znacznie wyższy od ustawowego progu 5%.

Ten próg też jest ważny?

– To jeden z wyższych progów, potrafi on zahamować wiele nowych inicjatyw. W skali kraju jest dla wielu podmiotów nie do przejścia, zwłaszcza przy coraz wyższej frekwencji. Mamy wysoki próg wejścia do polityki, pytanie więc, czy jesteśmy aż tak zadowoleni z tych wszystkich inicjatyw, które obecnie są na scenie. Poza tym wysoki próg może karać

Okręgi powinny mieć po kilkanaście mandatów, żeby naturalny próg wyborczy w okręgu nie był znacznie wyższy od ustawowego progu 5%.

wartościom mają te nowe wyborcze reguły służyć. Dyskusja nad ewentualnymi zmianami powinna być długa, może nawet trwać latami, pod warunkiem że ktoś będzie ją modyfikował. Powinna być okazją do wykorzystania paneli obywatelskich, rozmawiania z ludźmi o tym, jakie są ich doświadczenia, oczekiwania. Ten proces musi dojrzewać. Bardzo bym studził przekonanie, które ma np. wielu zwolenników JOW-ów, że ordynacja wyborcza to czarodziejska różdżka, która uzdrowi chorą politykę. Naprawdę nic nie wskazuje, że tak jest. Choć oczywiście należy się wstuchać w argumenty krytyków obecnych reguł, bo są w nich cenne obserwacje.

Próg, okręgi – to można zmienić

A co jest do ruszenia w obecnym systemie?

– Powinniśmy dyskutować nad obniżeniem ustawowego progu wyborczego i ewentualnie nad powiększeniem okręgów wyborczych – tak aby zwiększyć proporcjonalność naszego systemu wyborczego. Długofalowo – myśleć nad systemem mieszanym, kompensacyjnym, również przynoszącym proporcjonalne rezultaty.

tych, którzy na scenie politycznej są od lat, ale weszli w okres dekonstrukcji. Czy tego chcemy? Był moment, że wszyscy bali się o PSL, partię najstarszą w Polsce i chyba najbardziej wewnętrznie demokratyczną. A nieprzekroczenie progu 5% najpewniej byłoby dla niej początkiem końca. Chodzi tu nie tylko o wpływy, ale również o finansowanie organizacji – zasobu kluczowego w polityce. Ten strumień, który płynie z kasy państwa do partii politycznych, to przecież nie sama subwencja partyjna. To także biura poselskie w terenie, które tworzą całą partyjną infrastrukturę.

A dyskusja nad zamianą systemu D'Hondta na Saint-Laguë?

– Duże okręgi wyborcze rozwiązałyby ten problem. Lub system mieszanym. Nie dysktualizowalibyśmy wtedy tyle o tym, jak dobra lub jak zła jest reguła D'Hondta. Spójrzmy zresztą – w świecie częściej stosowana jest metoda D'Hondta niż Saint-Laguë. Ta druga występuje zwykle w postaci zmodyfikowanej.

Dlaczego Saint-Laguë przegrywa z D'Hondtem?

– Wydaje mi się, że góruje tu rozumowanie o premii integracyjnej. Pamiętajmy, że funkcją wyborów nie jest wyłącznie wierne reprezentowanie elektoratu. Wybory mają też wyłonić większość zdolną do sprawowania władzy, potrzebna jest więc jakaś sprawność rządzenia. Są systemy wyborcze, takie jak w Grecji czy we Włoszech, w których zwycięzcy dostają po prostu premię mandatów.

Dodatkową pulę?

– Te wybory są z zasady proporcjonalne, ale partia, która je wygrywa, dostaje dodatkową pulę mandatów, żeby móc sformować rząd. Nawet jeśli wygra bardzo wąskim marginesem.

Warto więc zacząć dyskusję o progach i wielkości okręgów.

– Prędzej czy później musiałoby to się stać przedmiotem debaty w parlamencie. Nie wiem, czy będzie na nią przestrzeń, bo to debata ustrojowa, a polaryzacja i wzajemna nieufność wydają się spore. Choć jednocześnie wydaje mi się, że nowy Sejm będzie inny niż ten, który odszedł. Powiedziałbym,

że dużo bardziej proporcjonalny, lepiej reprezentujący zróżnicowania polityczne w społeczeństwie. Formacja rządząca jest otoczona z dwóch stron, a opozycja – wielowymiarowa. Nie da się już łatwo sprzedać narracji o dwóch plemionach, PiS i anty-PiS. Debata będzie się toczyć na różnych frontach, a to wprowadzi z powrotem dyskusję do parlamentu.

Robert Walenciak

Po ciężkiej chorobie odeszła

Grażyna Ostaszewska z domu Radgowska

Prawy człowiek i przyjaciel.
Mądra, kompetentna,
niezwykle uczciwa i solidna.
Wiele Jej zawdzięczam i żegnam z bólem.

**Córce Natalii, mężowi Ryszardowi
i bratu Władysławowi**
bardzo współczuję
Jerzy Domański

Jakub Woroncow

Zaczynał od Narodowego Odrodzenia Polski, najstarszej partii politycznej o profilu narodowo-radikalnym w Polsce. Rasistowskie i antysemickie ugrupowanie utrzymywało kontakty z organizacjami faszystowskimi z Włoch, Niemiec i Wielkiej Brytanii, a w swoich wydawnictwach zamieszczało teksty negujące Holokaust lub wybielające zbrodnie nazistów. Później przeszedł do nowego na naszym podwórku Obozu Narodowo-Radykalnego. W swoim pokoleniu Tomasz Greniuch był jedynym działaczem tej organizacji z tytułem doktora. Ich pierwszą demonstracją była pikietą w Myślenicach upamiętniająca niesławny antysemicki „rajd na Myślenice” Adama Doboszyńskiego

Zdaniem Tomasza Greniucha historyk nie powinien pisać obiektywnie.

z 23 czerwca 1936 r. Podczas obchodów 86. rocznicy III powstania śląskiego, 2 maja 2007 r., na Górze św. Anny ONR-owcy hajlowali, co jest w Polsce karalne. Wśród oskarżonych o ten czyn byli koledzy Greniucha. On sam w sieci przekonywał, że równie dobrze można by o propagowanie faszyzmu oskarżyć Juliusza Cezara. Później zmienił śpiewkę, przyznał, że wykonywanie gestu było błędem. Teraz został p.o. naczelnikiem opolskiej delegatury Instytutu Pamięci Narodowej.

Wyższy typ człowieka

W Siemianowicach Śląskich działa Śląskie Centrum Kultury. Zainicjował je Michał Olszewski, lider górnośląskich narodowców i wydawca książki „Droga nacjonalisty” Tomasza Greniucha. Na stronie Centrum znajduje się wywiad z autorem, w którym tak opisuje on stosowaną przez siebie metodologię badań historycznych: „Historyk nie powinien pisać »obiektywnie«. Pisać należy »subiektywnie«, to znaczy w pracę należy włożyć całą pasję i energię. Pewien filozof stwierdził »pisz krwią, a dowiesz

Neofaszysta i antysemita w IPN

Były koordynator Brygady Opolskiej ONR został naczelnikiem opolskiej delegatury IPN



Tomasz Greniuch na czele pikiety ONR w Myślenicach, 16 maja 2005 r.

się, że krew jest duchem». Ja mam rodzinę, żonę, realizuję powoli marzenia. »Żołnierze Wyklęci« będący przecież ludźmi z krwi i kości, tak jak my, często niemający skończonych 20 lat, wchodzili powoli w dorosłość, wchodzili w etap realizacji dziecięcych marzeń. Oni to wszystko świadomie poświecili. Ja

mam to, czego oni nie mieli. To jest właśnie to spłatenie długu».

Greniuch jest autorem kilku książek na temat Zgrupowania NSZ kpt. Henryka Flamego, „Bartka”. „Legendarna armia Podziemnej Polski, w której tysiące chłopców i dziewcząt w swej młodości i entuzjazmie, zapalonych idealizmem

i wiarą, szło do walki, a tarcze rycerzy z Matką Bożą chroniły ich młode piersi przed wrogą kulą”, pisze o swoich bohaterach. Jego prace to apoteoza działalności Flamego i jego oddziału, szczególnie po wojnie mało chlubnej.

W rozmowie z Onetem Tomasz Greniuch stwierdził: „Moje poglądy nie mają nic wspólnego z moją pracą naukową”. Jednak to nie poglądy polityczne, ale sposób uprawiania historii całkowicie dyskwalifikuje go jako badacza. Mimo to na fali „dobrej zmiany” Greniuch został pracownikiem Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN w delegaturze w Opolu, a teraz pełni obowiązki naczelnika całego opolskiego oddziału. Tę nominację sam zainteresowany skomentował na swoim profilu facebookowym cytatem z Romana Dmowskiego: „Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka”.

Droga, którą przeszedł, jest bardzo ciekawa, nawet w porównaniu z innymi nacjonalistami i neofaszystami na etatach w tej państwowej instytucji. Tomasz Greniuch studiował nauki historyczne w Opolu, gdzie pracował dr Dariusz Ratajczak, autor wydanej w 1999 r. książki „Tematy niebezpieczne”, w której badaczy tematyki żydowskiej nazwał „wyznawcami religii Holocaustu” i oskarżył ich o narzucanie opinii światowej propagandowego obrazu przeszłości. Twierdził też, że „cyklon B stosowano w obozach do dezynfekcji, nie do mordowania ludzi”. Sprawa skończyła się wyrokiem za kłamstwo oświadczenia i usunięciem historyka z uczelni. Dla Greniucha Ratajczak jest mistrzem. Podobnie jak belgijski kolaborant i esesman Léon Degrelle, którego nazywa „bojownikiem o łacińską Europę”.

Swój do swojego po swoje

Kilka lat później grupa studentów związanych z Obozem Narodowo-Radykalnym wywołała głośny skandal. 19 grudnia 2006 r. w Klubie Akademickim odbyło się zebranie lokalnego oddziału ONR. Jego uczestnicy urządzili sobie sesję zdjęciową z rękoma uniesionymi w nazistowskim pozdrowieniu. Zdjęcia ukazały się następnie na blogu Tomasza

Greniucha. W reakcji władze Uniwersytetu Opolskiego zapowiedziały, że „studenci, którzy brali udział w tym spotkaniu, zostaną prawdopodobnie relegowani z uczelni za złamanie przysięgi”. Greniuch z uniwersytetu uciekł. Trafił na Katolicki Uniwersytet Lubelski, gdzie rozpoczął studia doktoranckie pod kierunkiem dr. hab. Tomasza Panfila.

Przez cały ten czas kierował opolskim oddziałem swojej organizacji. Był też jednym z głównych ideologów ONR. Jego blog służył jako pierwsze źródło teorii i praktyki działalności. Dziś już nie istnieje, ale wiśnię w sieci na tyle długo, że dało się

Mistrzem Greniucha jest Dariusz Ratajczak, który twierdził, że „cyklon B stosowano w obozach do dezynfekcji”.

znaleźć najciekawsze wpisy. Są tam m.in. fragmenty „Zeszytów Szkoleniowych ONR”, których Greniuch był współautorem. Na przykład objaśnienie hasła wykrzykiwanego na demonstracjach: „Tu jest Polska nie Izrael – Hasło to jest reakcją na współczesną historię Polski. Reakcją na uprzywilejowaną sytuację obywateli Izraela w Polsce. Reakcją na roszczeniowe żądania państwa Izrael i jego mieszkańców w stosunku do gospodarzy tego kraju, Polaków. Stwierdzenie to jest samoobroną gospodarzy przed dominacją i uprzywilejowaniem jego »gości«”. Jak już wiemy, historyk nie może pisać obiektywnie...

Może za to często pisać o Żydach (ale zawsze małą literą). Oto relacja z marszu ONR w Krakowie w 2008 r.: „Po drodze narodowcy mijają grupy młodych żydów, specjalnie na marsz poprzywożonych autokarami z pobliskiego Oświęcimia. Śniadzi izraelici mają szczęście, będą mogli odreagować okropieństwa Auschwitz, wynajmując na zbliżającą się noc polskie dziwki”. Nic dziwnego, że promotorem pracy doktorskiej Greniucha – i całej kariery – został Tomasz Panfil, znany ze stwierdzenia: „Po agresji Niemiec na Polskę sytuacja Żydów nie wyglądała bardzo źle”.

Upadek i wzlot

Środowisko ONR w Opolu długo próbowało przedstawiać się jako intelektualna, patriotyczna śmietanka

i normalna prawica, wypierając się oskarżeń o faszyzm. Jednak w pewnym momencie coś pękło w działaczach organizacji i ogłosili zbiorowe wystąpienie z jej szeregów. „Faszyzujące okrzyki, działacze pod zdecydowaniem za wielkim wpływem alkoholu, przekleństwa oraz hołota, z którą nic wspólnego mieć nie chcemy oraz nie powinna mieć organizacja odwołująca się do idei narodowej”, napisali w oświadczeniu. Zdegustowany „zdradą” kolegów Greniuch sam także opuścił ONR. Działał indywidualnie. Po wygraniu wyborów przez PiS i nadejściu „dobrej zmiany” trafił do IPN.

Jego nowi podwładni w rozmowie z Onetem nie kryją oburzenia: „To człowiek bez urzędniczego doświadczenia. To po prostu nadanie polityczne. Nigdy nie pełnił żadnych funkcji kierowniczych, a i jego kompetencje naukowe są wątpliwe. Można by powiedzieć, że to historyk jednego oddziału Narodowych Sił Zbrojnych”. Wiele wskazuje, że mają rację, a ta nominacja to kolejna odsłona procedury, jakim jest przemawianie całości Instytutu Pamięci Narodowej przez nacjonalistycznych radykałów, infiltrujących urząd od wielu lat. ■

Pisowski rząd będzie wiedział o każdej transakcji bezgotówkowej Polaków. Opis mechanizmu totalnej inwigilacji finansowej w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.



Bez wizy, bez gwarancji

Ostateczną decyzję, czy wpuścić kogoś na terytorium USA, podejmują na granicy funkcjonariusze U.S. Customs and Border Protection

Katarzyna Mierzejewska

Bez wizy do USA – ta wiadomość rozgrzała media na ostatniej prostej kampanii wyborczej do parlamentu. Podpisanie przez prezydenta Trumpa dokumentu o włączeniu Polski do programu ruchu bezwizowego (Visa Waiver Program) będzie też niewątpliwie jednym z kluczowych punktów kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy, który jakoby sprawę wiz z Trumpem „załatwił”.

W rzeczywistości, jak twierdzi dr Anna Bartnik z Instytutu Amerykanistyki i Studiów Polonijnych UJ, powodów objęcia Polski programem ruchu bezwizowego należy szukać raczej w zmianach społeczno-ekonomicznych, które wpłynęły na proces emigracji Polaków za ocean, niż w woli politycznej.

– To, czy dany kraj zostanie beneficjentem programu, zależy od zasad obowiązujących w USA od 1986 r. – mówi dr Bartnik. Po raz pierwszy w historii odsetek odmów wizowych w amerykańskich konsulatach w Polsce spadł poniżej 3%. Dlatego z końcem września nasz kraj zakwalifikował się do Visa Waiver Program.

Program ten zakłada swobodę podróżowania na 90 dni w celach biznesowych i turystycznych. Zamiast kosztownej wizyty w konsulacie jest autoryzacja elektroniczna za pośrednictwem systemu ESTA, co kosztuje tylko 14 dol. Pytania w programie są podobne do tych z formularzy wizowych. Schemat kontroli pozostaje zatem niezmienny, dwuetapowy, tyle że fizyczne spotkanie zastępuje kontrola elektroniczna. Zalogowanie w systemie ESTA nie jest jednak równoznaczne z automatyczną pozytywną weryfikacją. Powody wykluczenia znane z dotychczasowych procedur wizowych nie zmieniły się. Trzeba też pamiętać, że pobyt po 1 marca 2011 r. w krajach uznawanych przez USA za mające problem z terroryzmem, takich jak

Irak, Iran, Syria, Sudan, Libia, Somalia i Jemen, będzie oznaczać odrzucenie wniosku i brak możliwości wjechania do USA. Ponadto osoby chcące studiować lub podjąć pracę w Stanach nadal będą musiały ubiegać się o wizę.

Kontrola taka sama

Włączenie Polski do programu bezwizowego nie jest jednoznaczne z gwarancją wjazdu na teren USA. – Co do zasady kontrola przybywających cudzoziemców pozostaje cały czas taka sama i nie ma różnicy, czy przybywający jest beneficjentem programu bezwizowego, czy podróżuje na podstawie określonego rodzaju wizy – tłumaczy dr Anna Bartnik. Poza tym objęcie kraju programem ruchu bezwizowego nie jest jednorazowe i nieodwołalne. Wciąż obowiązują reguła nieprzekraczania 3% odmów. Przykładowo Argentyna i Urugwaj zostały wykluczone z ruchu bezwizowego odpowiednio

nielegalnego osiedlenia się na stałe. Warto też uważać na to, co publikuje się w mediach społecznościowych, gdyż urzędnik imigracyjny może poprosić o hasło dostępu do Facebooka, Instagrama czy innego portalu. – W katalogu powodów zwracania cudzoziemców na granicy są również: stan zdrowia, wyrok kryminalny, wcześniejszy nielegalny pobyt w USA, przestępstwo imigracyjne, praca w USA bez zezwolenia władz, brak zabezpieczenia finansowego, przynależność do określonych ruchów politycznych czy organizacji – wymienia dr Bartnik.

Funkcjonariusze U.S. Customs and Border Protection podlegają Departamentowi Bezpieczeństwa Wewnętrznego, resortowi utworzonemu po zamachach z 11 września. Pracownicy agencji mają szeroki mandat działania w zakresie „ochrony ojczyzny”, w który wpisują się m.in. walka z terroryzmem (zapobieganie przedostawaniu się broni i terrorystów na teren USA), handlem

Osoby chcące studiować lub podjąć pracę w USA nadal będą musiały ubiegać się o wizę.

w 2002 i 2003 r. Usunięcie z programu następuje także wtedy, kiedy USA stwierdzą, że obywatele danego kraju po dołączeniu do programu w większym stopniu naruszają zasady imigracyjne i np. masowo zatrudniają się na czarno. Ostateczną decyzję o wpuszczeniu danej osoby na terytorium USA podejmują na granicy funkcjonariusze U.S. Customs and Border Protection (CBP) – amerykańskiej służby celnej i ochrony granic. Po wstępnej kontroli urzędnik może zdecydować o konieczności przeprowadzenia *secondary inspection*, gdy dana osoba wyda mu się podejrzana. Nadal możemy zostać zawróceni do Polski najbliższym samolotem, np. gdy funkcjonariusz uzna, że istnieje duże prawdopodobieństwo podjęcia przez nas pracy na czarno lub

ludźmi, narkotykami czy przemytem, egzekwowanie prawa i przepisów celnych, imigracyjnych bądź dotyczących importu żywności i produktów rolnych oraz różnego rodzaju inspekcje, analizy wywiadowcze, aresztowania na granicach.

Rozmowa z funkcjonariuszem CBP nie zawsze należy do przyjemnych, o czym przekonało się w ostatnim roku kilku dziennikarzy. Na początku października podczas jednej ze standardowych kontroli na lotnisku w Dulles w stanie Virginia reporter Defence One odzyskał swój paszport, dopiero gdy odpowiedział twierdząco na pytanie „Piszesz propagandowe teksty, prawda?”, które urzędnik zadawał mu do skutku. W lutym dziennikarz serwisu BuzzFeed był wypytywany o artykuły publikowane na temat



Rozmowa z funkcjonariuszem CBP nie zawsze należy do przyjemnych.

prezydenta Donalda Trumpa, w maju w Austin służby przez kilka godzin przetrzymywały freelancera i przeszukiwały jego zdjęcia, filmiki i prywatną korespondencję w telefonie, w sierpniu w Los Angeles pracownik CBP oskarżył dziennikarza o bycie częścią *fake news media* i koniecznie chciał wiedzieć, czy reporter współpracuje z CNN lub MSNBC.

Nielegalne deportacje

Sytuacje te są nieprzyjemne, ale nie ekstremalne. Te ostatnie dotyczą grup słabszych niż przedstawiciele mediów. W październiku po długiej batalii sądowej Amerykańska Unia Wolności Obywatelskich (American Civil Liberties Union, ACLU) uzyskała pokazną kolekcję dokumentów i materiałów wideo przedstawiających traktowanie nieletnich przetrzymywanych przez CBP na granicy z Meksykiem. Pochodzą one z lat 2009-2014. Przeglądając kolejne strony, można poznać traumatyczne historie setki dzieci i nastolatków. Wyznania o tym, jak były bite, przetrzymywane w kajdankach, a nawet gryzione przez psy należące do funkcjonariuszy straży granicznej. W jednym z nagrań z nagrań nastolatka opowiada, jak zmuszono ją do całkowitego rozebrania się po aresztowaniu przez agenta straży granicznej. Dzieciaki wytapywano, gdy próbowały nielegalnie przekroczyć granicę. W areszcie granicznym były bez opieki, zdane na łaskę i niełaskę

urzędników. CBP jest także oskarżana o utrudnianie imigrantom występowania o azyl. Na początku października kilka meksykańskich rodzin zarzuciło funkcjonariuszom straży granicznej bezpodstawną deportację. Meksykanie zostali odesłani, mimo że przebywali już na ziemi amerykańskiej. Tym samym nie mieli nawet szansy ubiegać się o azyl. Joanna Williams z organizacji Kino Border Initiative zajmującej się problemem migracyjnym na granicy z Meksykiem nazwała to działanie całkowicie nielegalnym. Takie zachowanie jest niezgodne z prawem federalnym i polityką samej agencji, która wymaga włączenia do

Urzędnik imigracyjny może sprawdzić, co publikujemy na Facebooku, Instagramie czy innym portalu.

procedury azylowej imigrantów szukających ochrony i przebywających już w USA. W rozmowie z BuzzFeed News Joanna Williams powiedziała, że w ostatnich miesiącach jej organizacja pracowała z 15 rodzinami w podobnej sytuacji. Każda rodzina została szybko deportowana pomimo okazywanego wyraźnie strachu przed powrotem do Meksyku. Urzędnicy mają obowiązek podejść poważnie do tego typu wyznań i przeprowadzić pogłębiony wywiad z daną osobą, by uniknąć odesłania jej tam, gdzie jej zdrowie i życie są zagrożone.

Tymczasem bywa zgoła odwrotnie. W jednej ze spraw nagłośnio-

nych przez Kino Border Initiative wywierano presję na meksykańskie małżeństwo, by podpisało dokumenty o deportacji. Żona była poganiana, a funkcjonariusz CBP nie udzielił jej stosownych informacji, nie zaofertował przetłumaczenia tekstu. Mąż, przebywający w oddzielnym pokoju, niczym podejrzanym podczas przesłuchania, niczego nie podpisał, ale i tak został deportowany.

Wszystko zależy od agenta

Podczas gdy funkcjonariusze CBP pilnują porządku na granicach, egzekwowaniem prawa imigracyjnego wewnątrz terytorium USA zajmuje się inna agencja federalna, również wchodząca w skład Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To owiana złą sławą U.S. Immigration and Customs Enforcement (ICE), o której głośno było przede wszystkim ze względu na rozdzielanie rodzin. American Civil Liberties Union twierdzi, że w ciągu ostatniego roku ponad 900 rodziców zostało odseparowanych od swoich dzieci. Dzieciom nadaje się status „małoletnich bez opieki” i wysyła do rządowego aresztu lub opieki zastępczej, a rodzice uznawani są za przestępców i trafiają do więzienia.

Adwokaci w rozmowach z „The Washington Post” twierdzą, że funkcjonariusze Border Patrol okłamują rodziny i nie mówią wprost, na jak długo zostaną rozdzielone. Dziennikarka Liz Goodwin z „Boston Globe”

ujawniła, że w kilku przypadkach dzieci zostały zabrane przez agentów Border Patrol, którzy twierdzili, że chcą im tylko wskazać miejsce, gdzie mogą się wykąpać. Zdaniem reporterów The Vox zdarza się, że rodziny imigrantów są rozdzielane już po przybyciu na granicę i wystąpieniu o azyl, co jest działaniem niezgodnym z prawem amerykańskim.

Rola ICE wzrosła ze względu na bardzo restrykcyjną wobec imigrantów politykę Donalda Trumpa. Dr Anna Bartnik mówi o sukcesywnym zwiększaniu zakresu uprawnień ICE. – Od lipca tego roku działa regulacja pozwalająca agentom na

► przeprowadzenie procedury szybkiej deportacji imigrantów przebywających w USA krócej niż dwa lata i niemających przy sobie dokumentów, które pozwalałyby określić ich status migracyjny – wyjaśnia ekspertka i dodaje: – Co więcej, do takiego zatrzymania może dojść gdziekolwiek, niekoniecznie podczas kontroli ICE w miejscach pracy. W tej procedurze nie ma przesłuchania przed sądem migracyjnym i odwołania się do sądu od decyzji ICE. Do jej podjęcia wystarczy zaś zgoda przełożonego agenta, który prowadzi sprawę. To daje agencji niemal nieograniczone możliwości szybkiego pozbawiania się cudzoziemców.

Migranci, w tym ubiegający się o azyl, czekają średnio ponad cztery tygodnie na opuszczenie ośrodków zatrzymań ICE, bardziej przypominających więzienia. Niektórzy przetrzymywani są latami. Mówi się też o tysiącach nadużyć. Jak tłumaczy dr Anna Bartnik, owocem polityki Donalda Trumpa jest ok. 50 tys. osób, które bez postawienia im zarzutów kryminalnych oczekują w fatalnych warunkach w ośrodkach ICE.

Śmierć w ośrodkach zatrzymań

Lipcowy raport przygotowany przez sam Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego pokazuje przy-

gnębiający obraz traktowania osób występujących o azyl. Liczne ośrodki tymczasowego pobytu w Teksasie są przeludnione, nieletni często nie jedzą ciepłych posiłków przez kilka dni, nie mają dostępu do prysznicy ani czystej odzieży. Inspekcja w Rio Grande wykazała, że ponad 50 kobiet było przetrzymywanych w celi dla maksymalnie 40 nastolatków, a w innym przypadku 70 mężczyzn przebywało

Możemy zostać zawróceni do Polski, gdy funkcjonariusz uzna, że chcemy podjąć pracę na czarno lub nielegalnie osiedlić się w USA.

w składziku dla 40 osób. Dzieci są przetrzymywane bez opieki dorosłych krewnych dłużej, niż pozwala na to prawo. Personel medyczny pozostaje obojętny na problemy zdrowotne imigrantów, a cierpiących na choroby psychiczne zamyka się w izolatkach.

Jak przypomina dr Bartnik, od początku prezydentury Donalda Trumpa do czerwca tego roku śmierć w ośrodkach zatrzymań poniosły 24 osoby. W połowie października Kubańczyk Roylán Hernández Díaz został znaleziony martwy po pięciu miesiącach przebywania w ośrodku. Prawdopodobnie popełnił samobójstwo. Do tego należy dodać zgony, które nastąpiły wkrótce po opuszczeniu ośrodków. Losy całych rodzin są w rękach urzędników, którzy codziennie mają setki takich spraw,

więc twarze i nazwiska zamieniają się dla nich w numery w kartotece.

Kompleksowy system przetrzymywania migrantów jeszcze 40 lat temu nawet nie istniał na terenie USA. Chociaż – jak wynika z danych Pew Research Center – liczba nielegalnych imigrantów od 2007 r. faktycznie spadła, i tak na nich koncentruje się debata o polityce migracyjnej. Władze są w impasie i nie bardzo

wiedzą, jak postępować zarówno z osobami, które już są na terenie USA, jak i z tymi, które ciągle przybywają. Instytucje muszą odpierać zarzuty dotyczące łamania praw człowieka. Mark Morgan, p.o. komisarz U.S. Customs and Border Protection, przeciwstawiając się krytyce, jaka spływa na ICE i inne agencje zajmujące się kontrolą graniczną i szeroko pojętym bezpieczeństwem, wylicza sukcesy CBP. Kilka tygodni temu funkcjonariusze zatrzymali 100 nielegalnych imigrantów zamieszanych w handel narkotykami. W zeszłym roku agencji zabezpieczyli 910 tys. kg narkotyków. – To coś, co zabija Amerykanów każdego dnia, a my jesteśmy na pierwszej linii frontu, by to zatrzymać – podkreślał w wywiadzie dla portalu The Daily Signal.

W drugiej połowie października amerykańskie media obiegła wiadomość, że administracja Trumpa planuje rozpocząć zbieranie próbek DNA od przetrzymywanych w ośrodkach migracyjnych i od osób ubiegających się o azyl. Informacje mają trafić do bazy danych FBI. Władze tłumaczą, że usprawni to łapanie przestępców i poprawi bezpieczeństwo. Aktywiści na rzecz praw człowieka twierdzą jednak, że pobieranie DNA nie jest uzasadnione i budzi poważne obawy dotyczące prywatności i swobód obywatelskich.

Kolejne restrykcje, łapanie ani inne środki stosowane przez funkcjonariuszy rządowych agencji zajmujących się migracją i tak nie powstrzymują ludzi przed próbą dostania się na amerykańską ziemię. Albo to, albo powrót do biedy, braku perspektyw, przemocy, stałego zagrożenia życia i zdrowia.

Katarzyna Mierzejewska





Pałac Przebendowskich/Radziwiłłów po renowacji, al. Solidarności 62 w Warszawie.



Jedna z sal wystawowych w pałacu.

Muzeum Niepodległości w Warszawie kończy remont głównej siedziby

Dobiega końca remont pałacu Przebendowskich/Radziwiłłów w ramach projektu „Dostosowanie pałacu Przebendowskich/Radziwiłłów do nowych funkcji kulturalnych i edukacyjnych, w tym dla osób niepełnosprawnych”, który otrzymał dofinansowanie w ramach VIII osi priorytetowej „Ochrona dziedzictwa kulturowego i rozwój zasobów kultury” Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014-2020.

Od końca 2017 roku główna siedziba Muzeum Niepodległości była zamknięta dla odwiedzających. Aktualnie goście mogą zwiedzać jego oddziały, czyli Muzeum Więzienia Pawiak, Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej oraz Mauzoleum Walki i Męczeństwa przy al. Szucha.

Co już wiadomo na temat nowego oblicza pałacu Przebendowskich/Radziwiłłów? Całkowicie odnowione zostały elewacja oraz dach budynku. Dzięki badaniom stratygraficznym odtworzono kolorystykę właściwą dla budynków z XVIII i XIX wieku. Dach pokryto miedzią. Przed pałacem ustawiono popiersia Ojców Niepodległości, a z tyłu rzeźby „Cztery Pory Roku”.

Po odsłonięciu i wyremontowaniu podziemi budynku powstało miejsce na nowoczesną salę audiowizualną wyposażoną w dodatkowe telebimy. Dzięki temu uczestnicy konferencji, pokazów filmowych i wykładów będą mogli w pełni czerpać z przekazywanej im wiedzy.

Wewnątrz pałacu znajdą się cztery wystawy stałe. „Polonia Restituta. O niepodległość i granice”, czyli najważniejsza z muzealnych wystaw, będzie nową odsłoną ekspozycji prezentowanej w Muzeum od 2007 roku. Teraz zostanie wzbogacona o multimedia, a jej głównym celem będzie przekazanie ogromnej dawki wiedzy, w przystępnej formie, na temat historii polskich dążeń do wolności. Wystawa „Z Orłem Białym przez wieki. Symbol władców, państwa i narodu” to ekspozycja skierowana w szczególności do najmłodszych gości Muzeum. „Kresy i bezkresy w zbiorach Muzeum Niepodległości” to wyjątkowa wystawa, do której powstania przyczynili się nie tylko pracownicy Muzeum, ale także osoby, które przekazały placówce swoje pamiątki. Ostatnia z wystaw, „Historia pałacu Przebendowskich/Radziwiłłów”, opowie długą i fascynującą historię rezydencji, w której mieszkali niegdyś najważniejsi ludzie w Polsce, a hiszpański ambasador organizował wykwintne przyjęcia.

W odnowionej sali balowej ze spektakularnym żyrandolem znajdzie się miejsce na wystawy czasowe, które będą wzbogacać i uatrakcyjnić wizyty odwiedzającym. Nowe miejsce pozwoli na bardzo szeroką ofertę lekcji muzealnych dla uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych, które wzbogacą szkolne lekcje historii.

Muzeum będzie dostosowane także do potrzeb osób niepełnosprawnych dzięki nowoczesnej windzie, która ułatwi im poruszanie się po obiekcie.

Po długim, ale bardzo ciekawym zwiedzaniu goście Muzeum będą mogli odpocząć w nowo otwartej kawiarni.

Hiszpania walczy ze światowym terroryzmem

Jeśli chodzi o wykrywanie terrorystów, służby w tym kraju uchodzą za jedne z najskuteczniejszych w Europie

Tomasz Skowronek

6 października policja w podmadryckiej miejscowości Parla zatrzymała niedoszłego terrorystę, 23-letniego obywatela Hiszpanii pochodzenia marokańskiego, o inicjałach A.A.A. Znalaziono przy nim listę nazwisk i dokumentację obiektów. Miał w planach m.in. zamach na metro i stadion Santiago Bernabéu, gdzie na co dzień mecze rozgrywa Real Madryt. Na liście zamachowca widnieli minister sprawiedliwości Dolores Delgado czy sędzia Sądu Krajowego José de la Mata. W mieszkaniu podejrzanego odkryto dużo środków chemicznych – składników substancji zwanej TATP, materiału wybuchowego używanego przez dżihadystów. Policja zakłada, że zatrzymany powiązany jest z Państwem Islamskim. To już kolejne głośne zatrzymanie islamskiego terrorysty na Półwyspie Iberyjskim. Od lipca hiszpańskie służby ujęły prawie 60 dżihadystów, a ok. 50 osób znalazło się pod ścisłą obserwacją służb.

Międzynarodowe telewizje i prasa coraz częściej informują o sukcesach hiszpańskich służb, które łapią podejrzanych o terroryzm. Rząd w Madrycie monitoruje potencjalnych zamachowców. W ramach tegorocznej operacji „Minerwa”, kontroli granicznej, oficerowie policji i Gwardii Cywilnej wraz z ekspertami organów ścigania z 16 innych państw UE sprawdzali podróżujących przez Cieśninę Gibraltarską. Rezultat? Przez dwa miesiące, podczas których ponad 1,7 mln osób wróciło do Europy, znaleziono 220 migrantów bez dokumentów, odzyskano 21 skradzionych

pojazdów, skonfiskowano 1629 kg narkotyków i dokonano ponad 480 aresztowań.

Z kolei w ramach „Neptune 2” zidentyfikowano 12 podejrzanych, z których dziewięciu kierowało się do Hiszpanii. Ta operacja, koordynowana przez Interpol i wspierana przez Hiszpanię, Francję, Włochy, Maroko, Algierię i Tunezję, koncentrowała się „na zagrożeniach stwarzanych przez zagranicznych terrorystów mogących korzystać z tras morskich między Afryką Północną a Europą Południową”.

Głównym celem tych operacji jest wykrycie ruchów terrorystów wracających ze stref walki po klęsce Państwa Islamskiego. Hiszpania, określana jako „niechętny partner” w militarnej walce przeciw ISIS, oparła się prośbom o dotarcie do działań wojskowych. Wybrała mniej ryzykowną rolę – zapewnia wsparcie logistyczne i szkolenia lokalnym siłom irackim, a także zapobiega próbom pomagania ISIS za granicą.

Jeśli chodzi o wykrywanie terrorystów, służby w tym kraju uchodzą za jedne z najskuteczniejszych w Europie. Interweniują tak wcześnie, jak to możliwe. Gdy tylko dowiadują się o potencjalnych spiskach, niszczą komórki tuż po ich utworzeniu. Intensywnie przeszukują konta w mediach społecznościowych, obserwują mecze i współpracują z informatorami w celu uzyskania wiedzy o siatkach terrorystycznych.

Żeby dojść do tego poziomu zabezpieczeń, kraj musiał jednak przeżyć najkrwawszy zamach na kontynencie. 11 marca 2004 r. w porannych godzinach szczytu w czterech podmiejskich pociągach w Madrycie eksplodowało dziesięć bomb. Zginęło 191 osób, w tym czworo Polaków, a przeszło 1,8 tys. osób zostało rannych. Za zamachem stała Al-Kaida. Wkrótce rząd utworzył Centrum Koordynacji Antyterrorystycznej (CNCA) i przeniósł setki funkcjonariuszy bezpieczeństwa do departamentów antydżihadystycznych.





Przez 13 lat Hiszpania z powodzeniem unikała ataków terrorystycznych... aż do zamachu w Barcelonie w 2017 r.

W grudniu 2017 r. hiszpańska policja aresztowała czterech mężczyzn oskarżonych o współpracę z Państwem Islamskim.

System wymiaru sprawiedliwości wprowadził reformy prawne, które ułatwiły stawianie podejrzanych przed sądem. W 2018 r. ówczesna wicepremier Soraya Sáenz de Santamaría przekazała dodatkowe 20 mln euro Narodowej Agencji Wywiadowczej, szczególnie na cele antyterrorystyczne oraz na zatrudnienie 600 nowych pracowników (obecnie w służbach zajmujących się islamskim terrorem pracuje aż 3 tys. ludzi).

Prestiżowy magazyn „Foreign Policy” zauważył, że hiszpańskie służby mają wręcz obsesję na punkcie zapobiegania atakom. Jednak ta polityka wydaje się skuteczna. Przez 13 lat Hiszpania z powodzeniem unikała ataków terrorystycznych... aż do zamachu w Barcelonie w 2017 r. „Uczyliśmy, jak zapobiegać zamachom i wyłapywać dżihadystów, opierając się na naszym doświadczeniu i popełnionych błędach – mówi Alberto Bueno, ekspert od hiszpańskiej polityki obronnej z Uniwersytetu w Granadzie. – Od 2004 r. agencje

bezpieczeństwa koncentrują się na prewencji. Chodzi o powstrzymanie radykalizacji postaw”. Przed zamachem w Madrycie hiszpańskie służby zajmowały się głównie zwalczaniem ETA (Euskadi Ta Askatasuna – Baskonia i Wolność) – separatystycznej organizacji bojowej, oraz mniejszymi, skrajnie lewicowymi bądź prawicowymi bojówkami.

Nie oznacza to, że dżihadysty nie byli obecni na półwyspie. Bliskość Afryki Północnej powodowała, że Hiszpania stała się jedną z głównych baz Al-Kaidy w Europie Zachodniej.

Wiele grup islamskich postrzegało Hiszpanię jako bazę logistyczną, miejsce do ukrycia się i planowania działań.

Wiele grup islamskich postrzegało kraj przede wszystkim jako bazę logistyczną, miejsce do ukrycia się i planowania działań.

Na przełomie lat 80. i 90. Imad Eddin Barakat, jeden z założycieli Al-Kaidy w Hiszpanii, znany jako Abu Dahdah, odprawiał bojowników z madryckiego lotniska Barajas, wysyłając ich na „świętą wojnę” do Bośni, Czeczenii lub Afganistanu. Rannym terrorystom organizował leczenie w hiszpańskich szpitalach. Przez ponad dekadę w Hiszpanii mieszkał Mustafa Setmariam Nasar,

uważany za jednego z najbliższych współpracowników Osamy bin Ladena. W 1985 r. doszło do ataku bombowego na restaurację El Descanso w Madrycie. Wybuch zabił 18 osób i ranił 82, w tym 15 Amerykanów pracujących w pobliskiej bazie lotniczej Torrejón, którzy feralnego dnia odwiedzili restaurację. W Katalonii przez pewien czas przebywali główny pilot samobójca z 11 września, Mohamed Atta, oraz Ramzi bin al-Shibh, koordynator Al-Kaidy z Hamburga, którzy osiem tygodni później sfinalizowali plan ataku na World Trade Center i Pentagon.

Początkowo służby nie traktowały islamskiego terroryzmu jako zagrożenia dla Hiszpanów. Sytuacja zmieniła się po zamachu w Madrycie.

Obecnie w hiszpańskich więzieniach przebywa 140 dżihadystów, a kolejne 120 osób, które odsiadują kary m.in. za rabunki i handel narkotykami, wykazuje oznaki radykalizacji. Szacuje się, że ok. 200 Hiszpanów wyjechało do Syrii, aby przyłączyć się do ISIS. Z tego, jak wynika z danych MSZ, ok. 25% zginęło w walce, a 20% wróciło do Hiszpanii. W porównaniu z 1,2 tys. bojowników, którzy wyjechali z Francji na syryjski front, to niewielka liczba.

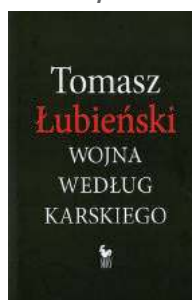
Iberyjskie państwo jest lepiej zintegrowane – praktycznie nie ma w nim gett jak we Francji czy w Belgii, a wielu muzułmanów dobrze mówi po hiszpańsku, pracuje bądź studiuje. Wojska hiszpańskie bezpośrednio nie biorą udziału w wojnach na Bliskim Wschodzie.

Wydawałoby się więc, że Hiszpania będzie traktowana łagodniej przez islamskich radykałów, a tymczasem jest w centrum ich uwagi. Wynika to z uwarunkowań geograficznych i historii, które sprawiają, że kraj ma wyjątkowy związek ze światem muzułmańskim. „Na poziomie duchowym Hiszpania zajmuje szczególne miejsce w mitologii ISIS. Niedługo stała się ważną częścią imperium islamskiego, Al-Andalus – wyjaśnia Ben Rich, wykładowca stosunków międzynarodowych na Curtin University w Perth, dodając: – Przez wielu

Tomasz Łubieński

Wojna według Karskiego

Wydawnictwo Iskry



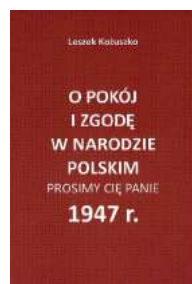
Opowieść o życiu legendarnego kuriera z czasów II wojny światowej, który wchodził do warszawskiego getta i obozu w Izbicy Lubelskiej, przedostawał się przez granicę górami i dotarł do Stanów Zjednoczonych, gdzie zdał Rooseveltowi relację z sytuacji w okupowanej Polsce i eksterminacji Żydów. Ale oprócz rysu biograficznego autor przedstawia poglądy bohatera książki m.in. na wojnę, Holokaust i Polskę – przedwojenną, wojenną i powojenną.

Leszek Kozusko

O pokój i zgodę w Narodzie

Prosimy Cię Panie 1947 r.

Wydawnictwo Vipart



Tytuł książki jest cytatem inskrypcji z przydrożnego krzyża wioskowego, która była modlitwą lokalnej społeczności po burzliwych latach wojennych i powojennych. Ten czas wpłynął na kształtowanie poglądów i wybór drogi życiowej autora, wieloletniego dziennikarza „Gazety

Białostockiej”, potem prasy zakładowej. Nieprzypadkowa jest data w tytule wspomnień – 1947 r. Wówczas jako 20-latek ukończył szkołę podstawową. Literacko opisane wydarzenia są świadectwem historii oraz źródłem poznania ludzkich losów, charakterów i postaw.

Kazimierz Steć

Przekroczone marzenia

Nakładem autora



Autobiograficzna opowieść wieloletniego redaktora naczelnego „Przeglądu Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej” rozpoczyna się od opisu drastycznych zdarzeń wojennych i prowadzi przez powojenne losy chłopca, który z wotyńskiego parobka analfabety stał się posiadaczem

paszportu dyplomatycznego PRL. Autor wskazuje, jak ogromny potencjał tkwi w człowieku. Jednocześnie daje świadectwo prawdzie, że powojenna Polska stworzyła nieprzeciętne warunki rozwoju osobowości i szans życiowych.

► ideologów ISIS postrzegana jest jako naturalna część kalifatu, a obecnie przedstawia się ją jako bezpośrednio okupowaną przez niewiernych”.

Między VII a XVI w. muzułmanie z Afryki Północnej kontrolowali teren dzisiejszej Hiszpanii i Portugalii. Pod rządami muzułmanów andaluzyjska Kordoba była wpływowym ośrodkiem naukowym, z jednym z najważniejszych meczetów. Mezquita, czyli Wielki Meczet, od pięciu wieków jest katolicką katedrą i zalicza się do największych atrakcji turystycznych Hiszpanii. Za czasów panowania kalifatu Umajjadów Kordoba była światową metropolią, w czołówce najbardziej zaawansowanych urbanistycznie miast świata – miała brukowane i oświetlone ulice, murowane domy z dostępem do wody oraz bibliotekę z 400 tys. woluminów.

Okres muzułmańskiego panowania na Półwyspie Iberyjskim często określa się mianem złotego wieku. Al-Andalus stało się centrum wymiany społecznej i kulturalnej, miejscem bujnego rozwoju sztuki, nauki, architektury, rolnictwa, matematyki

Początkowo służby nie traktowały islamskiego terroryzmu jako zagrożenia dla Hiszpanów. Sytuacja zmieniła się po zamachu w Madrycie.

czy medycyny. W tamtym okresie dzięki Arabom powstały pierwsze darmowe szpitale z bieżącą wodą. Arabowie jako pierwsi w Europie zaczęli przeprowadzać sekcje zwłok, opracowali podstawy nowoczesnej chirurgii, okulistyki czy leczenia chorób umysłowych, tymczasem w wielu miejscach w Europie chorych leczono jeszcze zabobonami.

Była to również epoka ważnych uczonych, poetów, muzyków, filozofów, historyków i myślicieli, takich jak Ibn Arabi, Ibn Rushd, Al-Zarqali, Al-Zahrawi, Ibn Firnas i wielu innych. „Dziś potrzebujemy tych wszystkich [andaluzyjskich] filozofów, myślicieli, którym zależało na dobrych relacjach międzyludzkich”, uważa Saadane Benbabaali, Algierczyk, którego przodkowie wywodzą się z Andaluzji. Benbabaali jest emerytowanym nauczycielem akademickim. Przez wiele lat wykładał literaturę i język arabski na Université Paris III. Według niego

okres panowania arabskich muzułmanów nad Półwyspem Iberyjskim był prawdopodobnie jedynym czasem w historii Europy, kiedy muzułmanie, żydzi i chrześcijanie żyli razem stosunkowo spokojnie, tworząc kulturę i harmonijne społeczeństwo. „Były piękne okresy pokojowego współistnienia różnych nacji w Andaluzji. Dlaczego więc dzisiaj go nie ma? Musimy umacniać w ludziach ducha optymizmu... Dzisiaj wszyscy myślą, że mają monopol na prawdę”, mówi Benbabaali.

Wielu przypisuje te osiągnięcia tolerancji religijnej i współpracy muzułmanów, chrześcijan i żydów. Kalifat na Półwyspie Iberyjskim był inny od tego promowanego przez Państwo Islamskie, nie prowadził przymusowej islamizacji wśród innych wyznań.

Państwo Islamskie głosi, że utrata Hiszpanii jest historyczną niesprawiedliwością, która musi zostać zmażana krwią. Salafici, od Osamy bin Ladena po terrorystów ISIS w Afryce Północnej, często to podkreślają. „Niechaj cały świat wie, że nigdy nie zaakceptujemy, aby tragedia Al-Andalus mogła się powtórzyć”,

brzmiały słowa Osamy w październiku 2001 r., z nagrania wideo po zamachach 11 września. „Hiszpańscy chrześcijanie, nie zapominajcie o muzułmańskiej krwi, która została przelana, i o hiszpańskiej inkwizycji. Pomścimy dokonane przez was morderstwa i te, które przeprowadzacie teraz przeciwko Państwu Islamskiemu. Al-Andalus znowu będzie tym, czym było, krainą kalifatu”, groził w wideo upublicznionym przez grupę ISIS Muhammad Yasin Ahrām Pérez.

W raporcie MSW z 2016 r. zauważono, że liczba wiadomości w sprawie siatek propagandowych dżihadu wzywających tzw. samotne wilki do przeprowadzenia ataków na Hiszpanię i do „wyzwolenia” takich miast jak Toledo, Kordoba i Sewilla, podwoiła się w porównaniu z poprzednimi latami. Jednak tych doniesień i gróźb ISIS hiszpańskie służby nie mają zamiaru lekceważyć.

Tomasz Skowronek

Z Galicji



Jan Widacki

Na czele NIK stoi nominat PiS, niejaki Banaś. O jego dokonaniach pisać już nie trzeba. Są ogólnie znane. Jak to się stało, że ktoś taki mógł być ministrem finansów, a potem zostać nieodwołalnym szefem NIK? Służby (a mamy ich mnogość) albo nie potrafiły ustalić tego, do czego doszli dziennikarze, co świadczyłoby o nich bardzo źle, albo o wszystkim wiedziały, ale będąc na usługach jednej partii, nie śmiały ze swojej wiedzy zrobić nakazanego prawem użytku w stosunku do osoby popieranej przez liderów kierowniczej siły i z nimi zaprzęgniętej. Świadczyłoby to o służbach jeszcze gorzej. Jak było naprawdę, ustali może kiedyś jakaś komisja śledcza. Nie stanie się to prędko, ale kiedyś się stanie. Kiedyś ktoś za to zapłaci. Na pewno. Na razie płacimy my wszyscy. Na naszych oczach, przy naszej bezsilności gnije autorytet państwa, które jest coraz bardziej „teoretyczne”.

Jakby tego było mało, nominatami PiS do Trybunału Konstytucyjnego są prokurator Stanisław Piotrowicz, prof. Krystyna Pawłowicz oraz prof. Elżbieta Chojna-Duch. Ciekawy zestaw. Piotrowicz to człowiek zawsze wierny aktualnej władzy, swego czasu sekretarz egzekutywy PZPR w prokuraturze, gorliwy

sięgnął dna. Nazwiska nowych kandydatów na sędziów przekonują, że dno jest jeszcze niżej, niż wszyscy sądzili. Nawet Hamlet prawicy, co to głosuje, jak mu każą, ale czasem z tego się nie cieszy, Jarosław Gowin, nie wydawał się zachwycony tymi kandydatami. Jeśli Jarosławowi Kaczyńskiemu się nie odwidzi i kandydatur nie zmieni (jak zobaczy, że z tego powodu spadną mu słupki poparcia, to może się jeszcze z nich wycofać), znów Gowin będzie musiał zagłosować za tymi kandydaturami, ale już wiemy, że nie będzie się z tego cieszył. Niektórzy się łudzą, że razem z posłami ze swojej partyjki przystaweczki może stanąć okoniem. Ja w to nie wierzę. Po pierwsze, musiałby mieć charakter, a już wielokrotnie pokazał, że go nie ma. Po drugie, musiałby wytłumaczyć swojemu partyjnemu koledze posłowi Jackowi Żalkowi, co to jest Trybunał Konstytucyjny. Dla każdego, kto choć raz słuchał publicznych wystąpień posła Żalka, oczywiste jest, że tłumaczenie mu czegokolwiek mija się z celem, bo i tak nic nie zrozumie. Choć czasem się stara.

Wszystko więc wskazuje na to, że atrapa Trybunału Konstytucyjnego zostanie zasilona trzema wspomnianymi personami.

Jeśli już nie może być gorzej, to znaczy, że będzie tylko lepiej

prokurator stanu wojennego, a ostatnio gorliwy sługa PiS, niezwykle zasłużony w niszczeniu niezależnego sądownictwa. Nie należy wątpić, że w Trybunale będzie orzekał zgodnie z linią i wolą rządzącej partii. Warto pamiętać, że kadencja w Trybunale trwa dziewięć lat. Jest duże prawdopodobieństwo, że w tym czasie rządząca partia może się zmienić. Czy Piotrowicz nadąży ze zmianami poglądów i linii orzeczniczej? Krystyna Pawłowicz, persona o manierach przekupy, nazywa flagę Unii szmatą, a konstytucję patologią. Przypominam, że podstawowym zadaniem Trybunału Konstytucyjnego jest badanie zgodności ustaw z konstytucją. Na czym będzie polegała jej rola w Trybunale? Będzie badać, czy ustawy są dostatecznie patologiczne? Te uchwalane przez PiS na ogół są. Co tu jeszcze badać?

Prof. Elżbieta Chojna-Duch przed komisją śledczą do spraw wyłudzeń podatku VAT donosiła na swojego byłego szefa, a po sprawdzeniu dokumentów okazało się, że także na siebie samą. W sprawach kryminalnych taką rolę odgrywa świadek koronny. Świadcowi koronnemu, rzekomo skruszonemu bandycie, choć nim się gardzi, bezkarnością wynagradza się jego postawę. Ale o ile wiem, nie awansuje się go. Prof. Chojna-Duch ma być wynagrodzona nominacją na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Nie wypada kobiecie liczyć lat, ale kadencja w Trybunale jest dziewięcioletnia. Pani profesor zamierza, jak widać, orzekać chyba jeszcze po osiemdziesiątce. Dużo zdrowia życzyć!

Wydawało się, że Trybunał Konstytucyjny pod kierownictwem mgr Przyłębskiej i jej zastępcy (przepraszam, nie znam stopnia i nie pamiętam nazwiska, ale oficera służb) już

W sytuacji gdy Donald Tusk zapowiedział, że nie wystartuje w wyborach prezydenckich, za to Kosiniak-Kamysz oświadczył, że on wystartuje jak najbardziej, Platforma gorączkowo rozgląda się za swoim partyjnym kandydatem na ten najwyższy w państwie urząd. Pewnie będzie nim Kidawa-Błońska. Platforma robi tu kolejny błąd. Zaryzykuję twierdzenie, że żaden partyjny kandydat, nawet sympatyczna pani Kidawa-Błońska ze swoimi pradziadkami wyciągniętymi w czasie kampanii do Sejmu, nie ma szans wygrać z Andrzejem Dudą. To swój chłop. Dowcip o Murzynach opowie, patriotyczne komunały po wsiach głosi, na kolana wciąż pada, minę robi (ach, ileż cudnych min on potrafi zrobić!), z biskupem się sfotografuje albo przycupnie przy Trumpie. To się liczy! A że czasem konstytucję złamie, choć miał jej strzec i nawet Pana Boga o pomoc w tym zakresie prosił, komu to przeszkadza?

Może się mylę, ale sądzę, że Polacy mają dość partyjnych przepychanek i w ogóle do partii i polityki czują już niechęć. Gdybyż opozycja umiała się porozumieć i do wyborów wystawiła kogoś spoza partii i spoza polityki. Kogoś, kto cieszy się autorytetem. Kto nie robi głupich min, nie opowiada durnowatych dowcipów, kto jest niezależny od swojej partii i nie ma szefa na Nowogrodzkiej ani na żadnej innej ulicy, kto budzi respekt swoim intelektem, charakterem, nieposzlakowaną przeszłością. Ktoś taki przy poparciu wszystkich partii opozycyjnych, a tym samym ponadpartyjny, miałby duże szanse zostać prezydentem Rzeczypospolitej. Nie ma takich ludzi w Polsce? Radzę dobrze się rozejrzeć.



Katolicyzm wraca do chrześcijaństwa

Synod dla Amazonii wezwał wiernych do nawrócenia czterema drogami

Stanisław Obirek

Zakończony 26 października synod dla Amazonii wzbudził, również w Polsce, wyjątkowo żywe reakcje. Od skrajnie entuzjastycznych, wieszczących rewolucję w Kościele, po katastroficzne – zwiastujące ostateczny upadek katolicyzmu i stygmatyzujące papieża Franciszka jako heretyka i zdrajcę szlachetnej tradycji św. Jana Pawła II. Jeden z katolickich publicz-

stów wyliczył posunięcia synodalne, które każą mówić o dewoptylizacji katolicyzmu, czyli świadomym odchodzeniu od dziedzictwa polskiego papieża. Jak łatwo się domyślić, ani te pierwsze, ani te drugie oceny nie opierają się na uważnej lekturze synodalnego dokumentu końcowego, który kreśli jednoznaczny program odnowy Kościoła katolickiego w obliczu gwałtownych zmian, jakie dokonują się na całym świecie, zwłaszcza w Amazonii. Co więcej, pozbawiona

W procesji otwierającej synod uczestniczyli przedstawiciele grup etnicznych z amazońskich lasów deszczowych.

uprzedzeń lektura tego dokumentu pozwala na sformułowanie dość śmiałej, ale głęboko słusznej tezy – katolicyzm wraca do swoich korzeni, czyli do... chrześcijaństwa. Nie po raz pierwszy zresztą o tym się mówi, zwłaszcza w kręgach katolicyzmu liberalnego. Marginalizowani i uciszani za poprzednich pontyfikatów teolodzy wskazują, że właśnie argentyński papież nawiązuje do zmian zapoczątkowanych przez Jana XXIII, a w pełni rozwiniętych w czasie Soboru Watykańskiego II w połowie lat 60. minionego wieku. To Jan XXIII z hasła dialogu, otwarcia na świat (słynne *aggiornamento*) uczynił program katolicyzmu, który od czasu soboru trydenckiego w XVI w. i watykańskiego I w wieku XIX ustawił się w kontrze do świata, a zwłaszcza do innych wyznań chrześcijańskich (kontreformacja) i do nauki (obsesyjna walka z modernizmem). Spróbuję tę tezę przedstawić i uzasadnić.

Oto główne postulaty końcowego dokumentu synodu dla Amazonii: „Dokument wzywa wiernych do integralnego nawrócenia, przebiegającego czterema drogami: nawrócenia duszpasterskiego, kulturowego, ekologicznego i synodalnego”. W tym wezwaniu skrywa się nawiązanie do rdzenia nauczania Jezusa z Nazaretu. Nawrócenie jest jednym z kluczowych pojęć ewangelicznych, którego Jezus użył na początku swojego nauczania i które oznacza po prostu konieczność zmiany tego, co jest, odejście od dotychczasowego sposobu życia. Wierni Kościoła katolickiego słyszą je przede wszystkim na początku Wielkiego Postu, gdy ksiądz kreśli przy użyciu popiołu znak krzyża na ich czole i wypowiada słowa: „Nawróćcie się i wiercie w Ewangelię”, i tak naprawdę powinny one określać całe życie wierzącego w Jezusa Chrystusa. Wtedy wezwanie do nawrócenia nie brzmiałoby dla nich jak rewolucyjny postulat zmiany, ale wpisywałoby się w ich codzienną praktykę życiową.

Zastanówmy się, co miałyby oznaczać nawrócenie duszpasterskie. Otóż chodzi tu o radykalne zerwanie z dotychczasową koncentracją na

księżach i biskupach. To jedno z ulubionych haseł pontyfikatu papieża Franciszka – musimy zerwać z kulturą klerykalizacji i przyznać większą rolę świeckim, zwłaszcza kobietom (możliwość diakonatu dla kobiet). Powinniśmy przemyśleć na nowo praktykę celibatu (stworzenie możliwości święceń dla żonatych mężczyzn), by przybliżyć kapłanów do ludu. To wszystko jest już zapisane na kartach Nowego Testamentu. A nawet więcej, jest tam nakreślony ideał nie tylko kapłana,

niechciwy na grosz, dobrze rządzący własnym domem, trzymający dzieci w uległości, z całą godnością. Jeśli ktoś bowiem nie umie stanąć na czele własnego domu, jakżeż będzie się troszczył o Kościół Boży?”. Można więc postawić pytanie, dlaczego rezygnacja z celibatu, który jest kulturowym i przypadkowym dodatkiem do kapłaństwa, budzi tyle emocji. Czy nie jest jeszcze jednym przykładem tego, jak bardzo katolicyzm oddalił się od chrześcijaństwa?

Nawrócenie duszpasterskie – musimy zerwać z klerykalizacją i przyznać świeckim, zwłaszcza kobietom, większą rolę (możliwość diakonatu).

ale i biskupa, dziś kompletnie zapomniany. Otóż zdaniem św. Pawła, wyrażonym w Pierwszym Liście do Tymoteusza, „biskup powinien być nienaganny, mąż jednej żony, trzeźwy, rozsądny, przywoity, gościnny, sposobny do nauczania, nieprzebiegający miary w picu wina, nieskłonny do bicia, ale opanowany, niekłótlivy,

A o co może chodzić w nawróceniu kulturowym, jeśli nie o otwarcie na inne kultury, religie i wyznania, a więc rezygnację z poczucia wyższości i arogancji teologicznej? To otwarcie było czymś naturalnym i spontanicznym dla pierwszych chrześcijan, którzy byli gotowi uczyć się od innych i chętnie uznawali

własne ograniczenia i grzechy. Wiedzieli przecież, że są ludźmi słabymi i wszystko zawdzięczają swemu zbawicielowi Jezusowi Chrystusowi. Dlatego tak łatwo wtapiali się w inne kultury i czerpali z nich pełnymi garściami. Dziś trudno sobie wyobrazić chrześcijaństwo bez jego zakorzenienia w judaizmie, w filozofii greckiej czy w prawie rzymskim. Nie można też pominąć różnorodności rytów katolickich, które zostały wypracowane dzięki zetknięciu z kulturami obu Ameryk, Azji i Afryki.

Trzecim rodzajem nawrócenia, o którym mówi dokument końcowy, jest nawrócenie ekologiczne. W praktyce oznacza podjęcie na serio wyzwania, jakim jest zmiana klimatyczna, i wdrożenie w codziennym życiu postulatów sformułowanych przez Franciszka w encyklice *Laudato si'* z 2015 r. Nie bez racji była ona nazywana zieloną encykliką i wzbudziła bodajże najwyższe poruszenie również poza Kościołem katolickim. Oto nagle instytucja kojarzona ze skrajnym konserwatyzmem i zamknięciem



PRZEKUĆ PRZESZKODĘ W ATUT – JAK TO ROBIĄ W ORZYSZU.

Zbigniew Włodkowski zdążył być już nauczycielem, radnym, starostą, posłem na Sejm i Podsekretarzem Stanu w MEN. W 2014 zrezygnował z kariery w Warszawie, złożył mandat poselski i wygrał wybory na burmistrza Orzysza. Obrany wtedy przez niego kierunek promocji gminy oparty o tradycję wojskową okazał się spektakularnym sukcesem. Czterokrotnie spadło lokalne bezrobocie, a o gmina zaczęła być rozpoznawalna w całej Polsce. Pytamy o pomysły na dalszy rozwój gospodarczy gminy.

Gmina Orzysz przez dziesięciolecie była znana w Polsce tylko z karnej jednostki wojskowej i poligonu. Raczej nie zachęcało to do spędzania tu rodzinnych wakacji, a przecież gmina leży w rejonie Wielkich Jezior Mazurskich. Jak udało się Wam przełamać tę passę?

Nad pomysłem promocji Orzysza jako destynacji turystycznej zaczęło się zastanawiać zaraz po przejściu na armię zawodową w 1990 roku, kiedy to gmina przejęła część poligonu. Przez lata niespójnie się to udawało, więc w 2014 roku postanowiliśmy skorzystać właśnie z tych wojskowych skojarzeń. Zapoczątkowaliśmy wtedy dwa duże, cykliczne wydarzenia – Bieg Tygrysa oraz Walkę Człogów. Właśnie podczas otwarcia pierwszej edycji biegu, dowódca brygady powiedział, że dla niego Orzysz jest Wojskową Stolicą Polski. Zabrzmiało to jak gotowe hasło promocyjne naszej idei - i tak już zostało. Zaczęliśmy intensywnie promować tę markę, co okazało się przysługowym, poligonowym strzałem w dziesiątkę.

Czyli dawne przekleństwo Orzysza, stało się jego najważniejszym atutem?

Dokładnie tak. Trafiony kierunek promocji zaowocował tym, że Orzysz przede wszystkim przestał być punktem przejazdowym, a stał się miejscem docelowym wypoczynku na Mazurach. Każdego roku gościmy tysiące turystów zainteresowanych tematyką wojskową. Pozytywne zmiany i zwiększone zainteresowanie odczuł też mieszkaniec, którzy o wiele łatwiej znajdują zatrudnienie. Potwierdzeniem są liczby - w ciągu 5 ostatnich lat bezrobocie spadło z poziomu 20% do 5%.

Większe zainteresowanie turystów to też wyzwanie, żeby chcieli do Was wracać. W co przez ostatnie lata inwestowaliście jako gmina?

Po pierwsze, trzeba było zapewnić turystom więcej, niż dwie imprezy rocznie. Stworzyliśmy Muzeum Wojska, Wojskowości i Ziemi Orzyskiej, powstał park militarny, za 2,7 mln zł zmodernizowaliśmy budynek domu kultury, a za kolejne 1,8 mln - promenadę nad rzeką Orzyszą. Wszystko to służy nie tylko turystom, ale też mieszkańcom gminy, dla których remontowaliśmy też drogi asfaltowe na terenie orzyskich wsi, zbudowaliśmy salę gimnastyczną i świetlicę wiejskie. Dawny opuszczony hotel zmieniliśmy w ratusz miejski. Zrealizowaliśmy też wiele projektów „miękkich” o charakterze edukacyjnym i kulturalnym. Część inwestycji powstała przy wsparciu funduszy unijnych, a wkład własny pozyskaliśmy emitując obligacje inwestycyjne.

Jesteście niewielką, bo licząc 9 tysięcy mieszkańców gminą, ale zadbałicie o opracowanie strategii rozwoju miasta i gminy. Wynika z niej m.in., że rozwój gospodarczy gminy powinien być nieuciążliwy dla środowiska. Jak się

preferowane przez Was branże biznesu, które mogłyby się rozwijać w Orzyszu?

Gmina Orzysz jest miejscem naturalnym, dziewiczym i pragniemy ten charakter zachować. Stawiamy przede wszystkim na rozwój turystyki - restauracje, hotele, pola namiotowe, centra sportów wodnych, pływające miasteczka czy wędkarstwo. Turysty poszukują relaksu w naturalnym otoczeniu, a położenie gminy w sercu Wielkich Jezior Mazurskich sprzyja realizacji tych celów.

Niewątpliwie Orzysz może być dziś łakomym kąskiem dla inwestorów. Czym gmina może ich zachęcić do inwestowania na jej terenie?

Gmina ma wiele do zaoferowania - posiadamy liczne tereny inwestycyjne, proponujemy osobom uruchamiającym lub rozszerzającym działalność pomoc publiczną w postaci zwolnień z podatku dochodowego oraz zapewniamy im kompleksowe wsparcie inwestycyjne. Niższe są też koszty pracy w porównaniu do pozostałych części kraju. Potencjał tkwi również w naturze, gdyż coraz rzadziej można spotkać dziewicze tereny, nieskażone środowisko, naturalne rzeki i jeziora oraz poczuć prawdziwy zapach przyrody. To właśnie tu - w Krainie Wielkich Jezior Mazurskich wspólnie z pozostałymi 10 samorządami zrzeszonymi w Stowarzyszeniu Wielkie Jeziora Mazurskie 2020 staramy się wpłynąć na rozwój całego regionu, wychodząc z pomocną dłonią do każdego zainteresowanego inwestycją na Mazurach. Ważne, by był to zrównowagowany biznes.

Więcej o możliwościach inwestycyjnych w Krainie Wielkich Jezior Mazurskich dowiesz się na www.mazurybiznes.pl

Projekt realizowany przez Stowarzyszenie Wielkie Jeziora Mazurskie 2020 w partnerstwie z gminami Giżycko, Mikołajki, Miłki, Mrągowo, Orzysz, Pisz, Ruciane-Nida, Ryn, Węgorzewo, Miasto Giżycko, Miasto Mrągowo.

► na sprawy ekologii stanęła w awangardzie wrażliwości i zaproponowała konkretne rozwiązania. Pozostaje zagadką, dlaczego to otwarcie papieża Franciszka nie dotarło do polskiego Kościoła, który nadal koncentruje się na wojnie kulturowej i szuka jedynie wrogów, a nie sojuszników. Świat możemy uratować tylko razem, zdają się mówić papież i zgromadzeni na synodzie dla Amazonii biskupi. Dobrze by się stało, by ta świadomość dotarła nad Wisłę.

No i ostatni postulat, może najbardziej tajemniczy – nawrócenie synodalne. Oznacza ono rezygnację z rzymskiego centralizmu, który w historii katolicyzmu zawsze kończył się izolacją i uwięzieniem teologicznym. Prowadził bowiem do pogardy dla innych religii i kultur, a w skrajnych przypadkach do ich niszczenia. Tak było, poczynając od średniowiecza, gdy niszczone ślady kultur germańskich i słowiańskich w procesie ich chrystianizacji czy prześladowano i wypędzano wspólnoty żydowskie i muzułmańskie (wypędzenie Żydów i muzułmanów z Hiszpanii i Portugalii pod koniec XV w.). Także ekspansja cywilizacji zachodniej od XVI w. oznaczała w praktyce anihilację bogatych kultur obu Ameryk i Afryki. Nie udało się to w Azji, ze względu na zdecydowany opór starożytnych cywilizacji tego kontynentu. Nie trzeba dodawać, że działało

w tygodniku „Le Point” z 27 października. W ciekawym komentarzu Tincq zwrócił uwagę na jedną cechę Franciszka, a mianowicie, że jest on człowiekiem sprytnym i przebiegłym – bo takie jest mniej więcej znaczenie włoskiego słowa *furbo*, które dziennikarz przywołuje – i właściwie dzięki temu zneutralizował swoich przeciwników w Kościele. Tincq rozpisuje się szeroko na temat sytuacji w Amazonii i zastanawia, dlaczego właśnie tam biskupi katolicy są chętni do wprowadzania zmian.

W nawróceniu kulturowym chodzi o otwarcie na inne kultury, religie i wyznania, a więc rezygnację z poczucia wyższości i arogancji teologicznej.

Drugi komentarz, jednego z najciekawszych teologów katolickich, odnosi się nie tyle do końcowego dokumentu synodalnego, ile do samego wydarzenia, jakim był synod. To głos znanego amerykańskiego franciszkanina, autora wielu książek teologicznych, Daniela P. Horana. Otóż na łamach „National Catholic Reporter” 30 października, kilka dni po zakończeniu synodu, w artykule „Święty John Henry Newman zaaprobowałby końcowy dokument synodalny” Horan przypomniał dwa bodaj najważniejsze teksty brytyjskiego świętego. Dla porządku przypomnijmy, że Newman został kanonizowany przez

wspólnot wierzących (*sensus fidei*). To właśnie te dwa wymiary zapewniły chrześcijaństwu spektakularny rozwój i bezprzykładny sukces. Odejście zaś od nich sprawiło, że katolicyzm (i każde inne wyznanie chrześcijańskie) kostniał i tracił żywotność.

Jeśli chodzi o wywiad z kard. Hummesem w „Vatican Insider” z 31 października, to jest on wyjątkowo ostrożny, czego zresztą można było się spodziewać. Podobnie jak Franciszek brazylijski hierarcha zdaje sobie

sprawę, że konserwatyści tylko czekają, by oskarżyć Kościół brazylijski o herezję i odejście od zdrowej nauki poprzednich papieży. Przede wszystkim podkreślił, że żonaci diakoni, którzy są kandydatami do święceń kapłańskich, muszą przejść jeszcze kilkuletni okres przygotowania. Natomiast kobiety, które zostaną diakonkami, w gruncie rzeczy już i tak sprawują funkcje liderów swoich wspólnot. Synod niczego nowego więc nie wniesie, usankcjonuje jedynie istniejący stan rzeczy.

Jak przekonują ostatnie doświadczenia z diecezją gdańską, a zwłaszcza protesty tamtejszych katolików wobec ujawnionych skandalicznych zachowań abp. Sławoja Leszka Głódzia, również w polskim katolicyzmie coś drgnęło. Z jednej strony, obserwujemy gwałtowne odwracanie się od Kościoła, szczególnie ludzi młodych, a z drugiej – coraz bardziej energiczne domaganie się przez wiernych zmian. Być może inspiracje synodu dla Amazonii i nowego świętego dotrą też do nas i pozwolą polskiemu Kościołowi katolickiemu odkryć jego chrześcijańskie korzenie. Nie jest to jednak wcale pewne, gdyż upolitycznienie katolicyzmu w Polsce i ogromne wsparcie, jakie Kościół otrzymuje od partii rządzącej, w dużym stopniu utrudniają proces normalizacji.

Stanisław Obirek jest profesorem nauk historycznych, teologiem i antropologiem kultury, pracuje w Ośrodku Studiów Amerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego

Nawrócenie ekologiczne to wdrożenie postulatów sformułowanych przez Franciszka w encyklice *Laudato si'*, zwanej zieloną encykliką.

się to wszystko w imieniu kultury patriarchalnej przenikniętej pogardą dla kobiet. Synod dla Amazonii, wykazując ogromny szacunek dla lokalnych kultur i zdecydowanie opowiadając się za dowartościowaniem kobiet w Kościele, pozwala mieć nadzieję, że to fatalne dziedzictwo przejdzie ostatecznie do historii.

Na zakończenie chciałbym nawiązać do dwóch komentarzy z zagranicy i do wywiadu z brazylijskim kardynałem Cláudiem Hummesem, głównym architektem synodu. Pierwszy to głos znakomitego znawcy przedmiotu, francuskiego dziennikarza Henri Tincq’a (autora przełożonej również na język polski książki o katolicyzmie),

papieża Franciszka w czasie synodu, 13 października. Chodzi zaś o dwa eseje, jeden poświęcony rozwojowi doktryny chrześcijańskiej z 1878 r., a drugi, z 1859 r., na temat konieczności konsultowania się z wiernymi także w sprawie doktryny.

Jak wiadomo, Newman jako konwertyta z anglikanizmu był traktowany przez anglikanów jako zdrajca, a przez katolików jako podejrzany neofita. Tymczasem dzięki głębokim studiom historycznym potrafił uchwycić najgłębszy sens katolicyzmu jako wyznania, które w pierwszych wiekach rozwijało się nie tylko w stałym dialogu z innymi religiami i kulturami, ale również dzięki wstuchiowaniu się w nastroje

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Defilada żywych trupów

Mnóstwo osób ze zdumienia przecierało oczy, kiedy pojawiały się nazwiska nowych kandydatek/kandydatów Prawa i Sprawiedliwości do Trybunału Konstytucyjnego – byłej posłanki (jak bardzo by chciała na zawsze nazywać się posłem) Krystyny Pawłowicz i legendarnego wallenrodysty z PZPR, frakcja prokuratorska obrońców pederastów w sutannach, Stanisława Piotrowicza. Okrzyki niedowierzania wybuchły, kiedy Andrzej Duda w roli prezydenta ogłosił, że posiedzenie nowego Sejmu otworzy jako marszałek senior Antoni Macierewicz. Innym jeszcze nie mieści się w głowie, że szefem opolskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej

ciem w twarz, manifestacją całkowitej pogardy dla wszystkich, którzy PiS nie ufają i nie zaufają.

Równocześnie poziom emocji wszystkich sfrustrowanych bezsilnością i bezradnością wobec takich poczynąń pozwala skutecznie odwrócić uwagę od jedynego (jawnie) frontu, na którym prezes sam okazał się bezradny i bezsilny – Pierwszego Frontu Banasiowego. Usunięcie ze stanowiska szefa Najwyższej Izby Kontroli nieusuwalnego z mocy prawa Mariana Banasia, którego to PiS chciałoby z powodów wizerunkowych jednak się pozbyć, okazuje się niewykonalne, kiedy Banaś staje dęba i okoniem zarazem. Tego się nie robi prezesowi, a ten

się prawdziwy problem. Kompletnie rozmycie granic między państwem a Kościołem jako instytucją kolanami i łokciami poszerzającą swoje wpływy i władzę doprowadza do takich już nie tyle paradoksów, ile patologii.

W normalnej sytuacji księża powinni stanąć przed sądem za bezprawne pozbawienie wolności i przemoc wobec dziecka. Tak oczywiście się nie dzieje, bo polska policja kłęczy przed klerem, gdyż od tego zależy możliwość awansu i przetrwania. We wstrząsającym reportażu o remoncie za ponad 150 tys. zł katolickiej kaplicy policyjnej na komendzie przy ulicy Pienistej w Łodzi czytamy SMS-y komendanta wojewódzkiego wysyłane co chwilę do podwładnych: „Proszę o przybycie na mszę świętą z okazji otwarcia kaplicy”, „Informuję, iż podczas piątkowej mszy (...) obowiązuje umundurowanie wyjściowe ze sznurem galowym”, „Informuję, iż na dzisiejszej mszy świętej wspominkowej obowiązuje umundurowanie wyjściowe bez sznura”. Ze sznurem czy bez sznura, oglądamy w tej defiladzie i towarzyszących jej uroczystościach całkowity demontaż i zanik państwa.

Może czas sztandar wyprowadzić? Poczet sztandarowy już jest: Macierewicz, Piotrowicz, Pawłowicz.

Może czas sztandar wyprowadzić? Poczet sztandarowy już jest: Macierewicz, Piotrowicz, Pawłowicz.

został wielbiciel pogromu w Myślenicach i pałkarzy z ONR, a lista ta się nie kończy, rzeka miernot nie wysycha.

Tymczasem nie jest to ani przypadek, ani pomyłka, ani wypadek przy pracy, ani tzw. krótka ławka, czyli braki kadrowe, ani (choć w jakiejś mierze zawsze tak) tylko rekompensata za bocznorowość z takiej błahej przyczyny jak niewieście do parlamentu. Tak właśnie Jarosław Kaczyński zorganizował bezkosztowo – oprócz kosztów moralnych i tych, które poniesie fantomowe państwo polskie – defiladę zwycięstwa swojej partii (którego nie odniósł albo które odnotował tylko w ograniczonym zakresie). Tak jak uczestnicy setek demonstracji zarywają noce, malując transparenty, wymyślając hasła i inne rekwiizyty, tak prezes nad prezesami wrzutkami medialnymi wciąga na swój wirtualny transparent twarze będące symbolem niekomentowalności polskiej polityki, granice absurdu przesuwając poza wyobraźnię. W języku ulicy nazywa się to naplu-

człowiek – właściciel nabytej w szemrany sposób kamienicy w Krakowie, którą za pieniądze z Unii Europejskiej na dom pielgrzyma przetworzył w dom publiczny – właśnie to zrobił. I tym samym PiS znalazło się w sytuacji, w której dotąd konsekwentnie stawiało przeciwników – klientów bezskutecznie usiłujących odebrać swój płaszcz z szatni. Nie mam płaszcza i co mi zrobicie?

W cieniu tych defiladowych fanfar, które funduje nam 70-letni mały skaut z Żoliborza, uykają pozornie nieważne, a w istocie fundamentalne zdarzenia, jak choćby policyjna interwencja w kościele w Bełchatowie, gdzie księża pozbawili wolności 13-letniego chłopca, który schował komunikant do kieszeni. Księża żywili podejrzenie (które sami w swoim świecie wcześniej wygenerowali w formie strachu), że może dojść do „błuznierstwa”, a będąc przekonani, że Polska to kraj wyznaniowy, wezwali policję, która – co gorsza – przyjechała i tu tradycyjnie zaczyna

Mundur z czerwoną kokardą

Bez pomocy zrewolucjonizowanych niemieckich żołnierzy w listopadzie 1918 r. mogło dojść do masakry ludności stolicy

Piotr Ciszewski

Wydarzenia z listopada 1918 r., które przedstawiane są jako początek niepodległości Polski, zbiegły się z wyborami do rad robotniczych i żołnierskich. Rady żołnierskie zostały powołane m.in. w garnizonie niemieckim stacjonującym w Cytadeli Warszawskiej. Były to organy bardzo wpływowe, stanowiące przeciwwagę dla władzy oficerów. Niektóre rady pozostawały wprawdzie pod wpływem umiarkowanej frakcji niemieckich socjalistów z SPD, niechętnych polskim dążeniom niepodległościowym, jednak wiele sprzyjało rewolucjonistom.

Powstały 7 listopada 1918 r. w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej liczył się z tym, że wyzwalanie Warszawy będzie się wiązało z poważnymi walkami. W mieście stacjonowało 30 tys. żołnierzy niemieckich, z czego 12 tys. w jednostkach bojowych. Dysponowali karabinami maszynowymi i artylerią. Stołeczne grupy Pogotowia Bojowego Polskiej Partii Socjalistycznej postawiono w stan gotowości. 9 listopada z Lublina został przemycony dla nich karabin maszynowy. Inne polskie formacje zbrojne – takie jak endeckie Sokoły, Straż Narodowa oraz Legia Akademicka – również szykowały się do walki. Dysproporcja sił była jednak ogromna.

Zdobycie cytadeli

Dopiero wydarzenia w Niemczech sprawiły, że do poważniejszych walk nie doszło. 9 listopada 1918 r. w Berlinie wybuchła rewolucja. Cesarz Wilhelm II został zmuszony do abdykacji. Dwa dni później odbyło się spotkanie berlińskiej rady robotniczej i żołnierskiej, która stwierdziła, że każdy pokój będzie sprawiedliwszy od kontynuowania wojny, uznając tym samym dążenia niepodległościowe Polski. Wydarzenia te



Rozbrajanie niemieckich żołnierzy na ulicach stolicy po uznaniu niepodległości Polski i kapitulacji Niemiec, listopad 1918 r.

miały ogromny wpływ na sytuację w Warszawie. Zwłaszcza szeregowi żołnierze i podoficerowie zrywali z mundurów emblematy kojarzące się z cesarstwem, zastępując je czerwonymi kokardami.

10 listopada niemieckie oddziały wojskowe zorganizowały wybory do rad żołnierskich. Przedstawiciele wybierały m.in. załogi poszczególnych fortów Cytadeli Warszawskiej. Delegaci zajęli na swoje potrzeby Pałac Namiestnikowski przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie odbyli naradę. Dyskutowano o tym, jak zapewnić sobie powrót do Niemiec oraz z kim ze strony polskiej podjąć rozmowy.

Żołnierze zdecydowali się poprosić o spotkanie Józefa Piłsudskiego, kojarzonego przez nich z ruchem socjalistycznym. Wiedzieli, że 10 listopada przybył on do Warszawy. Konieczne było również zniweczenie planów dowództwa. Generalny gubernator gen. Hans Hartwig von Beseler przeżył wprawdzie załamanie nerwowe i wycofał się z dowodzenia, jednak część oficerów wciąż rozważała siłowe rozwiązanie kryzysu. 11 listopada zrewolucjonizowani żołnierze zniweczyli plany obrony Cytadeli Warszawskiej. Wdarli się do budynków sztabowych i aresztowali komendanta cytadeli oraz innych

oficerów. Przystąpili też do rozmów ze stroną polską o wycofaniu z Warszawy.

Potyczka w hotelu Polonia

Inny incydent miał miejsce przed budynkiem Dworca Głównego. Oddział niemieckiej piechoty szykował się tam do otwarcia ognia do zebranych na placu cywilów. Sytuacja zmieniła się, gdy jeden z żołnierzy z czerwoną, rewolucyjną kokardą na piersi podszedł do oficera, zerwał mu z głowy hełm i cesarskie

przed próbami rabowania ich przez kryminalistów.

Stefan Jellenta, oficer Legionów Polskich biorący udział w akcji rozbijania okupantów, opowiadał, jak 13 listopada wzięci do niewoli, zrewolucjonizowani żołnierze grozili swoim dawnym oficerom, krzycząc: „Nie chcemy oficerów! Zerwać im naramienniki!”. Niemcy pokazywali mu zniszczone przez siebie portrety cesarza Wilhelma II, gen. Ericha Ludendorffa oraz feldmarszałka Paula von Hindenburga. Dowodzili także, że sami pozrywali cesarskie sztandary.

Zrewolucjonizowani żołnierze zniweczyli plany obrony Cytadeli Warszawskiej. Wdarli się do budynków sztabowych i aresztowali komendanta cytadeli oraz innych oficerów.

insygnia z munduru. Później przemówił do swoich towarzyszy, którzy opuścili broń. Żołnierze zostali szybko rozbrojeni, nie stawiając oporu. „Niektórzy Niemcy sami znosili broń i amunicję z dworca i składali ją w salce wejścia głównego”, relacjonował Sylwester Okoń – uczestnik wydarzeń, milicjant z VIII Komisariatu Milicji Miejskiej.

W wielu miejscach niemieccy żołnierze wywieszali czerwone sztandary jako znak sprzeciwu wobec dawnego porządku. Jeśli oddali broń, a na samochodach czy wozach konnych mieli czerwone znaki, mogli swobodnie poruszać się po mieście.

11 listopada doszło do porozumienia polskich władz, w tym wystanników Piłsudskiego oraz milicji PPS, z niemiecką radą żołnierską, dotyczącego odwrotu sił niemieckich z Warszawy oraz gwarancji bezpieczeństwa dla żołnierzy, a także wydania jeńców wziętych przez Polaków.

Postawa niemieckich rewolucjonistów spotkała się z dużą sympatią warszawskich robotników. „Szaro-zielonkawy mundur, wstrętny, zniechęcający, ścigany przekleństwami. Zjawiała się na nim czerwona kokarda... Jaka odmiana! Z tej wstęgi krwistej tryska ogień życia, radości, nadziei. To lud niemiecki odrodzony”, pisał „Robotnik”, organ PPS – Frakcji Rewolucyjnej, z 13 listopada 1918 r. Ten sam „Robotnik” donosił, że ludziom zdarzało się bronić rozbrojonych już niemieckich żołnierzy

O tym, że w listopadzie mogły paść ofiary, świadczą przypadki stawiania oporu przez niemieckie oddziały. W hotelu Polonia doszło do walki z oficerami. Obyło się bez ofiar śmiertelnych, jednak wśród cywilów byli ranni. W Alejach Jerozolimskich jadący tramwajem żołnierz niemiecki nie zdjął czapki przed czerwonym sztandarem niesionym przez demonstrację robotniczą. Sięgnął po broń i oddał strzał. Doszło do walki z oddziałem milicji robotniczej. W wymianie ognia zginął żołnierz, który ją wywołał, oraz jeden z robotników. Przez kilka godzin broniła się grupa żandarmów zajmujących warszawski ratusz.

Obawy budziła możliwość interwencji niemieckich oddziałów znajdujących się na wschód od miasta. Część z nich oparła się rewolucyjnej agitacji i pomimo podpisania 11 listopada rozejmu kończącego I wojnę światową przystąpiła do usuwania polskich posterunków milicji czy Polskiej Organizacji Wojskowej z mniejszych miasteczek. Dopiero wycofanie 13 listopada sił niemieckich z Warszawy i okolic pozwoliło na ustabilizowanie sytuacji. Żołnierze wrócili do Niemiec, gdzie trwała rywalizacja między siłami rewolucyjnymi a socjaldemokratycznym rządem.

Czerwony sztandar na Zamku Królewskim

W Warszawie rozpoczęła się rozgrywka o władzę. Prasa socjalistycz-

na donosiła o atakach ze strony dowórców – formacji powiązanej z endecją, uzurpującej sobie prawo bycia nowymi siłami porządkowymi. Pepeesowcy mówili o niej „biała gwardia”, podkreślając, że wielu członków tych paramilitarnych grup to byli oficerowie niemieckiej armii. Celem napaści stała się m.in. drukarnia powiązanej z Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy „Naszej Trybuny”.

13 listopada, gdy ostatnie jednostki sił okupacyjnych opuszczały miasto, na placu Zamkowym odbył się wiec socjalistyczny z udziałem 10 tys. osób. Na wieży Zamku Królewskiego, zajętego przez bojowców PPS, wywieszono czerwony sztandar. Robotnicy domagali się utworzenia rządu ludowego oraz socjalistycznej armii, powołując się przy tym na doświadczenia rewolucji w Niemczech. Żądano także rozpuszczenia powołanej pod kuratelą okupanta Rady Regencyjnej, wiążąc ją z dawnym porządkiem. Dzień później, obawiając się rozruchów, Rada Regencyjna przekazała pełnię władzy Józefowi Piłsudskiemu. ■



Rozmawia Bronisław Tumiałowicz

Czy podziękowała pani pisowskim mediom za bezpłatną reklamę wyborczą? Przecież to frontalny atak ze strony telewizji publicznej przyczynił się do pani sukcesu – startując z 13. miejsca na liście, uzyskała pani miejsce w ławach sejmowych.

– Może powinnam podziękować TVPiS, że tak często byłam bohaterką jej programów, w których szczuto na mnie i nieustannie manipulowano faktami na mój temat. W życiu nie byłoby mnie stać na opłacenie tylu spotów na antenie. A na poważnie – istotnie zwiększyło to moją rozpoznawalność, mój wizerunek się spopularyzował, co mnie pozytywnie zaskoczyło. Kiedy prowadziłam kampanię na ulicach Warszawy, wiele osób reagowało bardzo miło i przyjaźnie, chociaż średnio raz na godzinę ktoś mnie przeklinał – najmocniej odczułam to w okolicach Hali Mirowskiej. W sumie cieszę się z takiego rezultatu wyborczego, bo okazało się, że większość obywateli nie uległa presji mediów i nawet ci, którzy słyszeli, co się wygaduje o mnie w TVP, woleli osobiście sprawdzić te informacje, bo nie mogli uwierzyć w przekaz medialny.

Sejmowe układy

Dlaczego wybrała pani listę Koalicji Obywatelskiej? Nie było pani bliżej do lewicy?

– Nie jestem członkiem Platformy ani żadnej innej partii, ale od czterech lat zajmuję się satyrą polityczną, więc polityka weszła do mojego życia. Gdy zostałam kandydatką do Sejmu, moja strona na Facebooku miała 95 tys. fanów, teraz ich liczba urosła do 110 tys. Postanowiłam sprawdzić, jak to się przekłada na realne głosy. Chciałam, by wyborcy powiedzieli, czy ta droga była właściwa, tym bardziej że poza obecnością w internecie brałam udział w ulicznych protestach i demonstracjach. **Teraz będzie pani pewnie na lewym skrzydle PO, a może założy własne stronnictwo?**

– Nie mam takich planów, uważam po prostu, że w grupie łatwiej się załatwia sprawy publiczne, a ja będę się odwoływać nie tylko do „swoich” kolegów z ław poselskich, ale także

Kto powiedział – Jachira NIE!

Sejmowy debiut ze szczyptą satyry



KLAUDIA JACHIRA

– rozpoczynająca pierwszą kadencję w Sejmie

do wszystkich, którzy zechcą poprzeć moje poglądy. Staram się w każdym człowieku szukać pozytywów i do każdego się uśmiecham. Dotyczy to zwłaszcza nowo wybranych posłów wszystkich opcji, choć nie miałam na razie przyjemności poznać tych z list Konfederacji. Ale i z nimi, o ile będą kulturalnymi ludźmi, mogłabym współpracować np. nad tematami gospodarczymi, aby odciążyć przedsiębiorców. Przecież ustalenie płacy minimalnej w wysokości 4 tys. zł brutto, jak chce PiS, może sprawić, że wiele firm upadnie albo właściciel będzie zarabiał mniej niż jego pracownicy. Jestem jakby w rozkroku między prawą i lewą stroną, bo odpowiada mi liberalna postawa w gospodarce, i tu bliżej mi do prawicy,

natomiast światopoglądowo bliżej mi do lewej strony sceny politycznej.

Osoba niezwiązana z żadną partią musi dobrze się określić, gdzie chce być i kogo słuchać.

– To o tyle łatwe, że w Koalicji Obywatelskiej jest duża różnorodność. Jest Inicjatywa Polska, są Zieloni. Natomiast program PiS zawiera mało punktów, z którymi mogłabym się zgodzić, pisowcy proponują socjalizm o zabarwieniu narodowym, ale w Sejmie nawet z nimi jestem w stanie się zgodzić, jeśli zaproponują coś sensownego. Może uda się z nimi porozumieć, byle zechcieli słuchać i usłyszeć, co się do nich mówi. To samo dotyczy posłów Konfederacji, którzy proponują proste zasady prowadzenia firm, aby ułatwić życie przedsiębiorcom, ale nie zgodzę się na poglądy narodowo-faszystowskie ani umniejszanie korzyści z obecności w Unii Europejskiej. Podobne problemy mogą wystąpić we współpracy z byłymi parlamentarzystami Kukiza, z których część niby była opozycją, ale dawała przyzwolenie na to, co PiS robiło z naszą demokracją. Na to też nie ma mojej zgody.

W lewo zwrot?

Która z tworzących koalicję lewicową partii wydaje się pani najbliższa? SLD, Wiosna czy Razem?

– We wszystkim bylibyśmy w stanie się porozumieć, gdy chodzi o prawa kobiet, o edukację seksualną. W kwestiach gospodarczych najdalej mi do Razem, bo oni proponują wyśrubowany system socjalny. Jednak młodych ludzi z Razem, miałam już okazję poznać i wydają się bardzo sympatyczni.

Podsumujmy: przyszła pani do Sejmu z własnym programem; o co będzie pani walczyć?

– Przede wszystkim będę patrzeć władzy na ręce, czyli kontynuować

to, co starałam się robić przez cztery lata na Facebooku. Nieustannej walki wymagają ochrona klimatu i poprawa jakości powietrza. Potrzebna jest walka o nowoczesną edukację, o nauczanie i wychowanie, co do którego mam bardzo krytyczny stosunek. Wreszcie zależy mi na ułatwianiu życia przedsiębiorcom.

W internecie krążą też pani wypowiedzi np. w obronie pieszych i poparcie dla wniosku o usunięcie z kodeksu sformułowania „wtargnięcie na jezdnię”.

– Nie podoba mi się napuszczanie na siebie kierowców i pieszych. Każdy z nas jest pieszym, a kierowcą lub rowerzystą tylko się bywa. Jest wiele innych spraw, które mnie martwią i pobudzają do działania, choć wiem, że wszystkim nie zdołam się zająć. Boli mnie np. stosunek do Polonii. Utało się krzywdzące przekonanie, że Polonia głosuje tylko na PiS. Tymczasem mam dużo kontaktów z Polakami mieszkającymi za granicą, odwiedziłam ich również podczas kampanii w Londynie i za każdym razem utwierdzam się w tym, że są to fajni ludzie i nie można ich traktować stereotypowo. Wyjechali z kraju, ale martwią się o Polskę, mają świetne pomysły, z których możemy skorzystać.

Kulturalnie?

Jest pani aktorką, a nie martwi się pani sytuacją ludzi kultury?

– Cóż, my, aktorzy często nie umiemy się bronić i jest nas bardzo mało. Wielu artystów nie może np. korzystać ze służby zdrowia, bo nie płać składek zdrowotnych, ale nie wysypią jabłek przed siedzibą premiera, jak zrobili to rolnicy. Powtarzam jednak: nie mogę zająć się wszystkim. Wiem, że poseł Krzysztof Mieszkowski jest w te sprawy bardzo zaangażowany. Chętnie mu pomogę, ale nie chcę łączyć wszystkich srok za ogon.

Czy w Sejmie będzie pani osobą poważną? A może przyniesie pani kukłę prezesa?

– Wszystko, co dotąd robiłam, było na poważnie. Używana w satyrze ironia i rekwiizyty były niezbędne do poruszania tak ważnych tematów jak np. praworządność. O tym, jak władza zachowywała się przez cztery ostatnie lata, nie dało się mówić inaczej niż bez użycia lalki Jarosława. Jak będzie teraz ze sprawowaniem

mandatu posła? Czy ta kadencja będzie bogata w debaty parlamentarne? Jeśli nadal będzie się marginalizować opozycję, wyłączać mikrofony, karać finansowo itd., to nie wiem, czy nie trzeba będzie znów używać innych środków wyrazu, jakimi są filmiki i happeningi.

Mam pomysł na pozytywny przekaz płynący z Sejmu. Chciałabym, aby powstał chór poselski ponad podziałami. Wspólnie śpiewana piosenka, która „jest dobra na wszystko”, mogłaby rozładować złe emocje. Posłowie, którzy kłócą się w komisjach czy na sali plenarnej, po zajęciach wspólnie i zgodnie mogliby śpiewać. Nie mam wystarczających kompetencji, aby taki chór poprowadzić, ale przecież można zatrudnić fachowca. To by było fajne doświadczenie, gdyby np. Korwin-Mikke razem z Zandbergiem byli choć raz zgodni, a wśród 460 posłów znajdą się inni dobrzy wokaliści, np. poseł Cymański, posłanka Mucha, posłanka Chorościńska, także aktorka. Ja też będę z nimi śpiewać. We wczesnej młodości posyłałam mnie do szkoły muzycznej. Była to dla mnie wielka trauma, odpowiadały mi jedynie zajęcia z chóru. W Sejmie tworzone już wiele inicjatyw, ale chóru jeszcze nie było.

Jak to było z lalką prezesa Kaczyńskiego? Była zbiórka pieniędzy.

– Po dojściu PiS do władzy zaczęłam przyjeżdżać na demonstracje do Warszawy. Powstały moje pierwsze filmiki, wpadłam również na pomysł stand-upu, z którym chciałam jeździć po Polsce. A do tego przydałaby się lalka. Spróbowałam zbiórki na platformie crowdfundingowej i okazało się, że miało od razu 7 tys. lajków. Gdy doszło do 10 tys., wystarczyło, bo uzbierała się potrzebna kwota.

Ile kosztowała lalka? Kto ją wykonał?

– Musiało to być zrobione solidnie i profesjonalnie, podobna twarz, ruszająca ustami i oczami, naturalne włosy. W sumie ponad 5 tys. zł; sama peruka kosztowała 600 zł. Wykonała to świetna plastyczka, która długo pracowała we Wrocławskim Teatrze Lalek. Najpierw stworzyła twarz z plastycznego, glinopodobnego materiału, a później na to nakładało się specjalną masę o nazwie butafora, zrobioną z kleju, gazet i tapet. Dziś, po czterech latach, mój Jarosław musi odwiedzić lekarza,

bo podobiznę nadgryzł zęb czasu. Natomiast wielu ludzi mówi, że do plastyczki, z której ja korzystałam, powinni się zgłaszać ludzie planujący postawić pomniki brata bliźniaka prezesa. Te, które już powstały, nie zawsze są udane.

Kabaret młodej pani

Ma pani jakichś idoli, wzory w dziedzinie satyry politycznej? Może Górski, może Kryszak, może Jacek Fedorowicz?

– Kiedyś zdarzyło mi się wystąpić z panem Fedorowiczem, to był dla mnie zaszczyt. Doceniam „Ucho prezesa”, ale wydaje mi się, że za bardzo ocieplało osobę Jarosława Kaczyńskiego, choć nie oszczędzało jego współpracowników. Mam trochę inny pomysł na satyrę, a gdy chodzi o wzory, to jedynie „Kabaret Starszych Panów” wydaje mi się idealny. Gdy mam gorszy dzień, słucham tych skeczów i piosenek. W tak prosty, delikatny sposób potrafili oni tyle rzeczy przekazać.

A satyra telewizyjna? Są np. dwa bliźniacze programy: „Szkło kontaktowe” w TVN i „W tyle wizji” w TVP. Filmiki i zabawne komentarze.

– Nie mam telewizora. Jednak w hotelach czy u znajomych czasami nadrabiam zaległości, więc orientuję się z grubsza, jak to wygląda. Przede wszystkim „Szkło kontaktowe” było pierwsze, a u jego zarania prowadził je znakomity Grzegorz Miecugow. Przewijały się przez nie osoby o niesamowitym poczuciu humoru, takie jak Maria Czubaszek, która mówiła np., jak wygląda Psie Niebo. Na poziomie warsztatowym „W tyle wizji” nie ma więc porównania ze „Szkłem kontaktowym”. Ogromna różnica w klasie, choć format jest podobny – filmik, komentarz i telefony widzów. Uważam, że pomysł jest fajny, zwłaszcza że dziś telewizja ogranicza udział widzów. Kiedyś był on o wiele częstszy. Słyszałam, że gdy we Wrocławiu powstała pierwsza polska telewizja prywatna Echo, każdy mógł wejść do studia i powiedzieć, że np. zginał mu piesek. Był również program na żywo z ówczesnym prezydentem Wrocławia Bogdanem Zdrojewskim, któremu ludzie zadawali setki pytań.

W programie „W tyle wizji” występuje teraz w roli satyryczki była

► **kandydatka na prezydenta Magdalena Ogórek. Czy panią też dałoby się namówić do kandydowania, zwłaszcza gdy coraz więcej jest głosów za tym, by prezydentem wreszcie została kobieta?**

– Jestem za młoda, mam 31 lat, a dopiero od 35 można kandydować. Może za 10 lat wrócimy do tego pytania. Swoją drogą myślę, że Polska dojrzała do tego, by prezydentem została kobieta. Uważam, że przywróciłaby wagę urzędowi. Byłaby prezydentem aktywnym, potrafiącym poradzić sobie w nietatnych sytuacjach, tak jak Aleksander Kwaśniewski, który umiał się dogadywać nawet z przeciwnikami.



O tym, jak władza się zachowywała, nie dało się mówić inaczej niż bez użycia lalki Jarosława.

Wybrała pani drogę apostazji, czyli wypisania się ze wspólnoty wiernych Kościoła katolickiego. Czy było trudno? Trzeba było coś zapłacić?

– Nie było żadnych opłat, choć na początku trzeba wyciągnąć z kancelarii parafialnej świadectwo chrztu, a tutaj obowiązuje „co łaska”. Chciałam być *fair* z Kościołem i już nie jestem „ich człowiekiem”, co mnie bardzo cieszy. Nie mam nic do osób wierzących, chociaż nie podoba mi się, że dopuściliśmy do tego, by istniał związek wyznaniowy nieobjęty polskim prawem. Jestem też przeciwko hipokryzji – temu, że chrzczą swoje dzieci osoby, które nie zawarły ślubu. Jaką dają gwarancję, że wychowają potomstwo na katolików? To nie o wiarę tu chodzi, wszystko tylko dla kasy. Rodzina mnie czasem prosi, bym była matką chrzestną albo świadkiem na ślubie kościelnym. Wcześniej musiałam odmawiać i tłumaczyć, dlaczego nie, a po apostazji dyskusje się skończyły, po prostu nie mogę i tyle. Są zwolennicy i przeciw-

nicy apostazji, bo można się wypisać tylko na warunkach Kościoła.

Ekologia na talerzu i w ubraniu

Czy jest pani zagorzałą wegetarianką?

– Jestem jaroszem, bo jem ryby i owoce morza, pomijam zwierzęta lądowe. Bardzo lubię jaja i nabiał. Dochodziłam do tej postawy, ograniczając potrawy mięsne do jednego posiłku w tygodniu. Teraz nie jem mięsa, bo nie podoba mi się przemysł, który na wielką skalę przetrzymuje i tuczy zwierzęta w skandalicznych, nieludzkich warunkach, na małej przestrzeni, w smrodzie

i brudzie. Co innego, jak gospodarz ma jedną krowę czy świnię. Masowa produkcja zwierzęca jest również odpowiedzialna za część emisji gazów cieplarnianych. Mówi się, że gdyby zrezygnować z masowej produkcji paszy dla zwierząt, nie byłoby głodu na świecie. Czasem tęsknię za jagnięciną, za tatarskim, ale schabowego nigdy nie lubiłam. Nie podoba mi się także obrót mlekiem rozlewającym się do plastikowych naczyń. Żałuję, że nie roznosi się po domach mleka w szklanych butelkach, które oddawało się na kaucję. Wiem od rodziców, że tak kiedyś było.

A lubi pani hummus? Pytam w kontekście transparentu, który narobił sporo szumu w mediach.

– Hummus, czyli tradycyjną pastę z kuchni żydowskiej, lubię. Muszę jednak wyjaśnić kontekst tamtej sprawy, bo to nie był mój transparent, choć na mnie spadło odium za fotografię na jego tle. Podczas strajku klimatycznego w okolicach Sejmu taką płachtę przyniosły dwie nastolatki i spytały, czy mogą sobie zrobić ze

mną zdjęcie. Wydało mi się, że zestawienie hasła: bób, hummus, włoszczyzna z napisem na pomniku Polskiego Państwa Podziemnego było zabawną grą słów. A tu rozpętała się wielka afera, która odwróciła uwagę od strajku klimatycznego. Nie miało to nic wspólnego z tymi, co walczyli o wolność naszej ojczyzny, ale oczywiście nie mam problemu, by przepraszać tych, którzy poczuli się urażeni. Jestem za ekologią, zdrowym klimatem, a przeciwko wyrzucaniu żywności. Przykro mi, że prawicowe media rzuciły się na tę fotografię, ale kiedy nasi nacjonaliści szerzą nienawiść rasową pod hasłami Bóg, honor, ojczyzna, nikt ich jakoś nie piętnuje. To są niby tylko trzy słowa, ale pod tymi hasłami można obrażać gejów, bić ich, może nawet zabić.

Jako młoda postanka, odważna satyryczka, aktorka, w końcu celebrytka może pani stanowić wzór dla młodzieży. Pani styl, zachowanie, sposób ubierania są bacznie obserwowane. Już krążą opowieści, że ktoś panią widział w spodniach.

– A ja kocham sukienki. To 90% mojej garderoby. Nie chodzę w spodniach, chyba że na wycieczce w górach albo na fitnessie. Sukienki są wygodniejsze, bo nie trzeba myśleć, co z czym połączyć, jaką bluzkę wybrać itd. Uprawiam ekologiczny styl życia, zaopatruję się w lumpeksach. Przecież odzież używana, po pierwsze, jest tańsza, a po drugie, daje drugie życie ubiorom i nie wymaga produkcji nowych tkanin. To taka frajda, że sukienkę butikową z dobrej tkaniny, która w sklepie kosztuje ze 300 zł, w lumpeksie dostanę za 20 zł. Ogromnie wtedy się cieszę, że udało się nabyć coś ładnego i taniego. Zdarzało mi się co prawda zgrzeszyć, kupując coś nowego, np. na wieczór wyborczy Koalicji Obywatelskiej, ale takie sytuacje mam dwa-trzy razy w roku. Sądzę, że Sejm jest dobrym miejscem na sukienki z second handu. Mam nadzieję, że i teraz nic w moim postępowaniu się nie zmieni, bo fajnie jest być kobietą. Nie podoba mi się maskulinizacja, lubię moje długie włosy i warkocz. Sądzę, że noszenie sukienek nie sprawi, że będę mniej szanowana. Kobiety nie muszą dziś być sufrażystkami i palić staników. Są wolne.

Bronisław Tumitowicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Gastryczny dramat

Wkawiarni na Nowym Świecie z grupą znajomych. Wydają ulotne literackie piśmko „Rękopis”, nakład kilkadziesiąt egzemplarzy, w ostatnim numerze były moje wiersze. Wzruszające, że są jeszcze ludzie, którym tak się chce, dla których to ważne. Piśmo rozsyłane jest pocztą do znajomych. Spotkanie przy dużym, okrągłym stole, zapachniało wiekiem XIX, siedzący są jakby z innej epoki. Kilku osób od wielu lat nie widziałem i refleksja, że sytuacja jest poważna, czas dobrał się do nas i już nie odpuści. Tak, wracam do tematu śmierci. To zapewne główny motyw moich wierszy. Ale chyba nie mam obsesji śmierci. Gdy umierają bliscy i znajomi, raczej niewiedza mnie poczucie bezradności i że to niegodne, że życie toczy się dalej, jakby nic się nie stało. Nie boję się śmierci, boję się umierania, to ostatnie bardzo mi się nie podoba. Nie wierzę w Boga, dlatego śmierć dla mnie jest higieniczna, człowiek przenosi się w doskonałe nieistnienie. Gdyby coś tam było po śmierci, to dopiero byłoby przerażające. Gdy się wchodzi w pewien wiek, znikanie ludzi, których się znało, staje się przejmującym doświadczeniem, które czyni wielkie zamieszanie w pamięci i w wyobraźni. I z każdym rokiem wśród zmarłych coraz więcej znajomych. Te myśli to pogłos wielkiej mobilizacji cmentarnej, jaka przetoczyła się niedawno przez Polskę.

Zaprzysiężeni nauczyciele mówią mi, że w szkole fatalna atmosfera, pedagodzy czują się przegrani. Moja rozmówczyni była niedawno w Kijowie, tam odczuła podobną atmosferę braku nadziei. Jakoś przetrwać, a potem najlepiej wyjechać. Nauczyciele stosują teraz bierny strajk, angażują się w szkołę minimalnie. A to uderza w uczniów i czyni naszą szkołę publiczną jeszcze gorszą, niż była. Zamożni wysyłają dzieci do szkół prywatnych, ale też narzekają. Mój przyjaciel po takich doświadczeniach mówi: „Wiesz, najlepsza szkoła jest zawsze za rogiem”. Sam widzę, jak moje dzieci padają ofiarą strajku nauczycieli, miały jechać na kilkudniowe wycieczki – nie pojadą. A tak się cieszyły. Rodzice, nawet jeśli solidaryzują się z nauczycielami, zaczynają mieć do nich żal. A PiS w to graj. Specjalizuje się w szczuciu nas na siebie.

Prezes namaścił Pawłowicz i Piotrowicza na sędziów Trybunału Konstytucyjnego. To nie tylko upokorzenie wszystkich, którym droga jest polska demokracja, ale też gastryczny problem dla Gowina i Dudy, którzy będą

musieli zjeść te dwie żaby i nie zwymiotować. A na dodatek w finale uśmiechnąć się. Potem to już będą gotowi zjeść wszystko. I ten marszałek senior Sejmu Macierewicz. Im straszniej, bardziej groteskowo i obrzydliwie w tym gabinecie osobliwości, tym lepiej dla tego upiornego spektaklu.

Ślamazarna jest opozycja, nie na miarę dramatu, jaki PiS zgotowało Polsce. Tusk nie będzie kandydował na prezydenta, słusznie. PiS ludowi wmówiło, że on demon. A Duda już się krząta. Jest żalosną kukłą, ale żarcie tokuje i tak się wzrusza swoim gadaniem, że ma łzy w oczach. Pisałem już, że wśród polityków jako kandydata na prezydenta widzę Kosiniaka-Kamysza. Trochę z rozpaczy. Inteligent, ale lud uzna go za swego. Partie chcą jednak wystawiać swoich kandydatów. Jak nie wystawią, będzie wizerunkowa katastrofa. Żle świadczy o naszych politykach, że nie są w stanie podwinąć politycznych ogonów na czas wyborów, gdy trwa dramat kraju podbijanego przez barbarzyńców.

W księgarni, gdy przeglądam książki, staje obok mnie Beata Szydło i też przegląda. Wydało mi się to jakoś osobliwe i nie na miejscu, że te same co ja. Miałem ochotę powiedzieć: mogłaby pani przynajmniej książkom dać spokój. Już prawie wszystko żeście zbrukali.

Żalosny, kartowaty nacjonalizm leje się z mediów publicznych, to jakaś bitwa, powstanie, jakaś polska przewaga, bo jak wiadomo, jesteśmy jedyni i wyjątkowi. A przecież co jakiś czas prezes wygłasza rewelacyjną myśl: nie jesteśmy aniołami, też mamy wady, nie jesteśmy doskonali. Niebawem. Liberałowie, co lubi powtarzać prawica, promują pedagogikę wstydu, za to oni lansują pedagogikę dumy. Pedagogika wstydu ma polegać na tym, że się mówi, że bywaliśmy czasami podli. A jeśli taka bywała prawda, to tym gorzej dla prawdy. Trzeba ją zamknąć w milczeniu. Pisowska komórka do lepienia sloganów tworzy takie skrzepy myślowe: pedagogika wstydu, dobra zmiana, totalna opozycja, seksualizacja polskich dzieci, inwazja LGBT, mafie vatowskie... Wierni podejmują te formuły i je powtarzają, to ich klucz do rozumienia świata. I świat nagle staje się prosty i zrozumiały.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



Jak myśli policjant?

Kiedy demonstrantom puszczają nerwy i nazywają policjantów zomowcami, to funkcjonariusze się irytują. Mają później mniej oporów przed stosowaniem przemocy

Piotr Niemczyk

Osobną sprawą jest coraz wyraźniejszy brak profesjonalizmu polskiej policji, który również wpływa na wzrost brutalności w społeczeństwie.

Były komendant stołeczny policji, mł. insp. Wiktor Mikusiński, w latach 80. działacz niezależnych związków zawodowych milicjantów, zwraca uwagę na to, że policja zupełnie niepotrzebnie sama wywołuje stres i agresję. Jako przykład opisuje jedną z miesięcznic smoleńskich: „Na miesięcznic działania policji były niepotrzebnie prowokujące. Sytuacja wyglądała tak: duży ruch na Krakowskim Przedmieściu, nagle na Trębackiej staje kordon. Chcesz wyjść z Krakowskiego w prawo do ogrodu

Saskiego, a policjanci blokują bez słowa. Ludzie napierają z tyłu i nagle robi się jeszcze większa presja, bo ktoś mówi, że z placu Zamkowego, 300 m dalej, nie można wyjść. Tam też zamknęli wyjścia i zaczęli legitymować. Po co taka sytuacja? Moim zdaniem przełożeni ćwiczą policjantów w ten sposób. Patrzą, czy wykonują prawidłowo rozkazy. Po jakimś czasie część ludzi wypuszczają, mówią, którędy można wyjść. Kiedy ci z przodu wychodzą, policjanci znowu ustawiają kordon i rozdzielają ludzi, nie wiadomo po co.

Takie ćwiczenia na miesięcznicy są sto razy lepsze od ćwiczeń na placu manewrowym. Tam koledzy udają tłum. A tutaj mamy żywych obywateli w swojej naturalnej roli. Nic się nie dzieje, ludzie są spokojni, ale dowód-

cy pokazują policjantom, że jest zagrożenie i muszą działać. Funkcjonariusze mają bez przerwy czuć, że nie są gapiami, mają wypełniać zadania, realizować cel. Nawet głupi cel, tak jak w wojsku czy w milicji w PRL-u”.

Czy takie wywoływanie stresu pozostaje bez konsekwencji? Policja nie jest brutalna tak jak we Francji. Ale przedmiotem jej działania są nie tylko świadomi uczestnicy demonstracji, lecz także ludzie przypadkowi, turyści. Niektóre zachowania przełożonych sugerują, że wywoływanie wrogości wobec policji jest celowe. Kiedy demonstrantom puszczają nerwy i nazywają policjantów zomowcami, to funkcjonariusze się irytują. Atmosfera staje się coraz bardziej nerwowa i rekruci z oddziałów prewencji nabierają przekonania, że faktycznie mają do czynienia z agresywnym tłumem. Mają później mniej oporów przed stosowaniem przemocy.

Paradoks przedstawionej sytuacji jest szczególnie wyraźny, jeśli zauważymy, że policja nawet nie zbliża się do grup kibiców albo do agresywnych uczestników marszów o charakterze nacjonalistycznym. Przełożeni twierdzą, że nie chcą prowokować, żeby sytuacja nie wymknęła się

VIII Marsz Powstania Warszawskiego organizowany przez Roty Marszu Niepodległości, Warszawa, 1 sierpnia 2019 r.

spod kontroli. Tymczasem przez różnych awanturników odbierane jest to jako przyzwolenie na bezprawne zachowania także w innych miejscach. Gdyby, zamiast „ćwiczyć” na spokojnych obywatelach, służby porządkowe potrafiły ograniczyć agresję rodzącą się na bazie nietolerancji i ksenofobii, niewątpliwie liczba ataków chuligańskich zaczęłaby szybko maleć.

Zdzisław Czarnecki, doświadczony policjant, były dyrektor Biura do spraw Organizacji Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej, prezes Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych Rzeczypospolitej Polskiej, uważa, że na relacje międzyludzkie, pogarszające się na skutek chamstwa w życiu publicznym, nakładają się błędy organizacyjne w policji i niewłaściwe priorytety wyznaczone służbom.

„Dlaczego policja coraz gorzej sobie radzi z przemocą? Dlaczego liczba przestępstw pomimo wieloletnich spadków ponownie rośnie od roku 2015, 2016? Podłoże może być wielorakie, ja upatrywałbym powodów w dwóch elementach. Pierwsza sprawa to ogólne przyzwolenie społeczne na zachowania agresywne. Przyczyną tego jest również polityka prowadzona przez władze. Jeżeli

dzisiaj obserwujemy przyzwolenie na zachowanie agresywne, to widzą to również potencjalni sprawcy. Obserwujemy popieranie przez obecną władzę wszelkich sił narodowych, kibicowskich, które w swoich wystąpieniach przewidują brutalne reakcje. Karalność tych przestępstw jest w zasadzie znikoma. Dzisiaj policjant ma wątpliwości, czy podczas marszu legalne jest wykrzykiwanie haseł, które nawołują do nienawiści. Policjant jest praktyczny i myśli zero-jedynkowo. Widzi człowieka zachowującego

Coraz wyraźniejszy brak profesjonalizmu polskiej policji wpływa na wzrost brutalności w społeczeństwie.

się agresywnie i w ciągu kilkunastu sekund podejmuje decyzję: interweniuje lub nie. Widział, że na stadionie nie mógł interweniować, ponieważ jego przełożeni mówili: »Nie, nie, odpuśćmy, to są kibice, przyjaciele dobrych środowisk narodowych«. Taki policjant nie będzie interweniował zgodnie z procedurami, tylko będzie szukał wykrętów, żeby nie działać stanowczo”.

Czarnecki w ciągu ostatnich trzech lat sam organizował kilka manifestacji na terenie Warszawy, pod Sejmem i w innych miejscach. Do zabezpieczania tych manifestacji ściągano funkcjonariuszy prewencji z ościennych województw: podlaskiego, lubelskiego, kujawsko-po-

morskiego, łódzkiego. Rozmawiał z tymi policjantami. Przerzucanie ich do Warszawy na działania, do których nie są przekonani, rodziło frustrację. Nie po to szli do policji.

„Takie są ich głosy. Poza tym policjanci na podstawowych stanowiskach, dzielnicowi czy drogówka, nie wiedzą już, jak mają się zachowywać. Kiedy słyszą, że pan minister spraw wewnętrznych jechał samochodem, jego kierowca przekroczył prędkość o 48 km i dostał tylko upomnienie, to są zdezorientowani. Nie wiedzą,

jak mają się zachowywać w stosunku do normalnych obywateli. Wiem od policjantów, że jeżeli widzą małe przestępstwa, małe wykroczenia, to często odwracają głowę, żeby tego nie widzieć, nie notować, nie reagować. Bo nie wiedzą, kto może być sprawcą. A nuż jakiś człowiek »dobrej zmiany«? A te »małe sprawy« to agresja werbalna, przemoc w rodzinie, które przy braku reakcji ze strony policjantów mogą się zamienić w tragedię”.

Fragment książki
Piotra Niemczyka
Pogarda,
Znak Literanova,
Kraków 2019



Zdarzenie: 18 maja 2019 r., Busko-Zdrój

Patrol policji interweniował w sklepie spożywczym, gdzie mężczyzna wcześniej groził nożem jednej z klientek. Funkcjonariusze zastali sprawcę, który bawił się nożem przed sklepem. Kiedy próbowali go zatrzymać, zza sklepu wyszedł jego kolega. Wywiązała się szamotanina, w której drugi mężczyzna uderzył dwa razy nożem w plecy policjanta. Drugiego funkcjonariusza uderzył tym samym narzędziem w rękę. Sprawcą ataków okazał się 33-letni radny miasta, wybrany z listy popieranej przez polityków Prawa i Sprawiedliwości i zgłoszony do komisji wyborczej przez Komitet Wyborczy Porozumienie Gowina. Był trzeźwy.

Moja rozmowa ze Zdzisławem Czarneckim miała miejsce jeszcze przed wydarzeniami w Busku-Zdroju. Pewność siebie polityka obozu prawicy była tak duża, że uznał, iż może sobie pozwolić na zaatakowanie policjanta nożem. To zdarzenie, nawet jeżeli napastnik poniesie konsekwencje, (...) może budować przekonanie, że jeśli przedstawiciele elit politycznych mogą się tak zachowywać, to tym bardziej trzeba uważać, z kim się zadziera.

Od wielu lat badania kryminologiczne wskazują, że polityka, która zakłada, że przestępczość będzie maleć, jeżeli wyroki będą ostrzejsze, jest całkowicie niesłuszna. To nie długość kary decyduje o tym, że przestępca zastanawia się, czy popełnić czyn zakazany. Ważniejsza jest obawa, że kara będzie nieuchronna. Więcej sprawców przestępstw zakłada, że w ogóle nie zostaną złapani. Nie kalkulują, które z zakazanych działań grożą mniejszą karą. To poprawa skuteczności działania policji i prokuratury zwiększa bezpieczeństwo obywateli, a nie wysokość wyroków orzekanych przez sądy. A jak można twierdzić, że kara będzie nieuchronna, skoro setki ludzi przed kamerami łamią prawo i nie ponoszą żadnych tego konsekwencji? Wręcz przeciwnie – bywają nazywani patriotami, obrońcami tożsamości narodowej i tradycyjnych wartości.

Taki pomysł na wymiar sprawiedliwości powoduje, że więzienia są przepełnione, wyroki coraz wyższe, demoralizacja więźniów osiąga szczyty, a przestępstw jest coraz więcej. Czyli dzieje się właśnie to, co coraz lepiej widać w Polsce i w innych państwach europejskich.

Rozmawia Mateusz Demski

Niespodziewanie na wiejskiej drodze pojawia się luksusowy samochód, który wjeżdża w matkę z dwójką dzieci. Zjeżdża się policja, gromadzą gapię, a sprawca ucieka z miejsca zdarzenia. „Supernova” była inspirowana autentycznym, głośnym wypadkiem.

– Nie chciałbym mówić o bezpośredniej inspiracji, ale faktycznie poruszyło mnie wydarzenie sprzed kilku lat. Mówimy o tragicznym wypadku, który zdarzył się w sylwestrowy poranek. Młody kierowca, wsiadając do samochodu po środkach odurzających, dosłownie zmiótł z powierzchni ziemi sześć osób. Nie mogę jednak zdradzić nazwy miejscowości. Nigdy nie dałbym sobie przyzwolenia na odtworzenie prawdziwej historii. To był jedynie impuls, który stał się punktem wyjścia do fikcyjnej, a przy tym głębokiej, uniwersalnej opowieści. Chciałem zobaczyć, jak zachowują się ludzie w obliczu tak surrealistycznego przeżycia, jakim jest śmierć.

Czyli, mówiąc wprost, to poruszyło w tobie wrażliwą strunę.

– Tragedia, o której wspominałeś, podzieliła na mnie jak uderzenie obuchem w łeb. Po pierwsze – tak czysto po ludzku – trudno mi było wyobrazić sobie, że w jednej chwili zginęły dwie rodziny. Po drugie, zaczęły budzić się we mnie tematy, które w kinie od zawsze mnie kręciły: rola przypadku i przeznaczenia w życiu każdego z nas, a także sytuacja graniczna, która generuje spontaniczne zachowania tu i teraz. Zrozumiałem, że takie wydarzenie może się stać platformą do zrobienia wielkiego kina, które będzie czytelne pod dowolną szerokością geograficzną. Nieszczęśliwe wypadki zdarzają się każdego dnia. Nie tylko w Polsce.

Kiedy mówisz o roli przypadku, od razu przypominam sobie pierwsze recenzje „Supernovej”, w których pojawiło się wiele porównań do Krzysztofa Kieślowskiego. Niektórzy twierdzą, że twój film można potraktować jako kolejny odcinek „Dekalogu”.

– Nie przepadam za sytuacją, w której odwołujemy się do innych dzieł osadzonych w przeszłości

Polityka na chwilę, sztuka na zawsze

Sytuacja nie jest różowa, ale polskie kino zawsze się obroni



BARTOSZ KRUHLIK

– reżyser

i porównujemy. Dla mnie kino żyje wtedy, kiedy jest pierwotne. To znaczy, kiedy nie musimy w trakcie seansu nadwyreżać narzędzia intelektu, a wchłaniamy historię za sprawą oczu i serca. Najwięcej czerpię z kina mocno osadzonego w realizmie i to tam szukam drobnych sensów, znaczeń. W sytuacjach, w których sami możemy zostać postawieni pięć minut po wyjściu z dowolnego budynku. Być może pewne tropy z Kieślowskim się zgadzają, ale pod względem formalnym to są różne propozycje. Gdybym miał się porównywać do kogoś, poszedłbym tropem kina Asghara Farhadiego, w którym dominuje miłość do greckiej tragedii, lub braci Dardenne.

Co masz na myśli?

– W tych filmach bohaterem nie musi być ani James Bond, ani piękny książę. Wystarczy zwykły człowiek rzucony w wir życiowych perypetii. Na początku może się to wydać nieciekawe lub mało wyraziste, ale po jakimś czasie zaczyna chwytać za gardło, stając się czymś na miarę wewnętrznego kina akcji. Właśnie taka postawa przyświeca mi jako twórcy – by z uwagą przyglądać się człowiekowi i odkrywać prawdę o nim.

Rozumiem, że stąd wzięła się twoja fascynacja jednością miejsca, czasu i akcji. W „Supernovej” zamykasz opowieść w klaustrofobicznej przestrzeni wyznaczonej

Bartosz Kruhlak – rocznik 1985, absolwent Wydziału Reżyserii PWSFTviT w Łodzi. Jego filmy były pokazywane wielokrotnie na polskich i zagranicznych festiwalach, gdzie zdobyły prawie 150 nagród i wyróżnień. W roku 2013 otrzymał Nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego dla studentów uczelni artystycznych za wybitne osiągnięcia. Autor nagradzanych spotów społecznych. Jego debiut fabularny „Supernova” otrzymał nagrodę za najlepszy debiut reżyserki na 44. Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni.

policyjnymi taśmami do odgradzania miejsca wypadku, czas trwania filmu zaś równoważy się z czasem opowiadanej historii. To sprawia, że ciśnienie rośnie z każdą chwilą.

– Tak już mam, że stosunkowo łatwo przychodzi mi opowiadanie tego typu historii. Z jakiegoś powodu fascynuje mnie zaciskanie pętli i budowanie napięcia opierające się na jedności czasu. Mam poczucie, że taka forma wymusza na widzu instynktowną reakcję i opowiedzenie się po konkretnej stronie. Czas rzeczywisty w połączeniu z sytuacją armagedonu, która wykracza poza naszą wyobraźnię, potrafi oblepić jak gęsta maź i nie pozwala się uwolnić.

To znaczy, że wykalkulowane i chwytliwe wybory obsadowe nie interesują cię jako reżysera?

– Należałoby zadać pytanie, czemu to ma służyć. Bo jeśli tylko temu, że kilka tysięcy osób więcej przyjdzie na mój film do kina, to ja się na to nie piszę. Mam problem z tymi najbardziej znanymi i ogrzany aktorami, którzy na pewnym etapie kariery są już bardziej sobą z nazwiska niż postacią odgrywaną na ekranie. Na tych ludziach ciąży to, co znamy, i to, w jaki sposób zostali uformowani przez dotychczasowe dokonania. I jeśli nie mam na takiego aktora konkretnego pomysłu, nie widzę powodu, żeby go angażować. Co nie znaczy, że chcę

możliwymi podziałami: politycznymi, społecznymi, majątkowymi i tożsamościowymi. Mamy tu ojca alkoholika, zepsutego polityka, wiejską społeczność, która daje sobie prawo do samosądu. Nie wydaje ci się, że to kawał współczesnej, głęboko podzielonej Polski?

– Nie myślałam o Polsce. Nie przyszła mi do głowy komentowania wydarzeń, które mają miejsce na arenie politycznej czy społecznej. W tym filmie można się doszukać pewnej nuty publicystycznej, ponieważ sprawcą wypadku jest prominentna postać związana ze światem polityki, która wyraźnie różni się od ofiar i lokalnej społeczności. Ale była

Najlepiej, jeśli festiwal w Gdyni zostawi się w rękach filmowców, widzów, krytyków i wszystkich, którzy kochają ten szczególny rodzaj doświadczenia.

W tej chwili czuję, że umiem opowiadać tylko w taki sposób. Żyją we mnie nieoczywiste historie, po których trudno się pozbiierać, które wykraczają poza doświadczenia łatwe i przyjemne.

Widać w tym dbałość o psychologiczną wiarygodność postaci. Co zaskakujące, nie zaprosiłeś do współpracy żadnych znanych nazwisk, wybrałeś aktorów anonimowych, pracujących w małych teatrach lub zapomnianych. Na czym ten wybór się opiera?

– Na ciekawości. Mnie jako twórcę do myślenia, tworzenia stymuluje właśnie casting i praca z aktorem. Zależało mi na odkryciu zupełnie nowych twarzy, na które mógłbym spojrzeć jak na białą kartkę. Nie chciałem angażować do tego projektu popularnych aktorów, którzy od lat pracują tymi samymi narzędziami, wolałem ludzi poszukujących, którzy nie są znani szerszej publiczności, za to wykorzystują maksimum swoich możliwości, proponując mocne i precyzyjne aktorstwo. Był jeszcze jeden ważny powód. W filmie występuje trzech wiodących bohaterów, kilkanaście równoznacznych postaci drugoplanowych, a w kulminacyjnym momencie na ekranie pojawia się ponad 50 osób. Nie wyobrażam sobie, że przy tylu ludziach nagle wyróżniam kogoś tylko dlatego, że od lat gra główne role. To byłoby nieuczciwe wobec całego filmu.



już zawsze pracować w ten sposób i odwrócić się od aktorów z ogromnym portfolio. Aktorem, który ma niepodważalną pozycję, a którego aktorskie poszukiwania niezmiennie mnie intrygują, jest Adam Woronowicz. Nieważne, czy weźmiemy komercyjny, czy artystyczny projekt z jego udziałem, obecność tego człowieka na ekranie zawsze mnie kręci. Takiego aktora chciałbym w przyszłości zaprosić do współpracy.

Mówiłeś o nagromadzeniu postaci. Odnoszę wrażenie, że na przykładzie „Supernovej” można nakreślić kronikę Polek i Polaków z wszelkimi

to tylko struna, coś w rodzaju kręgosłupa w konstrukcji całej historii. Z biegiem czasu i podczas pracy nad scenariuszem uwierzyłem, że koncepcja ta będzie najbardziej słuszną w kontekście dramaturgii budowanej na ekranie. Interesowali mnie ludzie, których losy spletają się, przez co muszą oni wspólnie zmierzyć się z prywatnym końcem świata. Pierwotnie miał to być film o przeciętnym kierowcy, który powoduje wypadek i ucieka z miejsca zdarzenia. To samo w sobie stanowiło bardzo ciekawą przestrzeń refleksji o człowieku. Marzy mi się jeszcze jeden film ▶

o wypadku, tym razem na autostradzie A1 i sytuacji „Nowak wjeżdża w Kowalskiego”. Czy wtedy też będzie mi się wmawiać, że próbuję pokazać widzowi, jak się żyje w Polsce? **No dobrze, ale sprawcą wypadku w filmie jest polityk, który chce wygrać wybory. Przypominam, że nie tak dawno byliśmy świadkami**

Mam problem z najbardziej znanymi aktorami, którzy na pewnym etapie kariery są już bardziej sobą z nazwiska niż odgrywaną postacią.

wypadków, w których uczestniczyły samochody polityków partii rządzącej. Ci ludzie bardzo długo czuli się bezkarnie. Nie zamierzali brać odpowiedzialności za błędy.

– Mimo wszystko mam nadzieję, że to coś więcej niż film publicystyczny. Jeśli ktoś zdecydowanie narzuca mi dodatkowe interpretacje, to odpowiadam: jeśli ktoś obejrzy „Supernova” za 15 lat, taki kontekst w ogóle nie będzie istniał, a to nadal będzie ten sam film. To, że niektórzy czytają ten film przez pryzmat wydarzeń,

które w Polsce się dzieją, jest znakiem naszych czasów. Postać polityka stojącego ponad prawem została przeze mnie napisana już w 2014 r., a więc kilka lat przed wypadkami, do których nawiązujesz. Czasem kino wyprzedza pewne zdarzenia, a następnie zająć się z rzeczywistością. Jestem pewien, że jeśli za 20 lat ktoś

obejrzy ten film po raz pierwszy, nie będzie miał tych samych skojarzeń. Nie mam nic więcej na swoją obronę. Nie wiem, jak bardziej uniwersalnie mógłbym zrobić ten film.

Na festiwalu w Gdyni najpierw zostałeś wycofany z konkursu głównego, potem przywrócono cię po licznych głosach oburzenia w środowisku filmowym. Dziś mówi się nawet o bojkocie imprezy przez Gildię Reżyserów Polskich i powołaniu alternatywnego festiwalu. Myślisz, że sprawy zabrną tak daleko?

– Życzyłbym sobie tylko jedno: aby polski widz sukcesywnie wyrabiał w sobie smak i wymagał od filmowców coraz wyższej jakości ich dzieł. Żeby nie zadowalała się powierzchownością, publicystyką czy kilkoma znanymi nazwiskami na plakacie, tylko był istotą wymagającą. Słowem – by chciał prowadzić dialog z dziełem, które zawiera istotny przekaz. Oczywiście, żeby widz miał taką możliwość, warto stworzyć filmowcom odpowiednie

warunki pracy i uwolnić ich od osób, które traktują sztukę instrumentalnie. Myślę, że najlepiej, jeśli festiwal w Gdyni zostawi się w rękach filmowców, widzów, krytyków i wszystkich tych, którzy kochają ten szczególnie rodzaj doświadczenia. I mimo że sytuacja nie jest różowa, nie martwię się o polskie kino, bo ono zawsze się obroni. Polityka jest na chwilę. Sztuka jest na zawsze.

Mateusz Demski

Wywiad przeprowadzony został na 17. MFF Tofifest w Toruniu.



Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Urok szamana

Umarli śnią się jako żywi. Niby to oczywiste, a jednak wciąż mnie zaskakuje, że ojciec, od kiedy nas odumarł, nawiedza moje sny w tak znakomitej formie. We śnie podziwiamy z matką jego werwę i szepczemy sobie porozumiewawczo: „Nie wolno mu powiedzieć, że umarł, bo się człowiek załamie”. Któryś razem jakoś to wyciekło między słowami i ojciec bardzo się na nas pogniewał („Nie zrobicie ze mnie umarlaka!”), kiedy indziej zaś kwestionował nawet i taką sugestię, że skoro żyje, choć wcześniej umarł, oznacza to cud zmartwychwstania. Nie i nie, ojciec upiera się, że nigdy nie umarł, żarliwie wypiera się śmierci; ba, kiedy zaczynam we śnie się domyslać, że śnię, odsyła mnie do wszystkich diabłów, przekonując, że nawet jako mara senna jest bardziej realny od wszystkiego, co sobie uroiłem w życiu. Krzyczy na mnie – dawno nie słyszałem jego krzyku, przez ostatnie lata nie miał już siły podnosić głosu – kiedy próbuję mu zadać pytanie, jak tam jest, po drugiej stronie. No i weź tu gadaj ze zmarłym.

Za życia tryskał energią, a i tzw. osobowością artystyczną, legitymizowaną dyplomem akademii sztuk pięknych, domowników nieco obezwładniał. Ojciec był do rany przytóż, o ile dawało mu się bezwzględny posłuch, z czasem jednak, kiedy do jego małżeństwa wkraść się element znużenia, a jedyne dziecko przeobraziło się w zbuntowanego nastolatka, przestał być słuchany. Niestłyszani podnoszą głos, niestłuchani wściekle krzyczą. Byłem ojcu wrzaskliwie nieposłuszny, a kiedy moi rodzice próbowali przekrzyczeć małżeński kryzys, mieliśmy już zupełny dom wariatów. Sąsiedzi, do których pijackich awantur ojciec zajadłe wzywał policję, nagle przestali się kłócić, demolować domostwa, nie powiem, że przestali pić, ale jeli to czynić nad wyraz dyskretnie. Może zawstydzili się, że ich przedrzeźniamy, a może korzystali z okazji, że wreszcie to oni mogą się poczuć lepsi: no proszę, niby wykształceni, a mordy drą na siebie jak swofocz. Z czasem tak przywykłem do porozumiewania się krzykiem, do wiecznie przeskalowanego diapazonu emocji, że bywając w gościnie u rówieśników, podejrzewałem ich rodziców o uprzejmość na pokaz, o teatralnie powściągnięte gesty i tony, nie mogłem uwierzyć, że w innych domach po prostu się do siebie mówi, że się siebie nawzajem wysłuchuje.

Być może właśnie tym konwulsjom życia rodzinnego zawdzięczałem bezgraniczne zauroczenie kinem Andrzeja Żuławskiego, którego filmy poznawać zacząłem w szczytowym momencie burzy i naporu pokwitania, przypadającego na moment maksymalnych turbulencji małżeńskich moich rodziców. To, co krytycy nazywali histerycznym ak-

torstwem, rozpoznawałem jako psychologiczny weryzm, co określano mianem kina ekstremalnego, dla mnie było cichym realizmem familijnym. Młodzieńcze opętanie dzikimi filmami Żuławskiego szło u mnie w parze z zauroczeniem postacią autora, który w wywiadach dawał się we znaki erudycyjnym mentorstwem, apodyktycznym intelektem i jakąś organiczną wprost, nieposkromioną pogardą dla wszystkich, którzy mu nie dorównywali. W dodatku w jego filmach role życia grały najpiękniejsze kobiety świata, co budziło podziw i zazdrość. Za młodu rozlubowany w najbardziej krwawych łaźniach żuławszczyzny – „Diable”, „Opętaniu” czy „Trzeciej części nocy”, dziś najbardziej cenię jego wyciszone dzieła – z chopinowską „Błękitną nutą” na czele. Robił filmy wielkie, ale zdarzały mu się i poronione gnioty („Szamanka”); miewał chwile literackiej wielkości (eseje „Zaulek pokory”), ale i padał ofiarą wiary we własną nieomyślność – redaktorów rozstawiał po kątach lub nawet przepędzał, czym najbardziej zaszkodził sobie bodaj w „Nocniku”. Czuły, uwodzieciski i charyzmatyczny rozkochiwał w sobie damy, którymi potem pomiatał na łamach powieści autobiograficznych.

Zmarły przed trzema laty Andrzej Żuławski doczekał się tej jesieni prawdziwego benefisu: dwóch fantastycznych książek, wzajem się uzupełniających, których jest bohaterem. Pierwsza to wznowiony po dekadzie wywiad rzeka, przeprowadzony przez dwóch krakowskich filmoznawców: Piotrow Kletowskiego i Mareckiego. Kletowski z pozycji czło-

wieka głęboko religijnego co i rusz prowokuje Żuławskiego do trącania strun metafizycznych, do rozważań o *sacrum* i *profanum*. Mareckiego bardziej interesuje sama istota sztuki filmowej; tak czy owak, z cyklu rozmów trzech intelektualistów powstała kultowa już dziś, wydana wreszcie z porządnymi fotografiami, opowieść o wybitnym i krnąbrnym artyście. Z kolei fantastyczny „Szaman” Aleksandry Szałat, opasła i pasjonująca biografia Żuławskiego, wyrasta ze słusznego przekonania o programowej mitomanii reżysera, który fantazjował o sobie i swoich bliskich, tworząc coraz to nowsze wersje własnego życiorysu. To książka czule demaskatorska, ale też niezwykle dociekliwa, imponująco udokumentowana, z rozmachem portretująca dzieje niezwykłego przedstawiciela wymierającej inteligencji polskiej. Pozycja obowiązkowa, warta wszelkich przyszczeroczných nagród, które jej zwiastują.

Wojciech Kuczok jest prozaikiem, poetą, krytykiem filmowym i scenarzystą. Laureat Paszportu „Polityki” w dziedzinie literatury za rok 2003 i Nagrody Literackiej Nike 2004 za powieść „Gnó”

24. FORUM KINA EUROPEJSKIEGO CINERGIA

Prawie 100 filmów obejrzą widzowie tegorocznej CINERGII. Trzon wydarzenia stanowią konkursy europejskich i polskich debiutów, w których rokrocznie ścierają się najciekawsze zjawiska i trendy młodego kina. Ale CINERGIA to także sekcje pozakonkursowe prezentujące filmy z całego świata oraz retrospektywy uznanych twórców. W tym roku bohaterami CINERGII będą nominowany do Oscara za film „Pokój” Irlandczyk Lenny Abrahamson i wybitna czeska dokumentalistka Jana Ševčíková. Festiwalowa publiczność będzie mogła spotkać się z kanadyjskim reżyserem i producentem Seanem Cisterną oraz amerykańskim aktorem włoskiego pochodzenia Joem Pantolianem, którzy będą promować film „From the Vine”. Pantoliano zaprezentuje także swój dokumentalny obraz „No Kidding! Me 2!!” i weźmie udział w rocznicowym pokazie „Matrixa”. W programie CINERGII również pokazy „Czasu Apokalipsy” z okazji 40-lecia premiery oraz „Malowanego ptaka” według prozy Jerzego Kosińskiego. Imprezę zwieńczy koncert Ani Dąbrowskiej „Ania Movie Charlie” przygotowany na 25. urodziny festiwalowego kina Charlie. Szczegóły: www.cinergiafestival.pl.

ŁÓDŹ, 22-30 LISTOPADA



KURTYNA W GÓRĘ

CZWARTY WYMIAR

Co się dzieje z czasem, który minął? – pyta Andrzej Stasiuk. Łukasz Lewandowski i współtwórcy Malabar Hotel, Marcin Bartnikowski i Marcin Bikowski, badają ślady przeszłości, próbują ustalić, co zostało po przyjacielu, który odszedł na zawsze. Od tego spektakl się zaczyna: trzech panowie w aseptycznych strojach tropią pozostałości, oglądają jak w laboratorium to wszystko, co zostało po kimś, kto zawsze był i nagle być przestał. Najpierw powoli zniknął, kurczył się, zapadał, aż przepadł na zawsze.



Utrzymane w rzeczowym tonie męskie spojrzenie na śmierć, nieobecność kogoś bliskiego to przejmujące, odważne wejście w przestrzeń niebytu, w to, z czym pogodzić się nie sposób, a nie zgodzić nie można. Opowieść bez lamentów, hysterii, rozdzielania szat, ale wypełniona bezbrzeżnym, kamiennym smutkiem. A właściwie smutkiem spopielałym, skoro nawet prochy przyjaciela rozwiął wiatr.

Toteż na koniec na scenie Przdownik zobaczymy tylko rumowisko pamiętek i strzępów, wszystkich tych drogocennych śmieci, które zostawiamy, kiedy nas już nie ma.

Zasadnicze pytania o pamięć i jej sens, o czas, czyli tajemniczy, niepochwytany czwarty wymiar. A Grochów? To kolebka, gdzie wszystko się zaczęło. Miejsce, które dla przyjaciół, żywych i umarłych, pozostało kotwicą. Też już go nie ma. Zmienił się, przepoczwarzył. Zostały powidoki i gasnąca pamięć zapachów, które przypominają czas bezpowrotnie miniony. Chociaż trwa. Czwarty wymiar żłobi w pamięci szczeliny, usadawia wspomnienia, choćby przelotne. Sprawia, że choć przeszłe nie wraca, to w jakimś stopniu wcale nie mija. „Trzeba się przyzwyczaić – wyznaje Stasiuk – że już nic się nie zmienia i będziemy mieli tylko przeszłość”.

Mądre, poważne przedstawienie.

Tomasz Miłkowski

Andrzej Stasiuk, „Grochów”, scenariusz Łukasz Lewandowski, opieka artystyczna Agnieszka Glińska, przestrzeń Monika Nyckowska, lalki Marcin Bikowski, muzyka Igor Nikiforow, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, Scena Przdownik, w koprodukcji z Fundacją Teatr Malabar Hotel, premiera 11 października 2019

O KSIĘŻNICZCE, CO NIE CHCIAŁA KSIĘCIA

„Księżniczka Turandot” to pierwotny wzór opery, w której nieśmiertelną rolę księcia grał Luciano Pavarotti. Twórcy przedstawienia w Dramatycznym oddali mu hołd, przypominając słynną arię „Nessun dorma”, którą śpiewają wszyscy panowie. Sztuka odwołuje się też do wielu innych konwencji teatralnych: commedii dell’arte, chińskiego teatru cieni, teatru marionetek i kabaretu politycznego. Wypowiedziane kiedyś słowa pewnego dostojnika, że ludzie będą zap... za miskę ryżu, także zostały tu wykorzystane. Zwłaszcza że to bajka chińska, która się dzieje w „Pe-ki-nie”.

Bronisław Tumitowicz

Carlo Gozzi, „Księżniczka Turandot”, reżyseria Andrej Spišák, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, Scena im. G. Holoubka, premiera 27 września 2019



ZAJRZYJ TU

ZASŁUCHAJ SIĘ

NIEBA I ZIEMI NIE WIDĄĆ. WARSZAWIACY O WRZESNIU 1939

Muzeum Warszawy upamiętnia 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej wystawą opowiedzianą głosami mieszkańców i mieszanek stolicy. Oglądamy na niej przedmioty związane z codziennością broniącego się miasta. Motywem przewodnim ekspozycji są nigdy dotąd nieopublikowane wspomnienia warszawiaków i warszawianek, z którymi można zapoznać się w nowocześnie zaaranżowanych wnętrzach kamienic przy Rynku Starego Miasta w Warszawie. Wystawie towarzyszy książkowe wydanie warszawskich pamiętników – wielowymiarowego zapisu codzienności w oblężonym mieście.



**MUZEUM WARSZAWY,
DO 5 STYCZNIA**

Moniuszko Pieśni vol. 4. Ballady Pawlik Relations

To już czwarta płyta z pieśniami Stanisława Moniuszki wydana staraniem firmy producenckiej Pawlik Relations. Są na niej większe formy wokalne, piękne ballady do słów Adama Mickiewicza. Tekstów znanych z lektur szkolnych, takich jak „Trzech Budrysów”, „Czaty”, „Świtezianka”, możemy wysłuchać w pięknym opracowaniu muzycznym w wykonaniu młodych polskich śpiewaków i z mistrzowskim towarzyszeniem fortepianu, przy którym zasiada Jolanta Pszczółkowska-Pawlik. Jeśli ktoś nie zna tych wspaniałych opowieści z dawnych kresów Rzeczypospolitej, w dołączonej książeczce znajdzie poezję naszego wieszczki, także w tłumaczeniu na język angielski. Jolanta Pawlik zapowiada kolejne nagrania, wszak Moniuszko stworzył ponad 300 pieśni.

Bronisław Tumitowicz



NA EKRANACH

NIE MA NAS W DOMU

reż. Ken Loach, prod. Wielka Brytania,
w kinach od 15 listopada

W „Nie ma nas w domu” rodzice prawie nie widują się z nastoletnim synem i młodszą córką, bo cały czas spędzają w pracy, w której nie chronią ich żadne prawa. Są na samozatrudnieniu, więc jeśli nie zasuwać, to nie zarabiają. A o tym nie ma mowy, gdy trzeba utrzymać rodzinę i zapewnić pociechom edukację. Sprawiedliwości próżno oczekiwać ze strony pracodawcy czy klientów. Jeśli Ricky nie dostarczy na czas paczki, płaci karę z własnej kieszeni. Abbie zaś, która opiekuje się schorowanymi ludźmi, też musi być na każde wezwanie. W przeciw-



nym razie lecą jej potrącenia z pensji. Jak to u Kena Loacha, mistrza brytyjskiego kina niezależnego – bohaterowie są raczej bez skazy. Ich sromotna klęska w walce z bezwzględny systemem momentami razi uproszczeniami i czarno-białą wizją świata. Mimo to wyjątkowo łatwo jest się przejrzeć w tym filmie. Zwłaszcza że padają w nim aktualne także w Polsce pytania o sens przepracowywania się i stawiania mieć nad być. Naturszczycy w głównych rolach nie tyle grają, ile po prostu są, co sprawia wrażenie oglądania dokumentu. Efekt zostaje osiągnięty – w czasie seansu można tylko ocierać łzy i trząść się ze złości.

Artur Zaborski

SERIAL

PANI FLETCHER

Gdy nie ma dzieci w domu, to jesteśmy niegrzeczni albo niegrzeczne. A przynajmniej możemy zacząć zgłębiać temat. Kiedy Eve Fletcher (Kathryn Hahn), samotna matka po czterdziestce, odwozi syna jedynaka do akademika, wydaje jej się, że to koniec świata, że tego pustego gniazda nic nie zapełni. A tymczasem brak dziecka pod boki otwiera pole do różnych eksperymentów, nie zawsze udanych, do wychodzenia ze strefy komfortu i do ważnych poszukiwań. Swoją szkołę życia ma też Brendan (Jackson White), przerzucony z przyjaznego otoczenia w nowe, studenckie środowisko. Siedmiodzielnikowy serial na podstawie powieści Toma Perrotty opowiada o konieczności dorastania do nowych ról w przełomowych momentach.

HBO, PONIEDZIAŁKI, GODZ. 21.10 | HBO GO



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Żonglerka w mózgu

Neuronawigacja pozwala na precyzyjne dotarcie do guza przy jak najmniejszych zniszczeniach komórek mózgu



PROF. MAREK MOSKAŁA

– kierownik Kliniki Neurochirurgii i Neurotraumatologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie

Rozmawia Krystyna Rożnowska

Co roku diagnozuje się ok. 2,7 tys. nowych przypadków guzów mózgu, w ostatnich trzech latach ich liczba podwoiła się. Największy wzrost zachorowań występuje u osób w wieku 50-65 lat. Coraz częściej słyszą to rozpoznanie także ludzie młodzi. Co prawda, nieco mniej jest bardzo trudnych do leczenia glejaków, ale przybywa chłoniaków, oponiaków oraz innych nowotworów. Część to przerzuty do mózgu z innych narządów. Rozwój technologii obrazowania i zabiegów neurochirurgicznych stwarza chorym coraz większe szanse na skuteczność leczenia tych chorób.

Ile operacji onkologicznych przeprowadzacie w ciągu roku i w jaki sposób? Czy neurochirurg może dzisiaj dotrzeć do każdego miejsca w mózgu?

życie. Nazywamy je miejscami eloquentnymi. Dlatego u pewnej liczby chorych decydujemy się na częściową resekcję guza oraz dalsze leczenie metodami radio- i chemioterapii. Chirurg w czasie operacji nie może więc przekroczyć pewnej granicy.

A jeśli już za tą granicą jest resztką guza, którego doszczętne wycięcie warunkuje powrót do zdrowia?

– Przewidując skutki operacji, musimy wtedy uzgodnić z pacjentem,

Wycięcie nawet części guza ma sens – zmniejszenie masy nowotworu zwiększa odporność organizmu i umożliwia mu skuteczniejszą walkę z rozrostem guza.

czy decyduje się na utratę lub osłabienie danej funkcji. I nie tyle liczba zdrowych komórek mózgowych, których go pozbawimy w trakcie zabiegu, jest tu najważniejsza, ile liczba utraconych połączeń między neuronami, bo to one decydują o sprawności, także intelektualnej,

oraz indywidualności człowieka. Są ludzie, u których tych połączeń jest dużo więcej niż u innych i utrata części jeszcze nie uniemożliwia im funkcjonowania.

To tłumaczy, dlaczego Sławomir Mrozek napisał książkę mimo przebytego udaru.

– Chory musi jednak zaakceptować przed operacją jej przewidziane przez lekarza konsekwencje. A tę część nowotworu, której z mózgu nie usuniemy, możemy zniszczyć chemioterapią lub/i radioterapią. Jednak wycięcie nawet części guza ma sens – zmniejszenie masy nowotworu zwiększa odporność organizmu chorego, a tym samym umożliwia mu skuteczniejszą walkę z rozrostem guza.

Wydawało się, że poznanie genomu człowieka umożliwi wyleczenie różnych chorób uchodzących za niewyleczalne, także nowotworów. Tak się nie stało.

– Jeszcze nie wiemy dokładnie, gdzie w tej spirali genów są miejsca odpowiedzialne za nowotwory mózgu. Na całym świecie trwają badania nad leczeniem genetycznym, czyli genoterapią, ale jej wprowadzenie do kliniki nadal wydaje się odległe. Problem tkwi głównie we wcześniejszej diagnostyce, najważniejsze, by

jak najszybciej uchwycić ognisko nowotworowe. A nowotwory mózgu, zwłaszcza poza miejscami eloquentnymi, rozwijają się skrycie, ich objawy są niecharakterystyczne – bóle głowy, zaburzenia poznawcze, orientacji, wzrokowe, drętwienie rąk, mroczki przed oczami, permanentne

zmęczenie. Bierze się je zwykle za efekt miażdżycy. Natomiast ewidentne objawy – niedowłady, skrzywienia twarzy, znaczne zaburzenia wzrokowe – pojawiają się dopiero wtedy, gdy nowotwór jest już duży albo kiedy jest ulokowany w miejscu niekorzystnym dla leczenia chirurgicznego. Jednak gdy objawy niecharakterystyczne trwają dłużej, choćby kilka tygodni, są bezwzględnym wskazaniem do wykonania rezonansu magnetycznego głowy.

To najbardziej miarodajne badanie?

– Jest także tomografia komputerowa. Jestem jednak zwolennikiem rezonansu magnetycznego, bo daje większą wizualizację i nie naraża pacjenta na promieniowanie jonizujące, ale na to badanie, niestety, trzeba czekać. Na badania przesiewowe mózgu nas nie stać,

by były widoczne na ekranie monitora w czasie operacji. Wówczas, patrząc na obraz mózgu na ekranie, możemy dokładnie określić, w jakim miejscu się znajdujemy, widzimy, gdzie i co operujemy. Jednak w czasie zabiegu, po usunięciu części mózgu, zmienia się jego anatomia, więc obraz, który jest podstawą neuronawigacji, także zostaje zmieniony. Istnieje zatem konieczność diagnostyki śródoperacyjnej – trzeba w czasie operacji wykonywać rezonans magnetyczny. Nowoczesne ośrodki, w których operuje się przy użyciu neuronawigacji, muszą mieć możliwość wykonywania rezonansu magnetycznego w trakcie zabiegu operacyjnego.

Czy pan też ma taką możliwość?

– Będziemy ją mieć od stycznia, po przeprowadzce do nowego

pozwalać po podaniu kontrastu na obrazowanie przepływu krwi w naczyniach mózgowych czy „podświetlanie” guza. Połączenie neuronawigacji i systemów robotyki z najnowocześniejszymi mikroskopami stwarza możliwość usunięcia guza w większym zakresie lub całkowicie, przy minimalizacji kalectwa.

Słyszałam o skutecznym leczeniu nowotworów komórkami macierzystymi.

– Zwiększają one angiogenezę, czyli rozwój naczyń, przez które można wprowadzić do guza więcej niszczących go leków stosowanych w chemioterapii. Z kolei niektóre nowotwory bardzo nie lubią tlenu, jeśli dostarczymy im go w większej ilości, ulegają martwicy.

A sale hybrydowe? Jakie stwarzają możliwości?

– Jest to bardzo nowoczesna technika zarezerwowana dla wybranych guzów. Stosujemy ją, gdy istnieje konieczność równoczesnego widzenia guza i naczynia. Takie obrazowanie umożliwia śródoperacyjne śledzenie zakresu resekcji guza i zbliżania się do ściany naczynia, którego uszkodzenie może spowodować krwotok, a nawet zgon chorego. W tych zabiegach uczestniczy neuroradiolog. Sala hybrydowa pozwala więc na prowadzenie większych operacji, np. usunięcie guza podstawy czaszki, które były rzadko podejmowane jako wyjątkowo niebezpieczne. Jeśli będziemy mieli dobrze wyposażoną salę hybrydową, stworzy to możliwość

Gdy robot zostaje sprzężony z obrazem rezonansu magnetycznego, precyzja neurochirurga jest większa.

choć moim zdaniem przyniosłyby wcześniejsze rozpoznania, a więc większe możliwości szybszego wyleczenia, byłyby zatem w sumie opłacalne.

O przyczynach nowotworów mózgu chyba nadal wiemy niewiele.

– Część jest na pewno pochodzenia genetycznego.

To dlaczego ich przybywa?

– Genetyka też się zmienia. Zatrucie środowiska, powietrza, wody, jedzenia, brak komfortu życia, ustawiczny stres, leki, alkohol, narkotyki – to wszystko odbija się na genotypie człowieka.

Środowiska tak szybko nie odbudujemy, więc ratunek w neurochirurgii. W waszej klinice ok. 40% operacji neurochirurgicznych ma charakter onkologiczny, pozostałe to leczenie urazów czaszkowo-mózgowych, zespołów bólowych oraz schorzeń naczyniowych. Jakimi metodami wykonujecie operacje onkologiczne?

– Dużym osiągnięciem pozwalającym na precyzyjne dotarcie do guza, przy jak najmniejszych zniszczeniach komórek mózgu, jest neuronawigacja. Poprzedza ją wprowadzenie do komputera obrazu mózgu uzyskanego w rezonansie magnetycznym lub tomografii komputerowej i oznakowanie narzędzi chirurgicznych, tak

szpitala uniwersyteckiego, który został już otwarty. Wiele sobie obiecuję także po wprowadzeniu robotyki. Gdy robot zostaje sprzężony z obrazem rezonansu magnetycznego, precyzja neurochirurga jest większa – polepsza się ocena granicy miejsc elokwentnych. Nasz szpital uniwersytecki zakupił najnowocześniejszego robota do operacji neurochirurgicznych, typu Rosa, produkcji amerykańskiej, mam nadzieję, że w nowym szpitalu będzie w pełni

Niektóre nowotwory bardzo nie lubią tlenu, jeśli dostarczymy im go w większej ilości, ulegają martwicy.

wykorzystany. Ten robot „wie”, jak głęboko wprowadzić igłę biopsyjną czy nóż ultradźwiękowy. Jego stosowanie jest możliwe po wgraniu obrazu rezonansu magnetycznego, który w trakcie zabiegu trzeba powtarzać, by uzupełniać wiadomości dotyczące zmian w mózgu zaistniałych w czasie operacji. Rezonans magnetyczny, tomografia czy angiografia stanowią bazę do programowania robotów.

Duże znaczenie w operacjach neurochirurgicznych mają również mikroskopy.

– Nowoczesne mikroskopy, wyposażone w specjalne przystawki,

wykonywania angiografii w trakcie zabiegu i wtedy, przy neuronawigacji, zmniejszy się niebezpieczeństwo skaleczenia tętnicy. Będziemy mogli bardziej się do niej zbliżyć. Przy dużych operacjach onkologicznych stosuje się też niekiedy bajpasy, czyli wszywa mostek naczyniowy, najczęściej między tętnicą szyjną zewnętrzną a środkową mózgu, by utrzymać przepływ krwi w naczyniach mózgowych.

Na czym polega neuromonitoring?

– To stymulacja mózgu, nerwów czaszkowych i obwodowych, odpowiednim urządzeniem. Ma pobudzać wyładowania elektryczne,

► które są monitorowane przez elektrody obwodowe. Osłabienie reakcji, tzw. cisza, świadczy o zaburzeniu przewodnictwa i wskazuje granice resekcji. Możemy stymulować odpowiedź ruchową, wzrokową i mowę, gorzej z interpretacją zaburzeń czuciowych.

Podobno niekiedy w czasie operacji neurochirurgicznej mózgu wybudza się chorego i rozmawia z nim. Dlaczego?

– Kiedy guz jest zlokalizowany w pobliżu ośrodka mowy lub

ośrodków odpowiedzialnych za ruch, rozmowa z chorym w trakcie operacji pozwala dokładniej określić zakres resekcji, by nie spowodować uszkodzenia funkcji mowy i sprawności ruchowej. A mózg, który nie ma zakończeń czuciowych, nie reaguje na ból, więc operowany pacjent nie cierpi. Dzięki technice medycznej dokonały się w neurochirurgii olbrzymie osiągnięcia, ale nie są one do końca satysfakcjonujące, bo najlepiej by było usunąć nowotwór doszczętnie.

Udaje się jednak minimalizować kalectwo przy zwiększeniu skuteczności leczenia.

Które z tych urządzeń już macie?

– Prawie wszystkie: najnowocześniejszą w Europie neuronawigację, mikroskopy dające możliwość podglądania przepływu krwi w naczyniach, neuromonitoring pełnoprofilowy, mamy również nowoczesny system operacji endoskopowych. Po przeprowadzce do nowego szpitala uniwersyteckiego będziemy mieć jeszcze robota Rosa oraz salę hybrydową. Tu, w starym budynku przy ul. Botanicznej, też przeprowadzamy operacje w warunkach częściowo hybrydowych, ale tam będzie sala hybrydowa z prawdziwego zdarzenia. Wypożyczeniem będziemy więc dorównywać nowoczesnym ośrodkom europejskim.

Wynikami także?

– Jak w innych renomowanych ośrodkach nie mamy zadowalającej skuteczności w leczeniu złośliwych guzów pochodzenia glejowego. Natomiast coraz lepsze rezultaty osiągamy w leczeniu operacyjnym pojedynczych przerzutów nowotworów do mózgu i łagodnych guzów mózgu czy guzów przymózgowych. Nowoczesna technologia pozwoliła na zwiększenie skuteczności leczenia przez doszczętne usunięcie nowotworu w przypadku jednej trzeciej guzów oraz wydłużyła przeżycia chorych z guzami podstawy czaszki czy wolno rosnącymi od kilkunastu miesięcy do kilku lat. Wprowadzanie najnowocześniejszych technologii wymusza organizowanie wielospecjalistycznych zespołów złożonych ze specjalistów szkolonych w różnych krajach Europy i w Stanach Zjednoczonych, dzięki swobodnej wymianie pomiędzy ośrodkami nie tylko w kraju, ale i za granicą. Operujemy często w mieszanych zespołach, z udziałem radiologa, laryngologa, chirurga twarzowo-szczękowego, neuropatologa, neurofizjologa itd. oraz wyspecjalizowanych pielęgniarek. W nowym szpitalu wszystkie kliniki będą w jednym miejscu, więc łatwiej będzie te zespoły tworzyć. Nasza obecność w Unii Europejskiej umożliwiła nam przeskok w nowy wymiar neurochirurgii.

Krystyna Rożnowska

**„NAJBARDZIEJ PRZERAŻAJĄCA
ODSŁONA ANNABELLE JAK DOTĄD”**
POPDUST.COM



**JUŻ NA
BLU-RAY™
I DVD!**

NEWLINE CINEMA presents an ATOMIC MONSTER/PETER SAFFRAN production "ANNABELLE COMES HOME" MACKENNA GRACE MADISON ISHMAN
KATIE SARIFE with PATRICK WILSON and VERA FARMIGA MUSIC BY JOSEPH RICHARDS EDITOR RICH BELLIA COSTUME DESIGNER KIRK MURPHY EXECUTIVE PRODUCERS JENNIFER SPENCE
PRODUCED BY MICHAEL BURGESS WRITTEN BY RICHARD BIRENEN BASED UPON THE STORY BY VICTORIA PALMISTO MICHAEL CLEAR ANIMATED BY MICHELLE ANDRUSSEY JASON SCOTT
DIRECTED BY GARY DAUBERMAN & JAMES VONN SCREENPLAY BY GARY DAUBERMAN PRODUCED BY PETER SAFFRAN & JAMES VONN EXECUTIVE PRODUCERS GARY DAUBERMAN

Dostępne w sklepach: MediaMarkt

PARTNERZY MEDIALNI









Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Gliński z łaśiczką

Minister Piotr Gliński nie wypożyczył Francuzom „Damy z łaśiczką”. Ich prośbę zbyt grubiańskim listem do dyrektora Luwru: „Możemy rozważyć ten pomysł. Pod warunkiem, że pan wypożyczy nam »Mona Lisę«”. Potem jeszcze chwalił się publicznie, jak to zagrał żabojadom na nosie. Jeśli chciał potwierdzić powszechną opinię ludzi kultury, jak bardzo nie nadaje się na zajmowane stanowisko, to zaiste dobitnie ją udowodnił. Otóż, panie ministrze, dzieła Leonarda da Vinci to nie są znaczki wymieniane na podwórkę przez młodocianych filatelistów lub wypożyczane „do serii”. Wzajemne wypożyczanie sobie obiektów wielkiej wagi stanowi element utrwalonych kontaktów i długofalowej polityki placówek muzealnych. Minister Gliński ma muchy w nosie i uważa za poniżającą współpracę polskich muzeów z Luwrem? Nie ma sprawy. Luwr od tego się nie zawali, a tylko podsłakiwacz straci. Na wielką wystawę jubileuszową dorobku Leonarda da Vinci udostępnił swoje leonardiana, nie targując się jak baba na Kleparzu (to niedaleko Muzeum Czartoryskich), m.in.: Pina-koteka Ambrojańska, Ermitaż, Muzeum Watykańskie, Galeria Borghese, British Museum, Galeria Uffizi, National Gallery itd. Wspaniałe katalogi rozeszły się w kilkudziesięciu (jak dotąd) tysiącach egzemplarzy. Krakowskiej „Damy z łaśiczką” w nich nie ma. Spodziewa się minister Gliński, że spowoduje to przyjazd smakoszy chcących obejrzeć brakujące ogniwo łańcucha? Nic bardziej błędnego. Nasz reprezentacyjny skarb po prostu jak gdyby wypadł z korpusu podstawowych dzieł mistrza Leonarda. Minister go nie wywyższył, tylko zdeprecjonował, a jeśli chodzi o Muzeum Czartoryskich, to miast zapewnić mu rangę ubożuchnego, ale partnera Luwru, sprowadził je do tego, czym w istocie jest – podrzędnego panoptikum z dwoma czy trzema unikatami, czyli kolekcji, jakich na świecie setki.

Jest to zresztą reprezentatywne dla szerszej polityki muzealnej naszego ministra. Chciałby on w nich widzieć placówki propagandowe, gładyszaltujące publiczność do jego zapatrywań. Najlepszym tego przykładem muzeum Polin, które ma odwagę być obiektywne, dzięki czemu uzyskuje darowizny od ludzi spragnionych rzetelnej wizji historii. Na co jednak Glińskiemu pieniądze, prawda albo opinia międzynarodowa? Były dyrektor wygrał miażdżąco konkurs na następną kadencję? Panisko z Krakowskiego Przedmieścia wstrzymuje miesiącami nominację – i co? No i co mi możecie zrobić!? Polityka polityką, ja bym tu jeszcze dołączył psychologię. Im bardziej bowiem kontrowersyjne, szkodliwe i tendencyjne podejmuje Gliński decyzje, tym więcej o nim się mówi. Z reguły złe. I cóż z tego? On lubi po prostu ogromnie, że się o nim mówi, zauważa go w tłumie. Jak pisał Walerij Briusow:

Cóż mi oszczerstwa głos? Bluźniercę wzgarda zmiata!
Niech wieńczy moją skroń stuleci przyszłych sława.
Prowadząc do świątyni świata.

Tenże Briusow (mało warta owa „świątynia świata”, bo nawet w Rosji niewielu o nim pamięta) oświadczał, że „nie lubi Lermontowa”. No proszę – Briusow nie lubi Lermontowa. Powinien Lermontow w zaświatach założyć włosienicę i schować się ze swoją poezją, „Bohaterem naszych czasów” i „Maskaradą”, w najciemniejszej dziurze Tartaru, zalewając łzami, bo Briusow go nie lubi. Z kolei Gliński nie lubi Gombrowicza, Tokarczuk, Miłosza i wszystkich wybitniejszych dyrektorów teatrów.

No, nie lubi i tyle. Miłosz i Gombrowicz leżą na szczęście w grobach. Z Tokarczuk się zobaczy, na razie Nobel za świeży, ale dyrektorów już teraz można powyrzucać, tutaj Gliński może sobie użyć. Nie podobają mu się. No i co mi możecie zrobić? Taki mam już gust i tyle.

Z tym gustem to rzeczywiście skomplikowana sprawa. *De gustibus non est disputandum*, ale z drugiej strony „są gusta i guściki”. Franciszek Ksawery Dmochowski jest tu patetyczny:

Guście, sędzio dzieł ludzkich, darze niebios drogi,
Bez którego w ozdoby sam dowcip ubogi!

Ale już Stanisław Jachowicz znacznie frywolniejszy:

Późnym wieczorem śpiewał słowik w krzaczku,
„Cóż to? – ktoś rzecze – nie śpisz nieboraczkę?”,
„Różne są gusta – słowik mu odpowie –
Gnuśni spać wolą, śpiewać słowiczkwie”.

Tak więc skomplikowana to sprawa. Można liczyć tylko na pewien kompromis. Gowin czy Ziobro *non est disputandum*. Natomiast muzyka Mozarta wydaje się jednak trochę lepsza od disco polo. I właściwie to nam w przypadku Glińskiego całkowicie wystarcza. Panisko z Krakowskiego Przedmieścia woli każdą filmową nacjonalistyczną szmirę, dla której nikt do sal się nie fatyguje, od filmów oglądanych i zbierających po świecie prestiżowe nagrody. Telewizja publiczna mu całkowicie dogadza. Muzeum Rydyzka dofinansowuje. Na co mu Mozart? Niech go disco polo weźmie w swe ramiona, utuli i upieści. Ta nasza siermiężna muzyka też może za trudna, ale przynajmniej potaćczyć przy niej pan minister kultury Piotr Gliński zapewne potrafi. Co do „Damy z łaśiczką”, to osobiście nie ma wyrobionego zdania. Za bardzo jednak łapy Czartoryskim nasmarował, żeby teraz ślepią głupich Francuzów pała. Bo za granicą, jak wiadomo, żyją sami polakożercy i profani. Z kolei polskie wykształciuchy, z panią prezydent Gdańska na czele, Westerplatte obsr...

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



WOJNY WYOBRAŻONE





Kto z nas nie lubił w dzieciństwie bawić się w wojnę? Wiele lat później, 80 lat od wybuchu II wojny światowej, w dobie wciąż rosnącej „mody na patriotyzm”, Adrian Kuśmerek przemierzył Polskę z północy na południe, odwiedził kilkadziesiąt imprez militarnych, robiąc tysiące zdjęć. Powstał

reportaż „Wojny wyobrażone”. Pozwala on zastanowić się przede wszystkim, jak właściwie opowiadać najmłodszym o wojnie, o historii, tak by była ona dla nich zrozumiała. Czy te wszystkie, tak liczne inscenizacje nie spłaszczają historii, nie zamieniają jej w barwną zabawę, zaburzając obraz?

FOT. ADRIAN KUŚMIEREK

Kolumnę przygotowała Karina Krystosiak



Kamil Fejfer

AGNIESZKA

Wilczur jest stary, w jego oczach nie ma życia. Stoi na środku drogi, która przecina na pół niewielkie, komunalne osiedle bliźniaków. Nie mogę znaleźć właściwego adresu. Mężczyzna, którego sylwetka zdradza lata fizycznej pracy, stoi na progu jednego z domów i przygląda mi się z zaciekawieniem. (...) Za chwilę przychodzi po mnie Gabrysia, młoda dziewczyna o czarnych, falujących włosach.

Idziemy w milczeniu do niewielkiego, parterowego domu, gdzie Gabrysia mieszka z mamą, dwójką braci i partnerem mamy. Od progu wita mnie jej mama, Agnieszka, która proponuje coś do picia. Siadamy w niewielkiej kuchni. Zza kotary widać kawałek zlewu. Ścianę wokół niego obrasta grzyb. To pewnie przez wszechobecną wilgoć; dopiero w zeszłym roku wymienili okna. Wcześniejsze, drewniane, tatali kitem, ale zimą mróz i tak malował na nich paprocie szronu. To była pierwsza rzecz, jaką zrobili po dostaniu 500+. Potem zapisałi Gabrysię na zajęcia zajątek.

Rozmawiamy przy ciepłej herbie. Za nowym, plastikowym oknem pierwsze jesienne chłody, za ścianą – 20-metrowy pokój z piecem kaflowym. Poza nim i kuchnio-łazienką w mieszkaniu jest jeszcze sieni. Bliźniak ma 31 m. Mieszkają tu w piątkę. Na głowę każdego, licząc łącznie z wiatrołapem i kuchnią, wychodzi po 6,2 m. To o metr kwadratowy więcej niż powierzchnia, jaką zajmuje zaparkowany daewoo matiz. I o metr mniej, niż wynosi norma dla więźnia w fińskiej czy duńskiej celi. Oraz o 3 m mniej niż minimalna powierzchnia, która przysługuje więźniom w Belgii. Przeciętna powierzchnia mieszkalna wynosi w Polsce ponad trzy razy więcej, ok. 27-28 m kw. na osobę.

Rozmawiam z Agnieszką. Wszystkiemu przysłuchuje się Gabrysia, która nagle wstaje. Wychodzi za parawan, który przedziela kuchnię na część jadalną i łazienkową, po czym robi siku. Między mną a nią nie ma żadnej ściany; jedynie podwieszona pod sufitem kotara. Nie wiem, co

Ja się pracy nie boję, ale tak się nie da

Jedną z przyczyn tego, że kobiety po otrzymaniu 500+ odchodzą z rynku, jest jakość pracy i polska kultura organizacyjna

myśli dorastająca dziewczyna, robiąc coś tak intymnego praktycznie w obecności nieznanego jej dorosłego mężczyzny. Nie mam śmiałości zapytać.

Takich rodzin jak Agnieszki i Gabrysi jest tutaj kilkanaście. Osiedle bliźniaków stoi na obrzeżach miasta. (...) Niedawno na drodze dojazdowej miasto położyło asfalt. Wcześniej była tu droga gruntowa. Wiosną czasami nie dawało się wyjechać, bo topniejący śnieg tworzył błotne koleiny. Agnieszka mówi, że jej rodzina ubiega się o większe i wygodniejsze mieszkanie. Wynajem na wolnym rynku jest dla nich za drogi, o kredycie nawet nie mają co marzyć. Kiedy pytała w urzędzie miasta o Mieszkanię+, niewiele potrafili jej powiedzieć. Burmistrz podpisał list intencyjny, ale sprawa utknęła w martwym punkcie. Od pracownicy Urzędu Miasta w Hajnówce

lokal to pięć lat. Wszystkich mieszkań komunalnych jest w Hajnówce nieco ponad 1,5 tys. Co roku spływa ok. 80-90 podań o przydział lokalu. W 2018 r. przydzielono 21 mieszkań, rok wcześniej – 24. Na moje pytanie, ile rocznie oddaje się do użytku nowych mieszkań komunalnych, urzędniczka odpowiada, że w 2018 r. przybyło ich sześć.

Agnieszka nie musi iść do pracy. Dziesięć miesięcy temu urodziła dziecko i poszła na macierzyński. Zamierza spędzić z nim trochę czasu. Dwa, może trzy lata. Dzięki 500+ ma trochę spokoju.

Do narodzin Maćka, najmłodszego syna, Agnieszka pracowała w markecie sieci Arhelan. Była tam dwa lata. (...) Na stronie przedsiębiorstwa można znaleźć link do organizacji „Fundacja Arhelan – społecznie odpowiedzialni” założonej przez

Agnieszka nie musi iść do pracy. Na macierzyńskim zamierza spędzić trochę czasu. Dwa, może trzy lata. Dzięki 500+ ma trochę spokoju.

wiedziałem się, że o Mieszkaniu+ wiadomo niewiele – ale lokale na pewno będą droższe niż komunalne. A to właśnie w komunałce mieszka rodzina Agnieszki.

Powiedziano mi również, że aby otrzymać mieszkanie komunalne, dochód w rodzinie nie może przekraczać 1030 zł na głowę, a do tego na członka rodziny musi obecnie przypadać mniej niż 5 m kw. powierzchni pokoju. Do tego nikomu z ubiegających się o taki lokal nie może przysługiwać tytuł prawny do budynku lub innego mieszkania. Rodzina Agnieszki spełnia wszystkie kryteria. Na większe mieszkanie komunalne czekają od dwóch lat. W urzędzie słyszę, że średni czas oczekiwania na

właścicieli sieci. Jak można przeczytać, „fundacja aktywnie wpisuje się w życie lokalnej społeczności. Organizuje zbiórki na rzecz najbardziej potrzebujących, sponсорuje wiele akcji charytatywnych, wspiera sport i kulturę regionu”. Wśród statutowych celów fundacji znajdujemy m.in.: „działalność dobroczynną na rzecz osób marginalizowanych i wykluczonych społecznie, a w szczególności: niepełnosprawnych, bezrobotnych, bezdomnych oraz migrantów, pomoc społeczną oraz wyrównywanie ich szans” oraz „propagowanie idei przedsiębiorczej filantropii i kreatywnego kapitalizmu, rozumianych jako stosowanie mechanizmów rynkowych w projektach społecznych”.



Może warto zatem przytoczyć niektóre opinie na temat Arhelana, które pojawiły się na stronie GoWork.pl w okresie, kiedy pracowała tam Agnieszka: „Brak mi słów na tę firmę. Ogólnie to do samych właścicieli nic nie mam, oboje mili i kulturalni. Ale wątpię, czy mają jakiegokolwiek pojęcie, co się dzieje w ich sklepach, zwłaszcza jeśli chodzi o Arhelan w Suraziu. Pracowałam w tym sklepie dość długo, ale presji, jaka tam jest, nie wytrzyma nawet człowiek o mocnych nerwach – a wydawało mi się, że takie mam. Moje doświadczenia w owej placówce: Nie płacą za nadgodziny. Inwentaryzacje po godz. 10-11 gratis. [...] Oczywiście nic się nie odzywa, bo jak nie, to szukasz innej pracy. Wyzwiska pod twoim adresem – w obecności klientów, przedstawicieli, dostawców – to już norma. Płacisz za towary przeterminowane. Mało tego, dochodzą jeszcze kary z sanepidu i Inspekcji Pracy, a co się z tym wiąże, zmuszanie pracowników do opłacania tych kar”.

„Lubisz być poniżany, traktowany przez kierowniczkę i właścicieli Arhelana jak podczłowiek, śmieć, [harować] jak wół za płacę minimalną na umowę śmieciową, idź do Arhelanu. To wszystko zapewni ci ta firma”.

„W Bielsku też nie lepiej, szczególnie w 11. Pewnie dzięki kierowniczce większość dziewczyn się zwolniła”. (...)

Agnieszka mówi, że praca w Arhelanie to nie tylko siedzenie na

kasie. To również fizyczna harówka i mnóstwo dźwigania: skrzynek z napojami, mąki, cukru, ziemniaków, zgrzewek szamponów, soli. Kobieta twierdzi, że takiej ciężkiej fizycznej pracy było po kilka godzin dziennie. – Po jakimś czasie kręgosłup zaczął mi siadać. Byłam na zwolnieniach, bo po prostu nie wytrzymałam – mówi. (...)

W sklepie powinni pracować osiem godzin dziennie, ale jak mówi Agnieszka, normą było dziewięć, czasami 10 godzin. Pieniądzy za nadgodziny nie dostawała. (...)

Czasami przyjeżdżała kontrola z innego miasta. Podliczała wszystko i wystawiała opinie. Jak brakowało jakiegoś towaru, pracownicy dostawali punkty ujemne. – Jeżeli znaleźliśmy nabiał po terminie, który nie zszedł, wyrzucaliśmy go do kosza. Ale płaciliśmy za to z własnych pieniędzy – mówi Agnieszka. – U nas w Polsce wszystko jest możliwe. (...)

Państwowa Inspekcja Pracy przeprowadziła również anonimową ankietę wśród pracowników i pracowników Arhelana na temat mobbingu. Wśród przepytanych osób osiem udzieliło odpowiedzi, które wskazywały, że mogą go doświadczać. Próbowaliśmy uzyskać od sieci Arhelan komentarz do zarzutów, jakie stawia im Agnieszka i wielu internautów. Wystąpiłem do nich mejla, (...) niestety, mimo telefonicznego kontaktu i ponownego wysłania mejla odpowiedzi nigdy nie otrzymałem. (...)

Dzień Agnieszki zaczyna się przed godz. 7. Trzeba obudzić dzieci, przygotować śniadanie, sprawdzić, czy najstarsza Gabrysia i średni Michał są spakowani. Koło godz. 7.30 przychodzi koleżanka, żeby zająć się najmłodszym Maćkiem. Gabrysia do szkoły chodzi już sama, ale Michała trzeba odwieźć do przedszkola. Potem Agnieszka jeszcze przez godzinę pogada z koleżanką, dokończy pić kawę i wtedy się zacznie. Najpierw sprzątanie pokoju. Po trójce dzieciaków i dorosłym facecie zawsze trochę się nazbiera. Trzeba ułożyć, odkurzyć. Później kuchnia: zmywanie, odkurzanie, wycieranie. Każdy coś pił, zostawił na blatach jakieś ślady, trzeba wytrzeć, żeby się nie kleiło. W międzyczasie pilnowanie mafego. Nie ma jeszcze roku, więc nie można go spuścić z oczu. Trzeba też go nakarmić, przewinąć, zrobić mleko. Później wstawianie prania. I obiad: obieranie ziemniaków, robienie mięsa na kotlety. Później rozwieszanie prania. I znowu karmienie. Potem trzeba dokończyć gotowanie obiadu, bo za chwilę przyjdą. Kiedy kończy, biegnie odebrać średniego z przedszkola. Później wydawanie obiadu. Ale odpoczynku nie ma. Najmłodszego znowu trzeba przewinąć, nakarmić. Po obiedzie zmywanie. Później z córką trzeba przysiąść i pomóc w lekcjach. A i tak nie jest źle, bo wszyscy są zdrowi. Agnieszka mówi, że to, co robi w domu, niczym ▶

► nie różni się od normalnej pracy. No, oprócz tego, że trwa 24 godziny na dobę. (...)

MONIKA

Monika jako dziecko mieszkała na wsi. Ojciec pracował w Państwowym Ośrodku Maszynowym. Zadaniem zakładu była obsługa rolniczych spółdzielni produkcyjnych. POM remontował im sprzęt rolniczy, mechanizował produkcję. Mama w tym czasie była gospodynią domową. Mieszkali u dziadków, którzy pracowali na roli. Monika przez trzy lata uczyła się w zawodówce, później tyle samo w technikum. Wtedy poznała obecnego męża. Wzięli ślub i dość szybko pojawiła się Ania. Monika

Monika nielegalnie pracowała na śmieciówce, a kiedy jej ciąża okazała się zagrożona, szef lekarz ją wywalił.

chciała iść na studia, ale z małym dzieckiem trudno. Mąż trochę studiował, ale przerwał. Musiał zarabiać na rodzinę. Niestety, z jego pensją było naprawdę kiepsko, więc Monika zostawiła małą pod opieką teściowej i poszła sprzątać do sanepidu.

To była jej pierwsza poważna praca. Monika pracowała około pięciu-sześciu godzin dziennie. Była zatrudniona na umowę zlecenie, mimo że kiedy praca jest wykonywana w określonym miejscu i czasie, w sposób ciągły, pod kierownictwem i na rzecz pracodawcy, to według Kodeksu pracy mamy do czynienia ze stosunkiem pracy. Monika powinna była pracować na umowie o pracę, ale została zatrudniona na śmieciówce – pozbawiona wielu praw, które przysługują pracownikom etatowym. Przez trzy lata nie była na urlopie.

W sanepidzie sprzątała z koleżanką. Szef czasem je sprawdzał. Na przykład zostawiał jakąś zmiętą kartkę za kaloryferem, żeby sprawdzić, czy wszędzie zaglądają.

Wkrótce zaszła w ciążę. Była jesień, więc na podwórku przed sanepidem grabiła mokre liście. Potem zbierała je do worków, które z kolei musiała wrzucić na przyczepę. Takie worki z mokrymi liśćmi potrafiły ważyć po kilkanaście kilogramów. To właśnie w trakcie takiej pracy zaczęła krwawić. Okazało się, że ciąża jest zagrożona. Poszła na zwolnienie, a kiedy wróciła, szef ją zwolnił. – Lu-

biłam tę robotę, bardzo dobrze pracowało mi się z koleżanką. Myślałam, że szef da mi szansę. Że powie: „Jak urodzisz, to wrócisz”, mówi Monika. – Niczego takiego nie usłyszałam – dodaje. Jej przełożony był lekarzem, powinien być zrozumieć sytuację kobiety w ciąży. – Ale on po prostu mi podziękował i w ten sposób się rozstaliśmy – mówi.

Podsumujmy: Monika nielegalnie pracowała na śmieciówce, a kiedy jej ciąża okazała się zagrożona (najprawdopodobniej właśnie przez warunki pracy, których nie dostosowano do jej stanu), szef lekarz ją wywalił. – Co myślę o takim układzie? Chory układ, chory człowiek, chory system – mówi.

Później była praca w piekarni. Też sprzątanie. – Ja się pracy nie boję, ale pierwszy dzień był tak ciężki, że po powrocie do domu się rozpłakałam. Powiedziałam mężowi, że więcej tam nie pójdę. Nigdy w życiu nie pracowałam tak ciężko – opowiada Monika. Dziennie do wyczyszczenia było 2,5 tys. blach. Na każdej z nich przypalenizna po pieczywie, wszystkie trzeba wyskrobać szpachelką. Cały dzień pracowała pochylona. Później mycie wanny zabrudzonej podczas produkcji, zamiatanie hal, gruntowne sprzątanie, a raz w tygodniu szorowanie podłóg na kolanach. Pensja minimalna. Awansowała nawet na sklepową, ale szef ją zwolnił. Powód? Jak stwierdził, chciał wpuścić do zakładu świeżą krew.

Później na świat przyszedł Adam. Jakiś czas po porodzie zadzwonił szef piekarni, aby zapytać, czy Monika nie chciałaby wrócić. Ale Monika nie wchodzi dwa razy do tej samej rzeki. Żeby utrzymać rodzinę, mąż Moniki wyjechał z Etku na Wyspy, gdzie pracował fizycznie. Dzieci ciężko to znosiły, ciągle pytały o to, gdzie jest tata, dlaczego znowu musi wyjechać i kiedy wróci.

Ostatnim miejscem, gdzie pracowała Monika, były Zakłady Elektromechaniki Motoryzacyjnej, zwane przez miejscowych ZEM albo po prostu „kablami”. Monika pamięta, że przed świętami Bożego Narodzenia kierowniczka zawołała do siebie osoby pra-



cujące w zakładzie. Wszyscy wyszli z pokoju ze świątecznymi paczkami – oprócz Moniki, bo była zatrudniona przez agencję pośrednictwa pracy. Między innymi dlatego walczyła, aby zatrudniono ją bezpośrednio w „kablach”. Poza tym towarzyszyła jej ciągła niepewność. (...)

Monika opowiada, że w pewnym momencie umowa o pracę z „kablami” leżała już na stole. Ale córka zachorowała i Monika spędziła z nią dwa tygodnie w szpitalu. Sprawa bezpośredniego zatrudnienia przez ZEM została odłożona. Później okroili liczbę ludzi, trochę zmniejszyli wolumen produkcji. Jedna osoba musiała obsługiwać dwa stanowiska przy taśmie: swoje dotychczasowe oraz drugie, które dostała po kimś, kto odszedł. Monice trafił się fragment linii produkcyjnej, który wymagał pracy siłowej; wcześniej pracowali tu głównie mężczyźni. Na któregoś zmianie wyskoczył jej dysk. Znowu zwolnienie. Tym razem na trzy tygodnie. Spędziła je w domu, gdzie dostawała zastrzyki. – I przestałam być pracownikiem wiarygodnym, nadającym się. Bo najpierw te dzieci, później kręgosłup

– mówi Monika. Potem przestała się starać o umowę w „kablach”. (...)

Latem temperatura w hali dochodziła do 30 st. Okna się nie otwierały. Choć w polskich przepisach nie ma regulacji dotyczących maksymalnej temperatury w miejscu pracy, to przyjmuje się, że przy pracy fizycznej nie powinna przekraczać 28 st. Monika przynajmniej raz widziała, jak podczas pracy jakaś dziewczyna zasłabła z gorąca. Nie wie, ile takich przypadków mogło być w całym zakładzie.

Pamięta, że podczas jej pierwszego tygodnia w pracy przyszedł ktoś z działu kontroli jakości i zaczął ją wyzywać. Była tam dopiero od kilku dni, nie musiała jeszcze wszystkiego umieć. Mimo to usłyszała pretensje, że do niczego się nie nadaje, to przez nią jest tyle a tyle poprawek i co ona w ogóle tu robi. Monika poszła do łazienki i się rozplakała. Pytam, czy osoba, która zarzucała jej nieudolność, potrafiłaby zrobić to, czego wymagała od Moniki. Kobieta krótko odpowiada: – Nie.

Jak twierdzi, podczas półtora roku, które tam przepracowała, prędkość linii była podkręcana kilkanaście razy. Na pytania załogi, dlaczego, majster odpowiadał, że tak mówią na górze. Kiedy linia przyspieszyła, potem już nigdy nie zwalniała. – To wyzysk, człowiek jest tam traktowany jak zwierzę do pracy. Masz tylko robić, robić, robić, robić i robić – mówi.

Monika opowiada, że bóle kręgosłupa to wśród załogi norma. Od jakiegoś czasu część pracowników stanowią Ukraińcy. Słyszała, że robią i po 16 godzin na dobę. Potem mdleją z wycieńczenia. (...) – Oni nas tam trak-

towali jak woły do pracy. Najchętniej to by chcieli, żebyśmy w ogóle pracowali bez przerw. Jak się przychodzi do pracy, to jest takie śmieszne szkolenie, podczas którego krawciarz mówi: „Pamiętajcie, nie ilość, tylko jakość; jakość jest najważniejsza”. A jak przychodzisz na linię, to jakość już się nie liczy, jest tylko ilość – mówi. Kiedy firma dostała dużo zamówień, Monika przychodziła do pracy o trzeciej nad ranem, a wychodziła o 14.

W ZEM jest duża rotacja pracowników. Ciągłe pojawiają się nowi. Mimo rekordowo niskiego bezrobocia w kraju w powiecie etckim we wrześniu 2018 r. wynosiło ono prawie

13%. – Widziałam na własne oczy, jak jedna dziewczyna uciekła przez płot – mówi. Monika z pracy odeszła 31 grudnia 2017 r.

Protokoły kontrolne PIP z 2018 r.: „Nie stwierdzono traktowania pracowników tymczasowych w sposób mniej korzystny w zakresie warunków pracy i innych warunków zatrudnienia, w porównaniu z pracownikami zatrudnionymi przez pracodawcę użytkownika na takim samym lub podobnym stanowisku pracy”. Protokół z kontroli PIP z 2017 r.: „Kontrola nie wykazała przypadku niezapewnienia odpoczynku dobowego lub tygodniowego, jak również pracy w godzinach nadliczbowych”. ZEM, podobnie jak Arhelan, nie odpowiedział na żadne z moich pytań. (...)

DEZAKTYWIZACJA

– Jedną z przyczyn tego, że kobiety po otrzymaniu 500+ odchodzą z rynku, jest jakość pracy i polska kultura organizacyjna. W firmach mamy sporo folwarcznego klimatu, dużo patologii. Częściowo dlatego, że taka forma działania jest dla polskich organizacji czymś naturalnym, można by nawet powiedzieć: nieodłącznym. A częściowo dlatego, że mamy bardzo słabe narzędzia do zwalczania tego typu patologii. PIP działa wyjątkowo kiepsko, a sądy są opieszałe – mówi Łukasz Komuda, ekspert rynku pracy z Fundacji Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych.

Według Instytutu Badań Strukturalnych między trzecim kwartałem

dziesiątek tysięcy kobiet. Był jednak czynnikiem decydującym. Badaczka z IBS podkreśla, że gdyby nie 500+, te kobiety zostałyby na rynku. Z drugiej strony dezaktywizowane kobiety to szczególna grupa: osoby dotknięte patologiami polskiego rynku i narażone na różne nakładające się na siebie wykluczenia. (...) Wyobraźmy więc sobie kobietę. Kobietę pracującą za minimalną krajową, w zakładzie oddalonym o wiele kilometrów od domu. W pracy spotyka się z brakiem szacunku ze strony pracodawcy, być może też z mobbingiem. Jest praktycznie zmuszana do bezpłatnych nadgodzin, a dodatkowo musi płacić niani (o ile nie ma starszej kobiety w rodzinie, która zajęłaby się jej dzieckiem bądź dziećmi). Nietrudno chyba uznać decyzję o odejściu z pracy za ekonomicznie uzasadnioną. W 2016 r. płaca minimalna wynosiła na rękę nieco ponad 1350 zł. W kolejnym roku – 1450 zł, w 2018 – 1530 zł. Po odjęciu kosztów dojazdu i niani realna płaca może spaść do nieco ponad 1000 złotych. Za osiem godzin (lub więcej) nierządco ciężkiej i monotonnej pracy.

Do tego ze strony państwa dochodzi też sztywny próg odciążenia na poziomie 800 zł. Jeżeli w gospodarstwie domowym miesięczny dochód na głowę przekroczy tę kwotę choćby o złotówkę, rodzinie od razu przestaje przysługiwać świadczenie na pierwsze dziecko*. Wspomina o tym w analizie „Rodzina 500+ jako polityka publiczna” analityczka Fundacji

Między trzecim kwartałem 2016 r. a drugim kwartałem 2017 r. program Rodzina 500+ spowodował odpływ z rynku do 103 tys. kobiet.

2016 r. a drugim kwartałem 2017 r. program Rodzina 500+ spowodował odpływ z rynku od 91 do 103 tys. kobiet. Przy czym możliwe, że rynek pracy opuściło jeszcze więcej kobiet. Prof. Iga Magda z Katedry Ekonomii Szkoły Głównej Handlowej, wiceprezesa zarządu Instytutu Badań Strukturalnych oraz współautorka tego badania, w audycji TOK FM stwierdziła, że z rynku wycofały się głównie kobiety najslabiej wykształcone, o najniższych dochodach oraz z sektorów rynku, w których występuje słaba opłacalność zatrudnienia.

500+ nie było jedynym czynnikiem, który wpłynął na decyzje tych

Kaleckiego Anna Gromada: „Ustanawiając próg na poziomie 800 zł netto na osobę, który jest niższy niż minimum socjalne, wykluczamy z niego osoby o niskich dochodach. Weźmy największego prywatnego pracodawcę w Polsce, czyli sieć sklepów Biedronka. Wszyscy pracownicy są tam zatrudniani na umowę o pracę, a pensje zaczynają się od 2,3 tys. zł brutto, czyli 1670 zł netto. Dochód w rodzinie takiego pracownika samotnie wychowującego dziecko wyniesie 1150 zł brutto i 835 zł netto na osobę. To sprawi, że znajdzie się poza zasięgiem programu 500+, bo przekroczył próg o 35 zł”.

Oznacza to, że wśród części kobiet o zarobkach oscylujących w okolicach pensji minimalnej zatrudnienie może wręcz oznaczać nałożenie dodatkowego „podatku” (a precyzyjnie rzecz ujmując – utraty dochodu) w postaci 500 zł. To mniej więcej jedna trzecia ich zarobków. Wielu ekspertów podkreśla, że próg odcięcia jest jednym z najistotniejszych elementów, które wpływają na dezaktywizację kobiet.

Każda z historii dezaktywizacji jest wyjątkowa – składa się na nią kilkanaście, nawet kilkadziesiąt czynników – ale jednocześnie dość typowa. Kobiety odchodzące z pracy reprezentują pewien typ demograficzny, najczęściej z nie najwyższym wykształceniem. To zaś wynika z urodzenia się w niefortunnym miejscu drabiny społecznej. Do tego dochodzą środowiskowe wzorce i niekładzenie dużego nacisku na edukację, a także konserwatywny model rodzinny, według którego kobieta powinna zostawać w domu z dzieckiem, a mężczyzna zarabiać na rodzinę. Warto zdać sobie sprawę z tego, że dezaktywizacja

zawodowa po otrzymaniu 500+ niemal nie dotyka kobiet z klasy średniej, dla których takie pieniądze stanowią niewielki procent ich wypłat.

Według badania Work Service w 2016 roku nawet półtora procent pracowników rozważało rezygnację z pracy w związku z otrzymywaniem 500+. W momencie przeprowadzania ankiety 0,2% planowało zrezygnować z pracy w najbliższym czasie, a 1,3% rozważało taki krok, ale nie podjęło jeszcze jednoznacznej decyzji. Kolejne niemal 8% uważało, że kwota wsparcia jest za niska, aby odejść z pracy. Następne 24,8% w ogóle się nie zastanawiało nad odejściem z pracy z powodu 500+, a pozostałe 64,6% nie pobierało świadczenia.

Co ciekawe, aż 32% pracodawców obawiało się negatywnego wpływu świadczenia na dostępność pracowników. 10% z nich było absolutnie przekonane, że tak będzie. „To natomiast może oznaczać, że część osób po prostu nie przyznała się w badaniu, że dodatkowe pieniądze są impulsem do rezygnacji z pracy” – ko-

mentuje wyniki badań Maciej Witucki z Work Service. I dodaje: „Pracodawcy, którzy są najbliżsi pracowników, dostrzegają inną skalę zjawiska”.

Jednak wynik badania można również interpretować w inny sposób: pracodawcy ulegli panice związanej z 500+ i uwierzyli w lansowaną przez wiele mediów opowieść o silnie dezaktywizującym wpływie programu na uczestników rynku pracy.

Jest również możliwe, że pracodawcy mieli świadomość tego, jak niskie zarobki oferują pracownikom, i byli zaniepokojeni, że w wielu rodzinach dodatkowe 500 czy 1000 zł może odwieść niektóre osoby od pracy w ich zakładach.

* Od 1 lipca 2019 r. świadczenie przysługuje na wszystkie dzieci do 18. roku życia bez względu na dochody uzyskiwane przez rodzinę – przyp. red.

Fragmenty książki Kamila Fejfera *O kobiecie pracującej. Dlaczego mniej zarabia, chociaż więcej pracuje*, Czerwone i Czarne, Warszawa 2019



KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY!

STODOŁA



PIWNICA POD BARANAMI

24.11 | STODOŁA, WARSZAWA



DŻEM

06.12 | STODOŁA, WARSZAWA
07.12 | STODOŁA, WARSZAWA



EDYTA GEPPERT

12.01 | STODOŁA, WARSZAWA



MARIA PESZEK

27.03 | STODOŁA, WARSZAWA

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOŁA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA
(ul. Batorego 10, Warszawa)

Wypisy z historii dyplomacji

Dyplomacja to godziny czekania i minuty działania. W związku z tym trzeba być przygotowanym i na działanie, i na czekanie.

Od jakiegoś czasu jest na rynku nieduża książka „Dyplomatyczny cicer cum caule”, której autorem jest Jakub T. Wolski, wiceminister spraw zagranicznych w latach 2003-2005. Autor spisał smakowite anegdoty i opowiastki, które zresztą chętnie w swojej dyplomatycznej karierze opowiadał. A przynajmniej znaczną ich część.

Co ważne, nie są to anegdoty z życia gwiazd itp. Dotyczą spraw dyplomatycznych, ich bohaterami są szefowie państw, ministrowie, ambasadorowie. Wiele z nich dotyczy ważnych wydarzeń politycznych.

Krótko mówiąc, są tu znakomite dykteryjki kierowane do dyplomatów i polityków. Jak znalazł na przyjęcie, na długi lot, na oczekiwanie zakończenia się ważnych rozmów... MSZ-owska młodzieży – ucz się na pamięć tych historii! „Dyplomatyczny cicer cum caule” to twój podręcznik!

Gdy coś takiego się zna, można poopowiadać, przyciągnąć uwagę. Bo dyplomata może nie znać się na kreacjach aktorskich, na sztuce, na innych rzeczach, ale na swoich zawodowych sprawach z reguły się zna.

Potrafi więc docenić piękną anegdotę, nawet jeśli sytuacja jest nerwowa.

A jeżeli ta anegdota pochodzi z pierwszej ręki... Tak było podczas głosowania w Senacie USA, które miało zadecydować o przyjęciu Polski do NATO. Ujawniła się wówczas, po raz kolejny, grupa ważnych amerykańskich polityków, którzy bardzo sceptycznie podchodzili do idei rozszerzenia NATO na wschód. Argumentowali dość logicznie – czy Ameryka musi angażować się w tak odle-

głych miejscach? Czy nie przeszkodzi to jej w unormowaniu stosunków z Rosją, co jest przecież ważniejsze dla amerykańskich interesów?

Nie były to retoryczne chwytły. Patrząc chociażby na działania administracji Trumpa, widać, że ten nurt myślenia jest w Ameryce żywy. Ale wróćmy do 30 kwietnia 1998 r., kiedy odbyło się wspomniane głosowanie. Otóż przegrywająca opozycja przyjęła taktykę blokowania, zgłaszając coraz to nowe poprawki. Wszystko zaczęło się niebezpiecznie przedłużać. W końcu zdenerwowany senator Jesse Helms podszedł do senatora Roberta Smitha, który kierował taktyką opóźniania, i wypalił: „Jutro o 10 rano idę na stół operacyjny. Mam 75 lat, ale będę siedział tu murem choćby do piątej rano. Przez was będę w złej formie!”.

Poczucie koleżeństwa przeważyło. Smith złagodził. I w ciągu 20 minut odbyło się głosowanie. Zwolennicy Polski w NATO zdecydowanie wygrali, zwłaszcza że dołączyli do nich senatorowie niezdecydowani, którzy się wahali. Ale z kolei na nich naciskali ich wyborcy, Polonia amerykańska, która zasypywała ich listami. Grożąc, że w najbliższych wyborach cofnie im poparcie.

Ech, była to chyba ostatnia skuteczna akcja amerykańskich Polaków.

Ale 30 kwietnia 1998 r. nikt o tym nie myślał. Polscy dyplomaci obserwujący z galerii senacką debatę i głosowanie, a był wśród nich Jakub T. Wolski, padli sobie w ramiona. Nie bacząc na to, podczas jakiego zakrętu historii trafili do MSZ.

I takich sukcesów i uścisków polskiej dyplomacji życzymy.

Attaché

Chcesz mieć swój portret? Zamów kawę w kawiarni Sokół w Jekaterynburgu.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- trochę gimnastyka, a trochę taniec
- imię obecnej pani prezydentowej
- nagość na płótnie
- jego życzenia spełniał dzień z lampy
- ziemnowodny wąż dusiciel z Ameryki Południowej
- i dążenie do czegoś, i przydech przy głosce

- kontrola publicznego przekazywania informacji
- gwóźdź z szeroką główką
- ...liche – fujarka z wiersza Jerzego Lieberta
- robienie na drutach
- władca starożytnego Egiptu
- sprzedawał prasę na ulicy

- ciężkie przejścia, wielkie cierpienie
- np. wielkomorszcz gruszkonośny
- szukał okularów
- „...do miłości ojczyzny” Krasińskiego
- pisana, na drewnie cedrowym lub cyprysowym
- tam festiwal jazzowy Złota Tarka
- ciemnobłękitny barwnik
- jego stolicą Bagdad
- sucha, cienka kielbaska
- elegancik nosi spodnie w...
- „...o kawie” Bacha
- ręczny – trąbka z pompką
- manatki, bambetle
- ostronos rudy

- gdy ubogi, oznacza gorszą wersję
- słownik encyklopedyczny
- kraj maronitów
- najdłuższa rzeka Francji
- sześcienny – to kubik
- autor komedii „Grzegorz Dyndała”
- wspierał je Jan Szyński
- naród, narodowość
- wodospad z wrakiem barki
- subtelna różnica
- ubytek emalii na garnku
- odbicie się, błyskawiczne oddalenie w biegu
- pi razy...
- miasto nad Babą
- planowy... pociągu na stację
- listopadowy bywa mglisty
- po pracy w fotelu z jolką
- okrągłe naczynie laboratoryjne z długą szyjką
- rozkojarzenie, nieuwaga

- do zaparzania czaju
- wodociągowa lub pajęczna
- płyny trawienne
- potrzebuje kitu w pracy
- atak, siłowa próba dostania się gdzieś
- Juliusz Agrykola dla Tacyty
- idea, przesłanie w utworze literackim
- ciągnące się po ziemi przedłużenie sukni
- pierwsza lub druga wyborów
- dziecięca albo bezgraniczna
- Inżynierska z naszą redakcją
- podniosło obchody, ceremonia
- przyznanie zwycięstwa, bo rywal złamał reguły
- do noszenia wody, węgla
- obrażał się na czapkę

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-934”. Do rozlosowania DVD „Maksymiuk. Koncert na dwoje” ufundowane przez Mayfly. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejscach XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 17 listopada 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-931” z 27 października: Niewiedza trwoni wnioski. Nagrody otrzymują: Barbara Idzikowska z Bełchatowa, Bartłomiej Płoszaj z Gliwic, Henryk Radkiewicz z Wydmín.

PENETRACJE

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

PROF. GRZEGORZ W.
KOŁODKO,
BYŁY WICEPREMIER

Program nowoczesnej, postępowej lewicy w bardziej zaawansowanych krajach – a Polska już się do nich zalicza – powinien polegać przede wszystkim na ochronie interesów szeroko rozumianego konsumenta. Dzisiaj to nie burżuazja w sposób brutalny wyzyskuje klasę robotniczą, to nie kapitaliści gnębią najemną siłę roboczą. Dzisiaj to machina rynkowa wykorzystuje konsumenta, abonenta, pacjenta, klienta. Często za pomocą mediów manipulujących opinią publiczną.

charaktery
magazyn psychologiczny

IGNACY KARPOWICZ,
PISARZ

Nasze zdolności do niedogadywania się i pojmwania na opak są tak silnie rozwinięte, że na cud zakrawa każde porozumienie. Oczywiście pierwszą kłodą są same języki, tak po zburzeniu wieży Babel rozmaite. Do języków dochodzą inne kody kulturowe. Niekiedy przybiera to zabawną formę. Pewna dama zażyczyła sobie egzotycznego tatuażu. Wybrała jeden z licznych znaków chińskiego pisma. Niestety drobny błąd tatuażysty sprawił, że znak oznajmiał wszem i wobec „pędzącą biegunkę”. Koszmarem dla Europejczyków są języki tonalne, w których znaczenie wyrazu zależy od tonu, a te mogą być niskie, średnie, wysokie, a jeszcze liczy się często długość.

MONDE
diplomatie

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Co prawda nie ma dobrych mocarstw i postępowego imperializmu, ale są imperializmy mniejsze i większe. W istocie zaś rosyjskie zaangażowanie w Syrii i na Ukrainie nie może się równać ze skalą militarnego interwencjonizmu już nie tylko USA, ale najpewniej także i Francji (która w ostatnich latach wysłała swoje wojska do Mali, Republiki Środkowoafrykańskiej, Czadu, Libii i Syrii). Chiny z kolei, jak na razie, w ogóle nie ścigają się z mocarstwami zachodnimi na polu interwencji militarnych, choć ochoczo biorą udział w wyścigu zbrojeń.

PANI

MAGDALENA BOCZARSKA,
AKTORKA

Zidentyfikowałaś się z Michaliną Wistocką?

– Podczas jednego ze spotkań gdzieś w Polsce odpowiadałam na pytania z sali, na której były głównie starsze panie. Nie bardzo miały odwagę zadawać pytania głośno, więc zapisywały je na kartce. Jedno z nich brzmiało: czy po sześćdziesiątce można osiągać orgazm? Odpowiedziałam zgodnie z wiedzą, w jaką zaopatrzyli mnie specjaliści i niezawodna książka Michaliny, że kobiety w wieku dojrzałym mogą osiągać większą satysfakcję seksualną niż 30-latk. Niestety, ich rówieśnicy nie są im w stanie tego zapewnić. Wstały i biły brawo.

Aby język giętki...

ANDRZEJ FRANASZEK O ŻÓŁCI

To najbardziej polskie słowo. Nie tylko dlatego, że składa się w całości z liter występujących jedynie w naszym alfabecie.

AGNIESZKA HOLLAND O TVP

Nie wyobrażam sobie być w sąsiedztwie takiej pani Holeckiej czy innego pana Ziemca.

ADAM MICHNIK O RELIGII

Gdyby w Polsce nie było chrześcijaństwa, to Polska byłaby gorsza, niż jest.

PROF. LESZEK BALCEROWICZ O NAJWIĘKSZYM ZDZIWIENIU

Że wśród milionów młodych ludzi, łącznie ze studentami, nie znalazłem grupy, która w internecie pod własnym szyldem występowała w obronie wolności.

ANTONI SZPAK O TADEUSZU CYMAŃSKIM

Miesza ludziom w głowach, wygłaszając mądrości zdobne w liczne banały, wyświechtane porzekadła i infantylne powiedzonka.

KRZYSZTOF WARLIKOWSKI O MACIEJU STUHRZE

Ma coś z perfekcyjnego dziecka. Coś z ukrytego dorosłego.

MACIEJ STUHR O WIĘKSZOŚCI

Mam coś takiego, że jak wszyscy lecą w prawo, to ja się zastanawiam: „a może w lewo?”. I wiele razy w życiu opłaciło mi się pójść w lewo.

MAŁGORZATA FOREMNIAK O KOMPLEKSACH

W aktorstwie pojawiają się co chwila. Cały czas trzeba je z siebie zrzucić.

KAZIMIERZ MARCINKIEWICZ O BYŁEJ ŻONIE IZABELI

Wytrzymałem trzy lata małżeństwa, to wytrzymam i więzienie. Zostanę więźniem Kaczyńskiego i Ziobry.

ADAM MAKOWICZ O BYCIU GWIAZDĄ

Gwiazda to ostatnie, co chciałbym o sobie usłyszeć. Gwiazda to osoba prawie publiczna i właściwie nie ma czasu na nic.



Patriotyzm przejawia się na różne sposoby. Ale czy tak jest właściwie? Warszawa

Siadaj i gadaj

Policja z angielskiego miasteczka Burnham-on-Sea wypowiedziała wojnę... samotności. W tym celu powstały tzw. ławki do pogawędki. Mowa o umieszczaniu na wybranych ławkach w parku czy obok kawiarni tabliczki z informacją, że siadające na nich osoby chętnie utną sobie pogawędkę, także z kimś obcym. – Taki napis pomaga przełamać niewidzialną barierę społeczną, która dzieli dwóch nieznanymi sobie znajdujących się w miejscu publicznym – komentuje miejscowa policjantka Tracey Grobbeler. Przekonuje, że nawet krótkie przywitanie może być wielkim wsparciem dla osób, które spędzają całe dni bez towarzystwa.

Ta się śmieje, która śmieje się ostatnia

63% mężczyzn jest bardziej zabawnych od przeciętnej kobiety – ustalili naukowcy z walijskiego Uniwersytetu Aberystwyth oraz Uniwersytetu Karoliny Północnej. Do takich wniosków doprowadziła ich analiza wyników 28 różnych badań poświęconych poczuciu humoru, którymi objęto łącznie ok. 5 tys. osób z różnych krajów. W jednym z eksperymentów uczestnicy mieli za zadanie opatrzyć obrazek zabawnym podpisem, który był następnie oceniany przez jury nieznaną ptci autorów. – W toku ewolucji mężczyźni prawdopodobnie musieli silniej rywalizować z innymi mężczyznami, by zaimponować kobietom swoim poczuciem humoru – skomentował kierownik badań dr Gil Greengross. Jeśli tak, to dlaczego tyle razy częściej nas sucharami?



Bez grawitacji, ale nie bez smaku

Z ośrodka NASA na wyspie Wallops (USA) za pośrednictwem kapsuły Cygnus dostarczone na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS) specjalnie zaprojektowany piekarnik i masę do wypieku ciasteczek z kawałkami czekolady. Astronauci mają sprawdzić, jak się piecze w wysokich temperaturach przy zerowej grawitacji. Sieć hoteli DoubleTree by Hilton, która dostarczyła ciasto, przekonuje, że możliwość pieczenia na pokładzie stacji kosmicznej sprawi, że długotrwałe podróże staną się „bardziej sympatyczne”. Cygnus dostarczył na ISS również m.in. włókna węglowe wykorzystywane w samochodach sportowych Lamborghini, co pozwoli przetestować je w warunkach kosmicznych.

Ostrożnie z oberżyną

W ramach walki z nagabywaniem seksualnym w internecie firma Facebook zaktualizowała standardy obowiązujące na jej portalach. Odtąd na Facebooku i Instagramie zabronione jest używanie emotikon (a właściwie tzw. emoji) przedstawiających bakłażana, brzoskwinie czy krople wody obok treści o podtekście erotycznym. Wspomniane ikonki były dotychczas często wykorzystywane m.in. do cenzurowania nagości na zdjęciach czy w komentarzach zawierających aluzje do seksu. Od tej pory konto użytkownika, który zastosuje emoji w takim kontekście, może zostać zablokowane lub nawet usunięte.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Bez dowodu nie zgrzeszysz

Na horyzoncie pojawiły się także zmiany w internetowym życiu erotycznym Australijczyków. Tamtejszy rząd zaproponował, by od wszystkich osób oglądających treści na stronach pornograficznych wymagać skanowania twarzy z użyciem systemu weryfikacji danych obywateli. Funkcja ta pomogłaby w potwierdzaniu wieku amatorów świntuszenia,



Dzieła sztuki
tworzone
na twarzy.
Konkurs wizażu
na Białorusi,
w Mińsku.

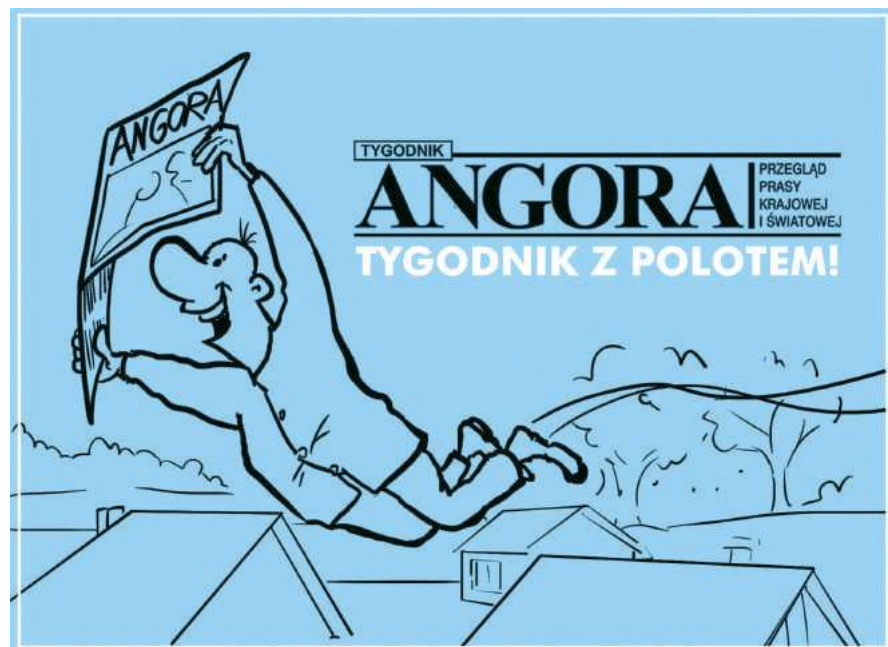
uniemożliwiając małoletnim np. skorzystanie z prawa jazdy rodzica. System dopasowywałby bowiem zdjęcie danej osoby do fotki wykorzystanej w dowodzie osobistym.

Jest jedzone – ma być płacone

Właściciel restauracji w Gruissan w południowej Francji otrzymał nakaz zapłaty 13 tys. euro zaległych podatków. Przewiną Patricka Couderta okazało się to, że wraz z żoną gotował i jadł posiłki w prowadzonym przez siebie lokalu. Restauratora pouczone, że jedzenie we własnej knajpie jest przez przepisy traktowane jako uzyskiwanie korzyści, a tymi trzeba dzielić się z państwem. Ciekawe, czy chociaż dawał sobie napiwki.

Wpadka na zwolnieniu

Posypał się interes 52-letniej Belindy Gail Fondren, urzędniczki zatrudnionej w jednym z zakładów opieki zdrowotnej w Luizjanie. Wypracowany przez nią model biznesowy opierał się na sprzedaży, po 20 dol. od sztuki, sfałszowanych zwolnień lekarskich. Klientami przedsiębiorczej kobiety byli uczniowie pobliskiego ogólniaka. Sprawa się wydała, gdyż młodzież podejrzanie często korzystała z tej formy usprawiedliwiania nieobecności na zajęciach. Teraz to ich dilerce może się przydać zwolnienie. Za dobre sprawowanie.



FOT. VASILY FEDOSENKO/REUTERS/FORUM (2), ANONIMOWY INTERNauta, A-MEM, MEMY GORSZEGO SORTU

eprasa.pl d0668dc0a2



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 **wew.** 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszczyk (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojszak-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

[Małgorzata Tabaka]

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Olga Pelipas „Luna”



Joanna Sutek-Malinowska „W sieci”

MŁODA SZTUKA

Wystawa połączona ze sprzedażą potrwa
do 19 listopada

Dom Aukcyjny DESA UNICUM
Warszawa, ul. Piękna 1A

Marcin Gregorczyk/Blubird „Lazy day”



Adam Wątor „Bez słów”





Sprawdzamy na własnej skórze!
Testujemy, doradzamy, co się opłaca.

wp **finanse**
w nowej odświeżeniu!

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Ach, jakże godnie żyli

**Beler, Czachor, Ilczuk, Jarmicki,
Kaczmarek, Kaniecki, Kłak, Liber,
Stolarska, Wawrzyniak, Więcek**
premiera 23.11.2019
kolejne pokazy: 24, 26.11.2019
i 22, 23, 24, 25.01.2020

Ach, jakże godnie żyli to podróż przez historię Teatru Ósmego Dnia, legendy poznańskiej alternatywy teatralnej. Grupa stała się symbolem teatru kontrkulturowego, reprezentującego silną postawę ideową oraz – pomimo wielu represji – aktywnie negującego i podważającego społeczno-polityczny porządek PRL-u.

Spektakl realizowany w ramach IV edycji Festiwalu Sztuki i Społeczności Miasto Szczęśliwe.



Festiwal
Miasto
Szczęśliwe



na_prawa
Warszawa

ARTYSTY
MŁODZI

WYBORCZA

wyborcza.pl
WARSZAWA

cojestgrane24

AKTYWIST

